

BESTIE

SEBASTIÀ ALZAMORA



WYJĄTKOWA GOTYCKA POWIEŚĆ O ZDERZENIU DWÓCH SIŁ: ZŁA I ŻYCIA

Książka ukazała się dzięki dofinansowaniu Institut d'Estudis Baleàrics

Crim de sang

© Sebastià Alzamora, 2012

© FIRST PUBLISHED IN CATALAN BY Raval Edicions SLU, Proa (Barcelona) PUBLISHED BY
ARRANGEMENT WITH Cristina Mora Literary & Film Agency SL (Barcelona, Spain)

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Rozalya Sasor

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2014

Dla Maríi José Lagosa

Z największej głębi człowieka
wychynęła bestia.

JOSEP LLUÍS AGUILÓ

Pisał:

Często, kiedy męczy mnie pragnienie, myślę o Duchu Świętym. W przeciwieństwie do tego, co głoszą niektóre z przesądów, my, wampiry, nie odczuwamy przykrości, kiedy znajdziemy się wewnątrz kościoła. Widok krzyża nigdy nie wywołał u mnie najmniejszego dyskomfortu oprócz tamtego razu, kiedy w pewnej miejscowości przy węgierskiej granicy jakiś pasterz użył krzyża, aby przebić mi nim pierś, korzystając z tego, że akurat spałem w swojej kryjówce. Jedną ręką wyrwałem wtedy krucyfiks z ciała, drugą zaś wydarłem pasterzowi serce i wycisnąłem z niego pięścią krew, spijając ją łapczywie. Następnie nabiłem trupa na pal wyznaczający granicę pomiędzy dwoma polami: chłostany porywami lodowatego wiatru chwiał się, podobny do rozpadającego się stracha na wróble, zagubiony w nocy bez pociechy i bez nadziei. Krzyż zostawiłem wbity w ziemię, tuż obok zwłok pasterza.

Nie niepokoją mnie ani krzyż, ani chrześcijańskie świątynie – sam czciłem je kiedyś nabożnie w innym, odległym już życiu. W obecnym stanie myśl o Duchu Świętym uspokaja mnie więc. Koniec końców to też demon, *daemon*, obydwaj zostaliśmy przyporządkowani do bytów uznawanych przez człowieka za niepojmowalne. Podobają mi się dary, które zwykło się łączyć z Duchem

Świętym, ponieważ przydają się w dobrym zarządzaniu własną naturą: mądrość, rozum, rada, męstwo, umiejętność, miłosierdzie i bojaźń Boża. Miłosierdzie to sposób, w jaki przejawia się uprzejmość zabójcy, a bojaźń Boża jest eufemizmem na określenie lęku ofiary wobec nieuchronności czekającej ją egzekucji. Umiejętność służy wyrafinowaniu metod zarzynania, męstwo daje siłę podczas łowów, rozum zapewnia ich pomyślny wynik, rada pozwala pogodzić się z pustką bezczasowej egzystencji, a mądrość – wieść ją dalej. Słowo, którym przeważnie określa się to, czym jestem, to „bestia”, ale zapisanie go nie sprawia mi przykrości, ponieważ Duch Święty również jest potworem. Tak samo Bóg. Powszechnie wiadomo, że natchnął potwornością wszystko, co stworzył.

Z miejsca, w którym się znajduję, słyszę odgłosy wybuchających bomb, złowrogo niosące się daleko w nocnym nadciągająca burza. Ludzie zabijają innych ludzi dla jakiejś korzyści albo dla czystej przyjemności zabijania: widziałem to już wiele razy i widok ten nigdy mnie nie znuży. Odpowiadają mi miejsca, gdzie króluje przemoc, ponieważ mogę w nich polować z większą swobodą. Państwa pogrążone w wojnie, zrujnowane miasta, zalane krwią ulice – wszędzie tam zaciętość, z jaką ludzie oddają się okrucieństwu, robiła na mnie wielkie wrażenie. Istnieje pewna miara zła, nieznaną

nawet wampirom ani któremukolwiek z potworów czy demonów, wojna zaś wyraża zawsze przynajmniej dziesiątą część tej miary. Choć być może tu, w Barcelonie, nawet więcej niż jedną dziesiątą, zło rozpleniło się bowiem w tym mieście z niespotykaną dzikością i całkowicie opętało ludzi. Poruszam się tu z pełną swobodą, niewidzialny pomiędzy braćmi mordującymi braci, rodzicami donoszącymi na dzieci, pomiędzy dziećmi, które zabijają same albo cudzymi rękami swych rodziców, pomiędzy handlarzami nędzy i stręczycielami śmierci, pomiędzy heroldami występku i przekupniami deprawacji. Nieszczęsne, rozpadające się miasto, które wydaje się w jakiś sposób bawić myślą o własnym zniszczeniu.

Piszę zadowolony, w pełni syty po wypiciu krwi duchownego, któremu chwilę temu poderżnąłem gardło, a muszę przyznać, że kosztowało mnie to więcej wysiłku, niż początkowo zakładałem. Zaspokajanie pragnienia jest jedynym obowiązkiem wampira i aby go wypełnić, musi on w pierwszej kolejności nauczyć się wynajdywać łatwą zdobycz i zagustować w niej. Osoby duchowne, nieważne – mężczyźni czy kobiety, zwykle stanowią łatwy łup, zwłaszcza w tym mieście, które przekształciło je w mięso armatnie mielone przez wojnę. Poza tym nawet jeśli nikt tych ludzi nie prześladuje, życie poświęcone modlitwie spowalnia ich naturalne odruchy, wiotczeją im mięśnie,

pobożność natomiast przygotowuje ich zwykle do przyjęcia śmierci ze spokojem, a przynajmniej z rezygnacją. Zwykle, ponieważ ten dzisiejszy duchowny utrudniał mi wszystko, jak mógł: bronił się, walczył, drapał, krzyczał, jakby postradał zmysły, a nawet cisnął kilka strasznych bluźnierstw przeciwko Bogu, choć mienił się jego sługą. Na szacie, o czym warto wspomnieć, miał płamę pachnącą kadzidłem, co jeszcze wzmacniało słodycz wypełniającą mi usta, kiedy piłem łakomie ze strumienia, który płynął z żyły rozerwanej na szyi.

Zanim go zabiłem, przez chwilę zabawiałem się obserwacją. Siedział w małym pokoiku, zgarbiony nad stołem, czytając Ewangelię świętego Jana. Ponieważ czytał tak, jak zwykli to robić starzy ludzie, sunąc palcem po wierszach i przeżuując tekst przyciszonym głosem, mogłem uchwycić pojedyncze wyrazy. Wybrał opowieść o wskrzeszeniu Łazarza, która jest również opowieścią o potworze. Zawsze mnie to zastanawiało: czy rzeczywiście Jezusa tak głęboko poruszył płacz Marii Magdaleny? W końcu to ona kiedyś namaściła mu pachnidłami stopy i osuszyła je własnymi włosami na znak uwielbienia. Czy zatem nie jest możliwe, że chciał jej to wynagrodzić, wskrzeszając jej brata, aby z kolei ona odwdzięczyła mu się kolejnym namaszczeniem i pieścizotami? Jakkolwiek było, ewangelista twierdzi, że usłyszawszy lament Marii z Betanii, Jezus poprosił, by

zaprowadzono go do grobu Łazarza. Na miejscu zwrócił się do Boga uroczystymi słowy i zaraz nakazał otworzyć grób. Wydostał się z niego zmarły z rękami i nogami skrepowanymi bandażami i twarzą owiniętą całunem. Wtedy Jezus rozkazał go rozwiązać i puścić wolno, a zmarły zaczął iść. Jego ciało było nienaruszone, bez żadnych śladów rozkładu, nie cuchnęło też trupim fetorem; skórę miał zaróżowioną, członki elastyczne i zręczne, zupełnie jak wampir, kiedy wydostaje się z grobu.

Z pewnością nie w ten sposób rozumiał tekst mój duchowny. Dla niego wskrzeszenie Łazarza mogło być jedynie porozumieniem zatwierdzonym w Piśmie Świętym między Bogiem a ludźmi, dającym im prawdziwe życie, które jego Kościół obiecuje po śmierci. Cóż, teraz powinien właśnie sprawdzać rzetelność owego porozumienia: jeśli miał rację, jego dusza w tym momencie przelatuje z zawrotną szybkością przez kolejne kręgi piekieł, ponieważ umarł, obrażając Boga myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Życie spędzone na modlitwie i pełne wyrzeczeń zakończone w ostatnim momencie upadkiem równie żalnym, jak nieodwracalnym. Gdy mój duchowny kopał, a ja zaspokajałem pragnienie, usłyszałem, że jest z nami Duch Święty, Ruach ha-Kodesz, jak go nazywają Żydzi. Głos wysłany z niebios.

Błahość ludzkiego bytu osiąga kulminację w chłodzie

grobu i gniciu ciała. Budzące śmiech marzenia o wielkich ludzkich przedsięwzięciach – imperiach, ideach, miastach czy fortunach – kończy szarawy, wywołujący odrazę kolor martwych rzeczy. Ponieważ nie tylko ludzie są śmiertelni, śmierci podlega także wszystko to, co budują, o co walczą i czego sobie zazdroszczą. Tylko my, bestie, pozostajemy wolne od śmierci z tej prostej przyczyny, że nie jesteśmy żywe. Poznałem mężczyzn i kobiety, którzy z dobrej woli oddawali mi krew w zamian za fałszywą obietnicę nieśmiertelności. Czepiali się jej kurczowo niczym dziecko przyciskające się do piersi matki. Przejście od człowieczeństwa ku potworności jest dobrowolne i nie istnieje wola, która by nim kierowała, ani przywołujące je zaklęcie, ani pieniądze, za jaki można by je kupić. Nikt nie może uratować nikogo od śmierci, a zwłaszcza Bóg, on bowiem nie ma w tym żadnego interesu.

Tak oto brzmi zagadka, odpowiedź na nią zależy zaś wyłącznie od oczekiwań żywionych przez każdego człowieka z osobna. Chociaż jeśli mogę coś stwierdzić z całkowitą pewnością, to to, że ze wszystkich błędów składających się na koleje ludzkiego losu bez wątpienia najgłupszym jest posiadanie oczekiwań. Nie dlatego, że ostatecznie wszystko zależy od przypadku, jak mówi przysłowie, ale dlatego, że przypadek nie istnieje, tak jak nie istnieją porządek, reguła ani hierarchia. Gatunek ludzki jest pojedynczym wypadkiem, który zdarzył się

pośród chaosu. Nic poza tym nie ma.

Wobec tak wielkiego braku spójności istnienia dziwi mnie, że ludzie częściej nie decydowali się na zastąpienie Boga, przejęcie jego funkcji i mocy, na popełnienie najcięższego grzechu oszustwa przez podszycie się pod kogoś, kim nie są. Z zamiarem wyższym i bardziej bluźnierczym niż jakikolwiek inny: stworzenia życia, tchnienia go w przedmioty nieożywione. Byłem w Pradze, kiedy pewien popędliwy i szalony rabin, znany jako Jehuda Löw, wprowadził w ruch Golema – zabawkę o kształtach ledwo przypominających ludzkie, wymodelowaną z gliny, o gigantycznych rozmiarach i niezgrabnych ruchach. Rabin wkładał mu w usta skrawek papirusu, na którym zapisał hasło, a Golem zaczynał poruszać kończynami i wykonywał rozkazy wydawane przez pana. Następnie Jehuda Löw wyjmował papirus z ust kreatury i ta stawała się bezwładna, niczym zwyczajna bryła gliny, którą zresztą była (rabin rozpuszczał pogłoski, że hasło zapisane na papirusie było jednym z sekretnych imion Boga, i co ciekawe, to właśnie, jak sądziło wielu ludzi, przydawało całej tej pantomimie prawdziwości).

Byłem też w Paryżu, kiedy niejaki Vaucanson zasłynał dzięki swojej kaczce – automatowi, który w owym czasie zdobył prawdziwy rozgłos. Była to figura z miedzi perfekcyjnie pod każdym względem imitująca prawdziwą

kaczkę, potrafiła, jak się zdawało, jeść i pić, pluskać się w wodzie i grzebać pazurami, a także wypróżniała się do srebrnej kuwety. Mówiło się, że ma układ trawienny. Rzecz jasna, z czasem okazało się, że wszystko to było jednym wielkim oszustwem: ziarno, które kaczką miała trawić, zatrzymywało się w przegródce ukrytej pomiędzy kołami zębatymi, a wypróżnienia ptaka nie były niczym innym jak masą umieszczoną w tylnej części automatu. Mechanizm, bądź co bądź, o wiele prostszy i bardziej naiwny niż Golem. Tak jak ów mechaniczny szachista, którego inny bystry człowiek, powszechnie znany jako Mälzel, obwoził po Europie ku uciechu rozgorączkowanym tłumów. Nikt nie chciał widzieć, że wewnątrz pozornie niezwyciężonej lalki krył się doświadczony gracz. Rzeczywiście nigdy nie został on pokonany przez żadnego z nierozważnych przeciwników, którzy zapragnęli się z nim zmierzyć, nie wyłączając samego cesarza Napoleona.

Otóż to, oszustwo. Prostactkie zabiegi imitujące czy też udające życie. Niemniej jedno jest pewne: równie często i z takim samym zapałem, z jakim ludzie oddawali się niszczeniu życia, starali się zrozumieć i okiełznać sterujący nim mechanizm. Czym bowiem w istocie jest życie? Co je oddziela od śmierci? Życie jest zjawiskiem tajemniczym, a niejednokrotnie również budzącym odrazę: ciało ludzkie, tak jak i zwierzęce, porusza się jeszcze po

śmierci: przez dość długą chwilę trwają ruchy perystaltyczne. Mięśnie kurczą się pod wpływem bodźców, nawet jeśli zostaną wydarte z ciała, do którego należały. W swoim czasie głośna była historia pewnego angielskiego urzędnika skazanego na śmierć za zdradę stanu: otwarto mu żywcem klatkę piersiową, wyrwano serce i wrzucono je do ognia. Nagle organ zaczął wykonywać skoki na wysokość niemal metra i powtarzał je przez jakieś siedem, osiem minut. Podobne zachowanie można zaobserwować u polipów, które nie dość, że po tym, jak zostają pocięte na kawałki, nadal się poruszają, to jeszcze regenerują się w ciągu kilku dni, tworząc tyle nowych polipów, na ile części je pokrojono. Również karaluchy, gąsienice, muchy i węgorki mają tę wspólną cechę, że ich odcięte fragmenty zachowują zdolność poruszania się, która dodatkowo wzrasta, kiedy je zanurzyć w ciepłej wodzie. Z kolei serce żaby może bić jeszcze nawet przez godzinę po wyjęciu z ciała, zwłaszcza jeśli wystawi się je na słońce albo umieści na powierzchni o odpowiedniej temperaturze. Żywe ciało, zupełnie jak automat, nie jest niczym więcej niż maszyną. Czy zatem to temperatura aktywuje jego sprężyny? A może temperatura to efekt, nie przyczyna procesu? Lub może pierwszą przyczyną życia jest tchnienie Ducha Świętego?

Często trudno mi odróżnić ludzi od zwierząt, ponieważ odżywiam się jednymi i drugimi, bez różnicy,

a wobec śmierci wszystkie te stworzenia reagują z podobnym strachem. Gdy delektowałem się swoim duchownym, uderzał on jeszcze o posadzkę wyłożoną mozaiką, spazmatycznie, niczym serce żaby albo kura z odciętą głową, a oczy nabiegły mu gniewem i nienawiścią. Gdyby rzeczywiście czekało ich jakieś życie pozaziemskie (nie ten potworny żywot, który my, wampiry, współdzielimy z Bogiem i Duchem Świętym, ale rodzaj doświadczanego niespodziewanie, świetlistego odkupienia, jakie sobie nawzajem obiecują), należy sądzić, że byłiby zdolni do zachowań nieco mniej rozczarowujących.

Ludzie nie znoszą myśli, że mogliby zostać zabici, a jednocześnie każdego człowieka ekscytuje możliwość przedziergnięcia się w zabójcę. Każdego bez wyjątku: gatunek ludzki nie jest niczym więcej niż rasą zabójców, dość już starą i niezmiernie liczną. Oto problem ludzkiej wolności: ledwo ktoś pomyśli, że ją osiągnął, zaraz zaczyna eliminować swoich współziomków. Porządek zostaje przywrócony, kiedy ktoś inny odbierze mu życie, dlatego że porządek to powstrzymanie apetytu na zbrodnię – prawie zawsze przez popełnienie innej zbrodni. Dlatego wojna jest – bardziej niż czymkolwiek innym – równoczesną realizacją żądzy zabijania nagromadzonej przez wszystkich przedstawicieli jednej generacji. Jest momentem zbiorowego oswobodzenia,

głębokim i niszczącym westchnieniem wypuszczonym z samej głębi duszy, zarówno przez ofiary, jak i przez katów.

Właśnie z tego powodu, patrząc na chłopca, widzę w nim nie dziecko, ale potencjalnego zabójcę – w niektórych przypadkach już nawet wypróbowanego w swoim fachu. Kiedy skończyłem ze swoim duchownym, szukałem jakiegoś wyjścia, które pozwoliłoby mi umknąć, nie będąc widzianym, aż w końcu przez małe drzwiczki wyszedłem na wąską, niebrukowaną ulicę. Tam go znalazłem: bawił się, kręcąc bączkiem na zapyłonej ziemi. Nie mógł mieć więcej niż sześć, może siedem lat, ubrany był w spodnie z surowego płótna i postrzępiony sweter. Policzki miał umazane smarkami i przyglądał się migdałowymi, szeroko otwartymi oczami plamkom krwi rozsianym po całej mojej twarzy. Stał nieruchomo w słabym świetle poranka, z bączkiem w ręce. A ja znów poczułem pragnienie, którego nigdy nie da się zaspokoić do końca.

I

Memento mori

– *Ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.* Odejdźcie w pokoju z Panem Naszym Jezusem Chrystusem, bracie.

Kłęczący na ziemi brat Plana podniósł głowę, chwycił rękami stulę, która zwisała z szyi brata Dardera, i próbował ją pocałować, ale udało mu się ją jedynie zaślinić. Brat Darder skinął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Bardzo was proszę, wstańcie już i odejdźcie – burknął.

Brat Plana posłusznie oddalił się, powłócząc nogami i mrużąc słowa podziękowania. Chuderlawy, w niedopasowanym ubraniu, z małą głową, zgarbionymi plecami i zbyt wielkim brzuchem, kilkoma włosami na krzyż zjeżonymi na czaszce i z na wpół bezzębnymi ustami niezwykle przypominał szczura, szcurka z wielkim pakunkiem na grzbiecie, co wywoływało u brata Dardera niekontrolowane odruchy obrzydzenia, kiedy znajdował się w jego obecności, a szczególnie kiedy prosił go on o wysłuchanie w konfesjonale. Przy tym lista grzechów brata Plany była zawsze taka sama, brat Darder, który słuchał jej już nieskończenie wiele razy, mógłby więc wyrecytować ją z pamięci. Zaczynała się od ciągu grzechów lekkich, popełnianych myślą i przez zaniechanie przeciw Matce Bożej lub jednemu ze świętych. Brat Plana recytował je szybko, mamrocząc niemal niezrozumiale, po

czym zdenerwowany przechodził do grzechów ciężkich, obejmujących prawie zawsze wypadki do spiżarni, by porwać trochę cukru albo kilka główek czosnku, które później, gdy nikt go nie mógł zobaczyć, pożerał w samotności. Obraz brata Planę węszącego po spiżarni pensjonatu albo ogryzającego w ukryciu i po ciemku czosnek mieszał się bratu Darderowi ze wspomnieniem grubych i odpychających myszy, które jako dziecko widywał w spichrzu ojca, a to sprawiało, że rosła w nim odraza i pragnął zakończyć spowiedź najszybciej, jak to było możliwe. Nakładał na brata Planę za jego grzechy pozbawione znaczenia rutynową pokutę i powstrzymywał odruch nakazujący mu zdjęć z szyi stułę, zanim człowieczek zdąży ją chwycić i przesunąć po ohydnych wargach z przesadną nabożnością, którą można by wziąć za łakomstwo.

Z drugiej strony kimże jestem – zapytywał sam siebie brat Darder, podczas gdy za bratem Planę zamykały się przeżarte przez wilgoć i korniki drzwi pokoju, a on wstawał z krzesła i teraz już spokojny, zdejmował stułę i składał ją starannie – aby udzielać komukolwiek wybaczenia? Trwająca od dwóch miesięcy wojna zdążyła już zbrukać wszystko: ulice Barcelony, powietrze, którym oddychali, słowa ludzi, spojrzenia dzieci, słoneczne promienie na fasadach budynków, blask księżyca i gwiazd w letnie noce... Wszystko przenikał ten sam odór rozkładu,

jakby świat przemienił się w napuchniętego trupa, a mężczyźni i kobiety byli tylko kłębiącymi się wewnątrz pasożytami. Powiew tchnący przez ludzkie skupiska, kiedy żyją w pokoju, odświeżający zamieszkiwane przez nie miasta i pozwalający im się rozwijać, w Barcelonie zniknął i teraz wydawała się ona zeszywniała, jakby zablokowana, podobna do gigantycznego parkietu wibrującego od wycia syren i dygoczącego od wybuchów. Od jakiegoś czasu zdawało się, że do wszystkiego przylgnęła warstwa brudu. Dusza brata Dardera nie była żadnym wyjątkiem.

Przeciągnął się, westchnął i po raz kolejny omiół wzrokiem nędzę pokoju, w którym się rozlokował: poobijane płytki, odpadające płyty wapna na ścianach, wszechobecne plamy wilgoci jak wypryski na chorej skórze. Po kilku sekundach owa nędza spływała z oczu do ust i dawała się przeżuwać, jakby była słodkim ziemniakiem. A – gotowane bataty, z rzadka doprawiane odrobiną tego samego cukru, który brat Plana od czasu do czasu podbierał ze spiżarni – jedli prawie codziennie. Bataty na obiad i na kolację. Jeszcze musieli dziękować właścicielce, że przyjęła ich w sekrecie do swojego przybytku. Do pensjonatu Capell przy ulicy Ferran. Od kiedy anarchiści wyrzucili ich z kolegium, które zajmowali (i które zostało skonfiskowane, tak jak pozostałe kolegia zgromadzenia oraz wydawnictwo Luis

Vives), bracia maryści musieli korzystać z potajemnie okazywanego miłosierdzia osób jeszcze dość odważnych, aby przygarnąć ich do swoich domów. Ale dotyczyło to wyłącznie takich jak on, czyli tych, którzy mieli szczęście i nie zostali zatrzymani ani straceni. Już od pierwszego dnia wojny w rzeziach na tle religijnym ginęli zarówno duchowni, jak i wierni świeccy, i 20 września 1936 roku, czyli dzisiaj, nic nie wskazywało na to, żeby czystki miały się prędko skończyć. Cokolwiek by mówili bracia Gendrau i Lacunza, którzy nawet w samym środku katastrofy starali się nie tracić ducha, na ile to było możliwe, plan anarchistów jawił się bratu Darderowi zupełnie jasno: chcieli zlikwidować ich wszystkich. Oni zaś mogli się jedynie ukrywać, niczym przerażone zwierzątka, i próbować swoich wpływów w tych kilku miejscach, które pozostały jeszcze w ich zasięgu, aby wydostać się z miasta cuchnącego stężoną śmiercią. W ciągu ostatnich tygodni umysł brata Dardera drążyło wciąż jedno pytanie, każdego dnia czuł, jak coraz głębiej wbija mu się ono w głowę i zbliża do serca: gdzie jest Bóg? Gdzie się ukrywa, kiedy dzieją się takie rzeczy? Dlaczego nie odpowiada? Próbował, kosztem nocy spędzonych na modlitwie i płaczu, wyrzucić je z myśli, ale ani łzy, ani modły nigdy nie przyniosły odpowiedzi, więc jedynie cisza, niczym zimny wiatr, rozbijała się wewnątrz czaszki brata Dardera dręczonego wciąż przez

jedno i to samo pytanie. Gdzie jest Bóg? Dlaczego ich opuścił, ich również, tak jak opuścił swego Syna przybitego do krzyża? Gdzie jest miłość, gdzie zmiłowanie? Tak, jego dusza przesiąkła trucizną, tak samo jak cała Barcelona, i zmieniła się w kawałek gotowanego ziemniaka w zaślinionej gębie brata Plany.

– Dzień dobry, bracie. Widzieliście brata Gendrau?

Z powodu swoich mrocznych rozważań brat Darder czuł się zawsze trochę zawstydzony w obecności niestrudzonego brata Lacunzy. Brat Lacunza był człowiekiem powściągliwym i prostym, pochodził z Nawarry i pełnił funkcję dyrektora kolegium marystów w Burgos. Na swoje nieszczęście zgodził się, kiedy wyższy przełożony prowincji zgromadzenia w Katalonii zaproponował mu poprowadzenie letniego kursu dla nowicjatu w Casa de les Avellanes w Balaguerze, i w ten sposób w dniu, w którym wybuchła wojna, brat Lacunza znalazł się w najgorszym możliwym miejscu w całej Hiszpanii. Musiał się potem ukrywać, jak cała reszta, i nie mógł już wrócić ani do Burgos, ani do Nawarry, gdzie bez wątpienia miałby zupełnie inne zakwaterowanie.

Nigdy jednak nie narzekał ani nie okazywał niezadowolenia z powodu swojego nieszczęścia. Wręcz przeciwnie, razem z bratem Pere Gendrau natychmiast oddał się do dyspozycji prowincjała i był gotów poruszyć niebo i ziemię w poszukiwaniu wyjścia z sytuacji. Musiał

istnieć jakiś sposób na opuszczenie tego niedorzecznego miasta, a oni muszą go znaleźć. Prowincjał poprzez jeden z niewielu kontaktów, które zostały mu w Urzędzie Miasta Barcelony, zdobył kilka glejłów podpisanych przez przewodniczącego Komitetu do spraw Zaopatrzenia, pozwalających na swobodne poruszanie się po mieście. Bracia Lacunza i Gendrau, oddelegowani przez prowincjała, korzystali z nich, starając się o uzyskanie zgody władz na opuszczenie Barcelony przez członków zgromadzenia. Niemniej wszystkie ich działania, przynajmniej na razie, nie przyniosły skutku. Kiedy uzyskanie paszportów albo chociaż pozwoleń na przekroczenie granicy okazało się niemożliwe, pojawiła się okazja w postaci włoskiego statku, który z końcem lipca przybił do portu w Barcelonie, aby zabrać pierwszą grupę uchodźców. Brat Lacunza, zaopatrzony w rekomendację pewnego znajomego Włocha – nazywali go Mageroni – wystarał się w Konsulacie Morskim o zgodę na zaokrętowanie marystów na tym statku, pod warunkiem że przedstawią odpowiednie zezwolenie, w tym wypadku wydane przez radcę Departamentu Administracji Generalitat, pana Josepa Marię Espanę. Ów szlachetny mąż odmówił jednak podpisania autoryzacji, obawiając się, że anarchiści, którzy kontrolowali zarówno port, jak i granice, zabiją go, jeśli to uczyni. Po tej pierwszej porażce przyszedł szereg kolejnych:

w konsulatach Francji i Niemiec oraz w negocjacjach z radcą Departamentu Kultury Generalitat, panem Venturą Gassołem. Wszędzie słuchano ich z powagą i zrozumieniem i wszędzie zbywano ich delikatnie, posługując się dość powtarzalnym repertuarem wymówek. W tym czasie doszły ich wiadomości, że patrol milicji robotniczej w Katalonii zamordowały już ponad pięćdziesięciu braci marystów złapanych na próbie ucieczki albo ukrywających się w pensjonatach i prywatnych domach. Oni sami któregośkolwiek dnia także mogli zostać odkryci albo wydani, albo Bóg wie co jeszcze, a potem rozdeptani jak kopiec mrówek. Mimo to brat Lacunza i brat Gendrau (ten drugi zaczął przypominać bratu Darderowi utraconego ojca) zachowali ten rodzaj niegasnącego optymizmu, który pozwalał im wciąż szukać drogi ucieczki z tym większym zapałem, im więcej drzwi zamykało się przed nimi. O tak, brat Darder podziwiał tego ducha, a sam czuł się nieco zawstydzony słabością królującą w jego własnej duszy. Dostrzegał również, i nie sprawiało mu to radości, bolesną stronę owej nieugiętej determinacji braci Lacunzy i Gendrau. Koniec końców, jeśli Bóg postanowił udawać głuchego, oni nie zmuszą go do pochylenia głowy i nastawienia uszu.

– Nie, przykro mi. Nie widziałem brata Gendrau od samego rana.

– Zglądałem do jego pokoju, ale go tam nie ma... –

Brat Lacunza trzymał w prawej dłoni kopertę i drżał ze zdenerwowania. – No cóż, spróbuję go znaleźć. Jeśli go zobaczycie, powiedzcie mu, proszę, że chciałbym z nim pilnie pomówić.

– Więcej złych wieści? – domyślił się brat Darder z miną wyrażającą ubolewanie.

– Jeszcze nie wiem, jeszcze nie wiem... – wymamrotał niespokojnie brat Lacunza. – Dostałem list i muszę omówić go z bratem Gendrau. List z FAI...[1]

– Z FAI? – Brat Darder przeraził się, myśląc że może chodzić o donos do anarchistów wysłany przez któregoś z sąsiadów pensjonatu Capell albo nawet przez samą senyore Gertrudis, właścicielkę, która musiała już być zmęczona ich obecnością.

– Na to wygląda – westchnął brat Lacunza. – Podpisali go dwaj kierownicy Komitetu Bezpieczeństwa. – Wyjął papier z koperty i zaczął czytać: Aureli Fernández i Antoni... Ordaz. We własnej osobie.

– Ale czego chcą? I jak się z wami skontaktowali? – dopytywał się z coraz większym niepokojem brat Darder.

Brat Lacunza potrząsnął głową na znak, że nie wie, i otworzył szeroko oczy, rozkładając przy tym ręce.

– Jacyś młodzi ludzie wetknęli mi go do ręki na samym środku Passeig de Gràcia. Trzej młodzi chłopcy, jeden z nich był marystą. – Nie zwróciwszy uwagi na zimny pot perlący się na czole brata Dardera, dodał: – To

zaproszenie. Piszą, że chcą się spotkać z przedstawicielami zgromadzenia marystów dwudziestego piątego dnia bieżącego miesiąca. Tu, niedaleko, w jednym z lokali przy placu Universitat.

– Ale...

Drzwi otwarły się i brat Plana wsadził do pokoju swoją szczurzą głowę.

– Bracie... – zająknął się.

– Czego znowu chcecie? – Zakonnik się zniecierpliwił. – Dziś już was spowiadałem, nie pamiętacie? Poza tym rozmawiam teraz z bratem Lacunzą.

– Tak, tak, widzę... – powiedział, wciąż się jękając. – Wybaczcie, proszę. Chodzi o brata Gendrau...

– *Confiteor Deo omnipotenti vobis fratres, quia peccavi nimis cogitatione, verbo, opere et omissione, mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa. Ideo precor beatam Mariam semper Virginem, omnes Angelos et Sanctos, et vos, fratres, ores pro me ad Dominum Deum nostrum...*

Pełen uniesienia głos biskupa Gabriela Perugorrii rozchodził się miękko po kaplicy Świętej Agaty klasztoru kapucynek w Sarrià, tłumiony przez monotony stukot deszczu o wielkie witraże.

– Amen – odpowiedziało dwadzieścia siedem głosów, jednomyślnych i radosnych.

Odprawiano specjalną liturgię z okazji setnych

urodzin siostry Presentació, która mimo osiągnięcia tak zaawansowanego wieku nie była wcale najstarsza w zgromadzeniu. Siostra Ascensió ze swoimi stu czterema latami i żelaznym zdrowiem miała bezsporną przewagę nad świeżo upieczoną stulatką, skręconą niczym winorośl i uczeponą kostura. Siostra Presentació chodziła tak zgięta, że czasami trudno było rozróżnić, czy stoi, czy siedzi. Natomiast siostra Ascensió trzymała się pewnie i prosto jak świeca, a jedyną dającą się dostrzec oznaką jej starości były czarne plamki, niektóre wielkości dwurealowych monet, rozsiane po całym ciele i zaczerniające twarz zakonnicy, jakby dawno temu odlaną z miedzi, której nikomu nie chce się czyścić. Jeśli siostra Presentació z każdym dniem coraz mocniej oplatała się wokół samej siebie niczym skręcone kolumny wirydarza, to siostra Ascensió w większym stopniu przypominała sekretarzyk z wiśniowego drewna. Jakkolwiek by było, dobre zdrowie i inteligencję jednej i drugiej postrzegano wewnątrz społeczności klasztornej jako pomyślny znak dla wszystkich sióstr. Nawet sama matka przełożona czasem wspominała o tym w formie pobożnego żartu. „Między anielskim Zwiastowaniem a Wniebowzięciem Matki Bożej jest cała wieczność zdrowia”[2] – mawiała. I wszystkie się śmiały.

Jakoś przecież trzeba było poprawiać sobie humor w tym specyficznym klasztorze widmie. Wszystkie

dwadzieścia siedem zakonnic wiedziało, że jeśli nowy porządek rewolucyjny przyzwolił, aby siostry kapucynki z Sarrià pozostały za czcigodnymi murami swojego klasztoru, zamiast wyrzucić je i skonfiskować budynek, to stało się tak wyłącznie dzięki temu, że matka przełożona była siostrą jednego z szefów FAI, człowieka groźnego i kalekiego, który zwał się Manuel Escorza. To właśnie on w pierwszych dniach wojny zajął się organizacją rewizji w gmachu zgromadzenia połączonej z fałszywymi zatrzymaniami: matce przełożonej we własnej osobie, pewnej nowicjuszce o zakonnym imieniu Concepció i jeszcze sześciu czy siedmiu młodym mniszkom, wprowadzonym wcześniej w szczegóły planu, nakazano wejść do furgonetki, podczas gdy pozostałe zakonnice, niewtajemniczone w podstęp, płakały strwożone, wznosząc modły w kaplicy Świętej Agaty. W pewnym momencie doszło nawet do przerażających scen, kiedy oddział milicji wyznaczony do napaści na dom kapucynek, porwany entuzjazmem i nadmiernym zapałem, postanowił sprofanować grobowce pięciu wcześniejszych matek przełożonych pochowanych w obrębie klasztoru. Milicjanci wydobyli zmumifikowane ciała i umieścili je przed głównym wejściem do budynku, gdzie wisały przez kilka godzin. Efektem incydentu były liczne omdlenia wśród zakonnic oraz świeckich dam, które miały to szczęście, że tamtego dnia przechodziły obok klasztoru

i natknęły się na mumie. Jednocześnie zdarzenie wywarło odpowiednie wrażenie i niewątpliwie przekonało całą okolicę, że kapucynki z Sarrià zostały zatrzymane i rozpedzone, a ich dom zakonny skonfiskowany w imię rewolucji, tak jak pozostałe należące do Kościoła budynki w mieście. Jeśli zaś chodzi o członków oddziału, którzy zaczęli podejrzewać, że są pionkami w jakiejś haniebnej grze dopiero wtedy, kiedy otrzymali rozkaz odstawienia zatrzymanych mniszek z powrotem do klasztoru oraz zdjęcia mumii z fasady budynku, to Manuel Escorza bez większego trudu obwinił ich o działania uznawane za zdradę stanu i kazał wszystkich rozstrzelać, aby mieć pewność, że nie dopuszczą się żadnej niedyskrecji.

Łatwo sobie wyobrazić radość, z jaką mniszki z Sarrià przyjęły powrót swojej matki przełożonej i najmłodszych siostr, oraz – w konsekwencji – gotowość, z jaką przystały na przyjęcie dwóch warunków postawionych przez Manuela Escorzę w zamian za to, że nie zostaną wygnane z klasztoru ani narażone na upokarzające traktowanie. Jako że sprawa dotyczyła mniszek klauzurowych, pierwszy z warunków był łatwy do wypełnienia: siostry miały absolutny zakaz jakichkolwiek kontaktów ze światem zewnętrznym. Oficjalnie klasztor kapucynek w Sarrià został ewakuowany, a na jego terenie, otoczonym pięciometrowej wysokości murem chroniącym przed wścibskimi spojrzzeniami, nikt nie mieszkał.

Budynek skonfiskowano w imię władzy ludowej (formuła, jaką posługiwano się zwykle w takich przypadkach) i oczekiwał on na wykorzystanie w taki czy inny sposób. Ponadto Escorza polecił zaufanemu człowiekowi zająć się dostarczaniem do klasztoru jedzenia, drewna na opał, odzieży oraz wszystkiego, czego wspólnota mogłaby potrzebować do utrzymania, a co bez większych trudności mógł dostać w magazynach z zarekwirowanymi dobrami.

Drugi warunek pojawił się po kilku tygodniach i również został zaakceptowany bez zbędnych pytań. Kapucynki miały przyjąć do swojej siedziby ni mniej, ni więcej, tylko samego biskupa Barcelony, Jego Ekscelencję Gabriela Perugorrię. Dopiero po długim i obfitującym w różne wydarzenia okresie prześladowań, który zaczął się w dniu, kiedy dostojnik o świcie, podczas ataku rewolucjonistów na pałac biskupi, musiał salwować się ucieczką tylnymi drzwiami, Escorzy udało się złowić tę grubą rybę. Otrzymał też ścisłe rozkazy, by chronić ją w odpowiednim akwarium, dopóki nie nadejdzie pora, by wyciągnąć z tego korzyści. Patrol milicji robotniczej zatrzymał biskupa, nie wiedząc, kim jest naprawdę, podczas rewizji w domu pewnego złotnika podejrzanego o ukrywanie duchownych i mniszek. Kiedy w końcu w areszcie przy Sant Elies ktoś rozpoznał don Gabriela Perugorrię w biedaku, któremu nakazano się rozebrać, zanim został poddany przesłuchaniom i upokorzeniom,

najbardziej zaskakująco zawiadomiono o wszystkim Manuela Escorzę. Aby zapewnić sobie bezpieczeństwo i konieczne milczenie, musiał on zabić całkiem sporo ludzi i napisać fałszywy raport informujący o egzekucji biskupa, ale gdy uznał, że już nie grozi im niebezpieczeństwo infiltracji, osobiście odprowadził Jego Ekscelencję do domu kapucynek i zamknął w doskonałej kryjówce, którą stworzył za milczącym przyzwoleniem swojej siostry. Mniszki przyjęły obecność don Gabriela Perugorrii, którego w mieście już od jakiegoś czasu uważano za martwego, za budzący nadzieję dowód działania Opatrzności Bożej. W tej chwili, podczas liturgii odprawianej z okazji setnych urodzin siostry Presentació, biskup perorował właśnie na ten temat:

– Opatrzność Boża, siostry – jego głos wznosił się ku coraz wyższym rejestrom – to obecność Pana Naszego we wszelkim stworzeniu. Owa obecność wyraża się nieustannie w wiecznej woli tworzenia i zachowania swego stworzenia, woli całkowicie nadrzędnej, dzięki której Bóg objawia się zgodnie z samą naturą dobra, będącego Jego właściwością. A czyni to dla dobra istnienia, a przeciw nicości, dla światła, a przeciw ciemnościom, dla życia, a przeciw śmierci.

Kiedy biskup kończył jakieś zdanie, które wydawało mu się szczególnie udane, wtedy podnosił lekko ręce, a wszystkie mniszki odpowiadały „amen”. Jednocześnie

chór sześciu młodych zakonnic stojących po lewej stronie ołtarza czystym głosem intonował krótką inwokację:

Pie Jesu Domine.

Nowicjuszka kierującą tym nielicznym, ale dobrze zgranym chórem była siostra Concepció, która zyskała sympatię matki przełożonej, towarzysząc jej podczas fałszywego zatrzymania. Inwokacja stanowiła zaś początkową frazę *Pie Jesu z Rèquiem* Gabriela Faurégo, które w tym szczególnym dniu tworzyło akompaniament dla słów kaznodziei. Po zakończeniu partii chóru ukontentowany z występu i zadowolony z siebie biskup Perugorría kontynuował:

– Jeśliby ludzie pozbawili mnie dóbr moich i czci, gdyby choroba odjęła mi siły, a ja sam straciłbym łaskę w grzechu, nie porzucę przecież nadziei, ale zachowam ją aż po kres mego żywota. I próżny będzie wysiłek wszystkich demonów piekielnych, by mi ją odebrać, z Twoją pomocą otrząsnę się bowiem z winy. Cała moja nadzieja opiera się na pewności, z jaką czekam pomocy Twojej, Panie, Ty sam bowiem utwierdziłeś mnie w nadziei.

Na co mniszki prędko:

– Amen.

A chór srebrnym głosem:

– *Pie Jesu Domine.*

I biskup w uniesieniu:

– Wiem aż nadto dobrze, że ja sam jestem słaby i zmienny; wiem, co może uczynić pokusa z najwytrwalszą z cnót, lecz mnie to nie uczyni tchórzliwym. Póki będzie we mnie prawdziwa nadzieja, nie dosięgnie mnie żadne nieszczęście i jestem pewien, że nigdy jej nie stracę, jest we mnie bowiem wiara, że obdarzysz mnie, Panie, wytrwałością w nadziei.

– Amen.

– *Pie Jesu Domine.*

– Jest we mnie pewność, że nie oczekuję zbyt wiele od Ciebie, Panie, i że nigdy nie dostanę mniej, niżbym się spodziewał. Dlatego przepęlnia mnie nadzieja, że obdarzysz mnie siłą w czas tak bliskiego niebezpieczeństwa, że ochronisz mnie przed wściekłym wrogiem i sprawisz, że moja słabość zatryumfuje nad najokrutniejszym z nieprzyjaciół. Przepęlnia mnie nadzieja, że nigdy nie odmówisz mi swej miłości, Panie, i że ja wiecznie miłować Cię będę, odrzuciwszy wszelką słabość. Aby zaś przybyć nareszcie tam, dokąd dąży moja nadzieja, w Tobie, o Stwórco mój, pokładam całą swoją nadzieję i czekam na Ciebie cały pisany mi na tym padole czas i całą wieczność. Amen.

– Amen – powtórzyły mniszki niemal z takim samym uniesieniem, jakie w widoczny sposób zawładnęło kaznodzieją.

W tym samym momencie siostra Concepció dała

nareszcie znak chórzystkom, by rozwinęły utwór, który do tej pory ledwo zaznaczały, i by rozbrzmiał całym bogactwem tonów. I chór zaintonował:

Pie Jesu Domine

Dona eis requiem

Dona eis requiem.

Wrażenie było niezwykle. W części wokalne partia sopranu, na który kompozycja została oryginalnie pomyślana, rozdzielała się na dwugłosowy kanon, gdzie głosy wchodziły w unison i się kontrapunktowały. Był to dość prosty, ale niewątpliwie efektowny zabieg. Instrumentacja orkiestrowa została natomiast, co logiczne, usunięta, chociaż trud, jaki pobożny Fauré włożył w harmonizację i kompozycję melodii, potraktowano z pełnym szacunkiem w nowym opracowaniu wokalnym.

Było to jedno z zajęć, jakim zwykła się oddawać siostra Concepció, która w życiu świeckim jako najmłodsza latorośl dostatnio żyjącego rodu Bachs Pinté (Papier, Karton & Artykuły Papiernicze, jak głosił szyld obszernego sklepu przy ulicy Tallers w Barcelonie, który był jedynie otwartym dla klientów przedsiönkiem firmy znanej jako jedno z największych przedsiębiorstw papierniczych w Hiszpanii) otrzymała staranne wykształcenie, obejmujące, rzecz jasna zgodnie z tym, co wypadało wiedzieć panience jej kondycji, szeroką edukację muzyczną. Liczne lekcje solfeżu, gry na

fortepianie i śpiewu prowadzone w sekcji dziecięcej Orfeo Català – a niektórych udzielał sam mistrz Millet^[3] we własnej osobie – dostarczyły energicznemu dziewczęciu wiedzy potrzebnej, by podjąć się pierwszych samodzielnych prób kompozycji polegających na reinterpretacji (ona sama wolała nazywać je nowymi odczytaniami) tych utworów i kompozytorów, których najwyżej sobie ceniła. Tak oto, poza Faurém (który był jednym z jej ulubionych; przy innej okazji włączyła do jego *Pavany* arpeggio gitarowe oraz szkic tekstu zaczynający się od słów „Jezu, strażnico mego serca”), z różnym powodzeniem opracowała przeróbki *Clair de lune* Saint-Saënsa, *Matinal* Toldrà i *Amor de mare* Garrety. Pytana o swoje niezwykłe hobby, siostra Concepció odpowiadała, czerwieniąc się, że jej próby nie mają żadnej wartości artystycznej, ale dla niej samej są ważne, ponieważ stanowią rodzaj modlitwy.

Jakkolwiek by było, jej odczytanie *Pie Jesu* wplecione w kazanie biskupa Perugorrii wywarło piorunujące wrażenie na zgromadzonych siostrach. Kiedy chór zakończył swój występ, w kaplicy Świętej Agaty zaległa pełna napięcia i szacunku cisza, kontrastująca z coraz głośniejszym szumem deszczu uderzającego w witraże. Teraz tworzył on gęstą zasłonę wody. Kapucynki z Sarrià przenikało niemal namacalne uczucie wdzięczności i podziwu, kiedy siostra Concepció stała

z opuszczonymi rękami i pochyloną głową, jakby z jej młodego ciała wyciekły właśnie kropla po kropli wszelkie siły. Siostra Anunciació, jedna ze śpiewających w chórze, ocierała oczy pełne łez. Otyłe siostry Benedicció, Dormició i Visitació, zwolnione z obowiązku klękania podczas nabożeństwa, jako że za każdym razem trzeba im było pomagać się podnieść (co przy jednej z okazji spowodowało u matki przełożonej zwichnięcie nadgarstka) z trudem powstrzymywały piski wyrażające ich zachwyty. Natomiast biskup Perugorría, jaśniejący niczym płonąca zapałka, wymieniał z matką przełożoną dziwne spojrzenia, które równie dobrze mogły być oznaką osłupienia, jak i współnictwa.

Niemniej nikt nie śmiał się odezwać. Cisza w kaplicy przeciągała się od kilku minut, aż wreszcie siostra Presentació, wsparta na lasce, wymruczała bezzębnymi ustami:

– Dziękuję, córko.

Siostra Concepció obudziła się z odrętwienia i skierowała ku wiekowej solenizantce spojrzenie i uśmiech pełne prostoty. Zdawało się, że zamierza podziękować za uprzejmość staruszki, ale w tym samym momencie uderzenie, które zadźwięczało niczym grom, zmusiło wszystkich do skierowania wzroku w głąb kaplicy. W jednym ułamku sekundy siostronom przebiegł po plecach identyczny dreszcz, lecz zaraz powrócił spokój.

To tylko wiatr, który otworzył na oścież obydwie skrzydła drzwi i tłukł nimi z hukiem o masywne mury. Nagle zimny podmuch powietrza wdarł się do wnętrza kaplicy, a równocześnie przez otwarte wejście wlewał się deszcz przemieszany z gradem podobnym do małych szklanych kulek.

– To nic takiego – uspokajała siostry matka przełożona. – Ostatnio byle drobiazg nas przeraża, nie mam racji? Pogratulujmy naszej ukochanej siostrze Presentació setnych urodzin, prawdziwego przywileju, którym nasz Pan obdarzył ją samą, jak również całą naszą wspólnotę, z pokorą i bojaźnią bożą podziękujmy także Jego Ekscelencji za jego natchnione i wspaniałe kazanie.

– Amen – odpowiedziały wszystkie głosy.

Matka przełożona niespiesznie, z błyskiem w oczach, dodała jeszcze:

– Podziękujmy również naszym siostrom chórzystkom, a zwłaszcza młodej siostrzyczce Concepció, za piękno wykonanej pieśni.

– Amen – powtórzyły głosy.

Siostra Concepció złożyła dłonie na wysokości piersi i pochyliła głowę, przytłoczona wyróżnieniem, jakie ją spotkało. Przez rozwarte na oścież drzwi do kaplicy wpadł, zupełnie nie w porę, daleki i przenikliwy krzyk mewy.

– Niech Bóg się nad nami zlituje – wymruczał

skonsternowany brat Plana, składając ręce jak do modlitwy.

– Bóg? Zapewniam was, że Bóg nie ma tu nic do rzeczy. A jeśli chcecie znać prawdę, to powiem wam, że mnie nie jest źle. Tylko tego nam brakowało...

Tym, który to mówił, był komisarz Gregori Muñoz. Jego sposób wysławiania się odpowiadał dość dokładnie jego wyglądowi, ponieważ przypominał obwoźnego sprzedawcę towarów żelaznych albo Cygana, albo obydwu naraz.

– Do kurwy nędzy złotej... – wtrącił się tylko po to, żeby coś powiedzieć, funkcjonariusz Mossos d'Esquadra przybyły razem z komisarzem Muñozem. Rudy chłopak z pokancerowaną twarzą, do którego jego przełożony zwracał się per Sirga. Albo durniu, jeśli mu akurat pasowało.

– Nie odzywaj się, durniu, jeśli cię nie pytają – uciał komisarz Muñoz.

– Tak, panie komisarzu – przytaknął Sirga.

Czwarty mężczyzna, surowy i patykowaty sędzia Miquel Carbonissa, skrzyżował ręce na plecach i mlaskał, uderzając językiem o podniebienie.

Wszyscy stali skupieni wokół siedzącego w kucki doktora Humberta Pellicera, który kiwał głową i odchrząkiwał, badając zwłoki zamordowanego chłopca. Ciało spoczywało na noszach, które pielęgniarze

z Czerwonego Krzyża wnieśli do ambulansu zaraz po zakończeniu przez lekarza obdukcji poprzedzającej sekcję zwłok. W samochodzie znajdowała się już matka, chuda kobieta o wyglądzie gruźliczki, wyraźnie wstrząśnięta po przejściu ataku nerwowego. Ojciec – mechanik samochodowy, niski i krzepki, wciąż ubrany w fartuch roboczy – krążył po wąskiej uliczce przylegającej do wejścia do pensjonatu Capell z miną wyrażającą całkowite i bezmyślne ogłupienie, jakby mu ktoś przyłożył młotkiem. Od czasu do czasu mężczyzna znajdował na ziemi grudkę zaschniętej krwi, którą zakrywał, rozgrzebując nad nią czubkiem buta bryłkę ziemi.

Pielęgniarze poświęcali też trochę uwagi senyorze Gertrudis, jako że to ona znalazła obydwie trupy. Zwłoki brata Gendrau rozciągnięte na pół kuchni, z otwartymi ustami i poderżniętym gardłem, oraz dziecka, o które potknęła się w połowie uliczki, kiedy wybiegła z pensjonatu Capell tak przerażona, że nawet nie zaczęła wzywać pomocy. Chłopiec leżał zwinięty, z zamkniętymi oczami: mogłoby się wydawać, że śni jakiś przyjemny sen, gdyby nie brzydka i kręta rana widoczna na szyi. Spod jego głowy rozlewała się kałuża krwi, która w kontakcie z ziemią i żwirem krzepła w grudki. Wokoło wszędzie było pełno krwawych plam, jakby krew, zamiast wyciekać z ciała dziecka, rozpryskiwała się. Osłupiała senyora Gertrudis właśnie miała wydać z siebie krzyk

przerażenia, który zwróciłby uwagę przechodniów, kiedy upadła zemdlona obok martwego ciała. Teraz siedziała na trzcinowym fotelu blisko otwartych drzwi do pensjonatu, wpatrując się w płytki podłogowe poznaczone śladami krwi brata Gendrau. Podczas gdy sanitariusze, wykonując polecenie sędziego Carbonissy, podnosili ciało zakonnika, senyora Gertrudis przyglądała się swoim dłoniom i przeżuwała niezrozumiałe słowa niczym koza lucernę.

Doktor Pellicer odsunął się od ciała dziecka, wstał z trudem spowodowanym wiekiem i nadwagą i skinął na pielęgniarzy, którzy natychmiast zaczęli ładować nosze do ambulansu, gdzie rozhisteryzowana matka wybuchła nową serią krzyków. Kobieta rzucała bluźnierstwa, które wprowadziłyby w zakłopotanie najobojętniejszego wśród agnostyków (bracia Plana, Darder i Lacunza udawali, że ich nie słyszą): deklarowała, że jest gotowa umrzeć zamiast syna, przysięgała, że zabije całą masę ludzi, połykała i znów mełła w ustach sylaby, przerabiając je na długie i czekające na strawienie muczenie. W końcu trzeba było ją ubrać w kaftan bezpieczeństwa i związać go rzemieniami. Oszołomiony mąż nie chciał wsiąść do samochodu, wolał zostać w uliczce, gdzie znaleziono martwe dziecko, jakby postanowił trzymać tam straż. Mężczyzna snuł się nieprzytomnie po ulicy, w górę i w dół, z rękami założonymi za fartuch, przytłoczony

niedorzecznością sytuacji.

Doktor Pellicer zakrył sobie rękami twarz i zaczął lekko masować skórę nad brwiami, wzdychając z głębokim zawodem. Przez jedną bardzo krótką chwilę spoglądał sędziemu Carbonissie w oczy i obydwaj mężczyźni wymienili kiwnięcia głowami, które równie dobrze mogły oznaczać zgodę, jak rezygnację. Ambulans (model Forda, który wraz z trzema innymi jednostkami przybył kilka tygodni wcześniej ze Stanów Zjednoczonych Ameryki jako dar od Przyjaciół Hiszpańskiej Demokracji) ruszył w obłoku dymu, który pokrył podniebienia wszystkich obecnych posmakiem spalonej benzyny. Minęło południe, zaczynał kropić deszcz i nikt nie wiedział, co powiedzieć. W końcu Sirga, mnąc w obydwu dłoniach mundurową czapkę, otworzył usta i rzekł:

– No to mamy plagę księżobójców... – Jego słowom towarzyszył lekki uśmiech, odsłaniający przynajmniej dwa nadpsute zęby.

– Zamknij się, durniu – powtórzył komisarz Muñoz, nawet nie spojrzawszy na niego.

– Tak jest, panie komisarzu – odparł tamten, pochylając głowę.

Ponownie zapadła cisza, tym razem trochę bardziej niezręczna. Trzech zakonników wymieniło krótkie spojrzenia pełne niepokoju. Ojciec zabitego dziecka, nie zwracając na nic uwagi, usiadł w kącie obok chwastów

zarastających chodnik, z łokciami opartymi o kolana i głową podpartą na rękach. Niespodziewanie gdzieś daleko odezwała się, fabryczna syrena. Brat Pau Darder pomyślał, że dźwięki syren fabrycznych brzmią uspokajająco w przeciwieństwie do kaleczącego ucho jęku alarmów lotniczych. Syreny przyzwoitości zapowiadające uczciwe wynagrodzenie za dobrze wykonaną pracę. Przyszło mu do głowy, że ta odległa syrena przypominała lament albo prośbę o wybaczenie okropności rozciągających się przed jego oczami. Tyle że czyja by to mogła być prośba? W końcu, z trudem powstrzymując drżenie głosu, zadał pytanie, którego nie śmiał przedtem wypowiedzieć:

– Pan wybaczy, ale dlaczego wypowiedział pan tamtą uwagę na temat... na temat księży?

Zwrócił się do Sirgi, ale odpowiedział mu komisarz Muñoz.

– Dlatego, że zmarły był bez wątpienia osobą duchowną. Tak samo jak panowie. – Tu wskazał palcem na każdego z trzech marystów. – Choćbyście nie wiem jak się starali przebrać za chłopów, macie to wypisane na twarzach, braciszku. Bo jesteście zakonnikami, nie myślę się, co?

Brat Darder zrobił się czerwony jak burak, a brat Plana przełykał ślinę z takim zapałem, że wszyscy mogli go usłyszeć bez trudu. Brat Lacunza wbił zaś wzrok

w ziemię, jakby zgubił coś niesłychanie cennego. Mżawka, która zdążyła już ich zmoczyć, sprawiła, że zdawali się jeszcze bardziej bezradni. Komisarz Muñoz uśmiechnął się niewyraźnie i powiedział:

– Nie bójcie się, panowie, nie zatrzymam was. Tak naprawdę nie zamierzam nawet wspomnieć w raporcie o tym szczególe, że jesteście panowie... Jak właściwie powinno się o was mówić? Braciszkwowie na urlopie? – Wykonał pogardliwy ruch ręką. – Dobrze, tak czy siak, nie musicie się martwić.

Trzech zakonników w ciszy obserwowało policjanta, nie dowierzając jego słowom.

– Nie patrzcie tak na mnie! – wykrzyknął komisarz. – Mówię szczerze. Gdybym na was doniósł... Razem z tym wszystkim, co bym musiał zrobić potem, miałbym za dużo roboty. Nie warto. A jeśli chodzi o Sirgę... – Odwrócił się do rudego funkcjonariusza i poklepał go po ramieniu. – On też niczego nie widział, prawda, chłopcze?

– Co tylko pan każe, panie komisarzu – odparł Sirga.

Sędzia Carbonissa obserwował scenę z zadowoleniem, a doktor Pellicer zaczął skręcać papierosa.

– Świetnie – podsumował komisarz Muñoz. – O wiele bardziej interesuje mnie to, co tutaj zaszło. Nie dość że mamy martwego księdza, to jeszcze martwe dziecko. Nie wiem, co panowie o tym myślicie – zwrócił się do lekarza

i sędziego – ale mnie to nie wygląda na robotę anarchistów.

Doktor Pellicer zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wydmuchnął kłęb dymu, gruby i spleciony niczym lina. Potem się odezwał:

– Też jestem tego zdania, komisarzu. Już sposób, w jaki zadano im śmierć, nie ma nic wspólnego z egzekucjami duchownych, które odbyły się w ostatnich tygodniach. Widać wyraźnie, że nie użyto broni palnej, ponieważ obydwu ofiarom poderżnięto gardła. Duchownemu za pomocą noża kuchennego. A jeśli chodzi o dziecko, rana na szyi zasadniczo wskazuje na ugryzienie zwierzęcia, które oderwało również kawałek mięsa. Jak się wydaje, nie mamy tu do czynienia z plutonem egzekucyjnym, ale z pojedynczym człowiekiem, któremu prawdopodobnie towarzyszył duży pies.

– Boże święty! – wyszeptał zmartwiony sędzia Carbonissa.

– Zbadaliśmy ziemię w poszukiwaniu śladów – obwieścił komisarz Muñoz. – Zidentyfikowaliśmy jedno jako należące do chłopca oraz inne, pozostawione przez dwójkę dorosłych: właścicielkę pensjonatu i przestępcę. Nie ma natomiast żadnych śladów psa ani innego zwierzęcia.

– Jest pan tego pewien? – zapytał doktor Pellicer, wydmuchując dym wszystkimi otworami w twarzy.

– Musi pan palić? – naskoczył na niego wyraźnie zdenerwowany policjant. I dodał: – Oczywiście, że jestem pewien. Myśli pan, że nie umiem rozpoznać śladów psa, kiedy je widzę?

– Niech się pan nie denerwuje, spokojnie – odpowiedział lekarz pojednawczo i wciągnął kolejną porcję dymu, nie zważając na wcześniejsze protesty komisarza. – Coś tam jeszcze znaleźli podczas oględzin? Coś ciekawego, o czym warto by było wspominać?

Komisarz Muñoz wbił spojrzenie w oczy Sirgi, co było równoznaczne z wydaniem polecenia, by się odezwał.

– Za... zabawkowego bą... bączka – wybełkotał zmieszany. – Le... leżał tutaj na ziemi, obok ciała chłopca...

Rozległ się gardłowy dźwięk przypominający miauczenie kota w rui. Był to ojciec dziecka, o którym wszyscy zdążyli zapomnieć, a którego wspomnienie bączka musiało wyrwać z odrętwienia. Wyprostował się, rozłożył ręce, rozstawił nogi i z głową odchyloną do tyłu wydał z siebie na wpół zduszony ryk. Następnie ruszył, jakby nieświadomy obecności grupy przyglądających mu się mężczyzn, w górę uliczki i oddalił się niepewnym krokiem w stronę Rambli, podążając niewidzialnym szlakiem w mżawce, ze zmokniętą głową. Przy każdym kroku balansował przesadnie całym ciałem, jakby niósł na

ramionach coś niezwykle ciężkiego. Podmuch wiatru przekreślił mu fartuch mechanika i wyglądało to tak, jak gdyby pod spodem nie było nikogo.

– Biedny człowiek – westchnął litościwie sędzia Carbonissa.

– Będę musiał zbadać tego bączka – podjął przerwany wątek doktor Pellicer, rozmyślając na głos. – Może przywarł do niego jakiś włos albo kropla psiej śliny...

– Coście się tak uczepili tego pieprzonego psa? – parsknął z irytacją komisarz Muñoz.

– Jednakże – zaczął brat Darder, który w odróżnieniu od braci Lacunzy i Plany odważył się w końcu otworzyć usta – wydaje mi się, że to zbyt ryzykowne odrzucać już na wstępie hipotezę o zbrodni wojennej. Od wybuchu wojny i tylko w ramach zgromadzenia marystów opłakiwaliśmy już zabójstwa wielu braci...

– Wybaczcie, ojcze – przerwał mu komisarz Muñoz – nie jesteście stąd, prawda? To znaczy nie jesteście z Barcelony?

– Nie – wyjąkał zaskoczony zakonnik. – Urodziłem się w Palmie i tam też mieszkałem, dopóki rodzina nie wysłała mnie do Barcelony na studia w seminarium diecezjalnym...

– Palma de Mallorca, co? – Policjant znów wszedł mu w słowo, tym razem z ironią. – Podobno wszyscy są tam nadzwyczaj spokojni, zgadza się? Dlatego będę musiał

poprosić was, żebyście się trochę uspokoili, braciszku.

Głos komisarza Muñoza stał się twardszy i brzmiał nieprzyjaźnie. Funkcjonariusz Sirga odskoczył od przełożonego jak oparzony kot. Sędzia Carbonissa uniósł brwi, a doktor Pellicer posłał obłok papierosowego dymu prosto w twarz komisarza.

– Jezu, kurwa, ja pierdołę! – ryknął, wachlując sobie twarz rękami. – Chcecie mnie udusić?

Bluźnierstwo policjanta jakby nie dotarło do uszu braci Plany i Lacunzy, którzy nieporuszenie trwali w miejscu z oczami wbitymi w ziemię. Brat Darder zaś ponownie się wtrącił, wyraźnie niezadowolony z wcześniejszego komentarza:

– Proszę posłuchać, komisarzu, nie rozumiem, co pan miał na myśli...

– Nie, to wy mnie posłuchajcie, braciszku – wykrztusił komisarz, który najwidoczniej postanowił nie pozwolić bratu Darderowi na dokończenie ani jednego zdania. – To ja tu reprezentuję prawo i porządek i zapewniam was, że nie odpuszczę mordercy tego biednego dzieciaka i waszego... towarzysza, czy jak go tam zwał, złapię go i dam mu popalić. Powiedziałem wam również, i to potwierdzam, że nie mam zamiaru na was donieść. Ale ostrzegam was, jeśli znów usłyszę, że się mądrzycie albo macie do powiedzenia choćby jedno słowo na temat tego, jak należy prowadzić śledztwo, doniosę na was pod

pierwszym lepszym pretekstem, jaki przyjdzie mi do głowy, i tak was załatwią, że naszczacie więcej wody święconej, niż w życiu widzieliście, rozumiano? Są tu lekarz sądowy, sędzia i dwóch policjantów. Co się was tyczy, to zdaje się, że wasze królestwo nie jest z tego świata, prawda? Więc lepiej idźcie spowiadać siostrzyczki i dajcie ludziom pracować, do jasnej panienki!

Wszyscy stali jak skamieniali, oprócz Sirgi, który gryzł wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, bo wycieczki pod adresem kleru zawsze go bawiły, ale nie chciał znowu usłyszeć, że jest durniem. Nagle deszcz zaczął padać z większą siłą i jedynie szum wody wypełniał ciszę wiszącą pomiędzy mężczyznami.

– Rusz się, Sirga, idziemy, nie mamy całego dnia – warknął w końcu komisarz Muñoz. – Sukienkowi... – wycedził jeszcze przez zęby na odchodnym.

Brat Darder stał z kwaśną miną, niczego jednak nie powiedział ani nie zrobił: z czubka nosa zwisała mu przez chwilę drżąca kropla deszczu, zanim spadła prosto na but, on tymczasem trwał w bezruchu i w milczeniu przełknął wybuch policjanta. Doktor Pellicer podziwiał zaciekawiony umiejętność samokontroli duchownego, który był człowiekiem jeszcze młodym – nie miał więcej niż trzydzieści lat – wysokim i krzepkim, o wyglądzie wieśniaka i czarnych, przenikliwych oczach, które wbijały

się w źrenice tego, kto na niego spoglądał. W przeciwieństwie do niego komisarz Muñoz był drobny i chuderlawy, miał około czterdziestki, lecz zapadnięte policzki sprawiały, że wydawał się starszy, i gdyby nie pewna dość marna elegancja, jakiej przydawały mu galony, mógłby śmiało uchodzić za knajpianego krzykacza, zarozumiałego niczym bojowy kogut. „Zwyczaj ludzi niskiego pochodzenia” – pomyślał lekarz. „Mały piesek szczeka na dużego”. Rzucił na ziemię niedopałek papierosa i postanowił pójść do kostnicy, gdzie czekała na niego robota przy sekcji zwłok dziecka i brata Gendrau. Tymczasem podszedł do niego sędzia Carbonissa i chwycił go za ramię. Doktor Pellicer spojrzał mu w twarz i skinął głową. Na koniec do obydwu policjantów, którzy także zamierzali odejść, urzędnik powiedział:

– Komisarzu? Wybaczcie, komisarzu! – krzyknął z niezwykłym wigorem.

– Słucham, panie sędzio – mruknął komisarz Muñoz, odwracając się z obojętnością. – Ale mówcie szybko, przemokniemy tu do suchej nitki.

– Tak, tak, tylko sęk w tym, że właśnie przyszło mi do głowy... – Zawahał się. – *À propos* tego, co zasugerował doktor w związku z udziałem psa w śmierci dziecka...

– A wy swoje – prychnął policjant z niezadowolaniem.

– Nie, nie! – poprawił się natychmiast sędzia Carbonissa. – Chciałem powiedzieć... Cóż, sama myśl o tym jest przerażająca, ale... Czy nie mogło być tak, że rany na szyi dziecka powstały na skutek ugryzienia nie przez zwierzę, ale przez człowieka?

Komisarz patrzył na sędziego z zaciekawieniem godnym entomologa. Miał zamiar rzucić jakąś krótką i celną ripostę, ale w tej chwili rozpadało się na dobre, a po kilku sekundach sypało już gradem. Wszyscy ruszyli pędem w dół ulicy Ferran tak szybko, jak tylko umieli.

– Dzwonił Escorza. Mówił, że tutaj idzie – ogłosił Antoni Ordaz, odwieszając słuchawkę.

– Chuj by to – mruknął z powagą Aureli Fernández.

Ordaz był jednym z szefów Komitetu Obrony w dzielnicy Sant Martí de Provençals oraz członkiem założycielem Komitetu Milicji Antyfaszystowskich CNT-FAI. Był niski, krępy i ponury, ale jeśli miał w tym jakiś interes, starał się sprawiać wrażenie osoby serdecznej i szczerzej. Szkoda tylko, że mu się to nigdy nie udawało.

– Rozmawiałem dziś rano z Gilem Portelą, tym z Pozwoleń – dodał skwapliwie Ordaz. – Wszystko jest pod kontrolą.

– W pytę – powiedział cicho Aureli Fernández.

Ordaza, który próbował być miły dla swojego przełożonego, doprowadzał do szału jego zwyczaj cedzenia przez zęby określeń związanych z penisem

w odpowiedzi na jakiegokolwiek zadane pytanie. Prawdą było, że Fernández miał sporo na głowie: zaangażowany tak samo jak Ordaz w działania Komitetu Milicji Antyfaszystowskich, odpowiadał także za Wydział Bezpieczeństwa, jego zadaniem miało być zreorganizowanie polityki bezpieczeństwa, a głównym celem – stworzenie tajnej policji, która współpracowałaby z Oddziałami Milicji Robotniczej. Celem pracy Wydziału Bezpieczeństwa było ściganie wrogów nowego porządku rewolucyjnego, karanie działalności faszystowskiej w Katalonii, a także kontrola granic lądowych i morskich, przez które transportowano zarówno towary oraz aktywa, jak i, co oczywiste, ludzi. Całą tę robotę Fernández musiał bezbłędnie zsynchronizować, jeśli nie chciał poczuć na sobie całej brutalności Kulawca od Świętego Eliasza, czyli Escorzy. Bo gdyby to zależało tylko od niego, nie czekałby długo. Z tego też względu Aureli Fernández wciąż był strapiony i przygnębiony.

Urzędowali w biurze zajmowanym przez niego w siedzibie głównej Oddziałów Milicji Robotniczej przy Gran Via, między ulicami Calàbria i Entença. Ordaz przekładał papiery i przeglądał akta, gdy nagle Fernández coś sobie przypomniał i jego nos podniósł się jak kwiatek, któremu wróciło życie.

– Wiemy już coś o tym pierdolonym maryście, do

którego jakiś czas temu posłaliśmy list? – zapytał pełen sceptycyzmu.

Ordaz się uśmiechnął. Nadeszła chwila oczekiwanego tryumfu.

– Sprawa idzie gładko, Aureli. Patrz, dostaliśmy to wczoraj po południu. – Wyciągnął ponad stołem ręcznie spisana notatkę wypełnioną drobnymi literkami. – To jego odpowiedź, podpisana przez tego marystę z Nawarry, niejakiego Lacunę. Mówi, że zgadzają się na spotkanie dwudziestego piątego.

Aureli Fernández uniósł brwi.

– Stary, no to w pykę. – Na jego twarzy pojawiła się skomplikowana mina, który miała wyrażać uśmiech, ale bardziej przypominała grymasu bólu. – Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się żadnej odpowiedzi od tej bandy braciszków.

– To nie są zwykli mnisi, to zakon nauczający – poprawił go Ordaz.

– Macacze dziecięcych siusiaków, spijacze mszalnego wina... cokolwiek – podsumował Fernández. – Skąd wystraszałeś te turkaweczki?

Ordaz pękał z dumy, pławiąc się w swoim małym tryumfie.

– Cóż, nie byli specjalnie dyskretni – odpowiedział, śliniąc się. – Jak się zdaje, zdobyli jakoś kilka pozwoleń od Abastosa i chodzili z nimi w tę i we w tę, pukając do

każdych drzwi, jakie przysły im do głowy, i prosząc, żeby pozwolono im opuścić Barcelonę. Wiadomo, że zgromadzenie maryistów, jak sami się nazywają, pochodzi z Francji i że braciszkanie chcą się tam udać...

– Do ilu drzwi, co?

– Już ci mówiłem, do wszystkich, jakie mieli w zasięgu. Rozmawiali nawet z radcami Hiszpanią i z Gassolem...

– A z Tarradellasem?

– Nie, z nim nie. Na pewno nie mieli do niego dostępu, w przeciwnym razie możesz być pewien, że poszliby prosto do niego. Niezależnie od tego trzeba by go o wszystkim poinformować...

– Tak, tak, zajmę się tym – zgodził się Aureli Fernández. – Ale najpierw musimy porozmawiać z Escorzą. – Przesunął ręką po twarzy. – Czyli spotkanie mamy dwudziestego piątego...

– Właśnie tak.

– Gdzie się spotkacie?

– W Tostadero, na placu Universitat. Można tam zarezerwować salkę, to dobre miejsce do ubijania interesów... W liście zapowiedzieli, że przyjdą dwaj braciszkanie: Plana, to ten nasz człowiek, i Lacunza, ten Nawarczyk, który zajął się organizacją spotkania. Dziwne, że nic nie mówią o jednym z tutejszych, nazywa się Gendrau i zawsze im towarzyszy... Zresztą to bez

znaczenia, najważniejsze, że pojawi się też gruba ryba prosto z Francji, niejaki... – sprawdził – ...Émile Aragou, doradca. Kimkolwiek by był, jest to facet przy kasie.

– W pytę. Oczywiście ty tam pójdziesz. – Antoni Ordaz znów się uśmiechnął, wyprostowany jak struna. – Powiedz Gilowi Porteli, że kazałem mu iść z tobą. I weźcie też z sobą jakiegoś zaufanego człowieka.

– Doskonale. Dziękuję, Aureli – pospieszenie dodał Ordaz przymilnym głosem.

– Ale macie ich tylko nastraszyć, żadnej przemocy – uprzedził skrupulatnie Fernández. – To ma być czysta robota. Wyciągamy z nich tyle, ile się da, pozwalamy im wyjechać i koniec. Nie możemy się zajmować zapychaniem Barcelony *fiambres* z braciszków, mniszek i zakonnic.

– A niby czemu nie, Fernández?

Powiedział to Escorza, stojący w drzwiach biura. Antoni Ordaz czuł, jak dreszcz przebiega mu po kręgosłupie. Aureli Fernández odwrócił się na krześle w stronę nowo przybyłego, spojrział z udawaną pewnością siebie i rzucił:

– Do chuja, Escorza, bo nie. Musimy pilnować, żeby nie wymknęło nam się to wszystko spod kontroli, nie sądzisz? I przestań wtrącać się bez zapowiedzi do cudzych rozmów, bo ktoś kiedyś dostanie przez ciebie zawału.

Natychniast pożałował tego, co powiedział, ale było już za późno. Manuel Escorza del Val nie musiał pojawiać się nieoczekiwanie na spotkaniach, żeby wywołać u kogoś atak paniki albo uczucie z gatunku tych pomiędzy litością a obrzydzeniem. Escorza cierpiał w dzieciństwie na polio, nie wyrósł, a choroba zdeformowała mu sylwetkę – ciało składało mu się wpół, wyglądało jak chwiejący się worek mięsa; wprost z niego, niczym jakaś narośl, wystawała głowa. Oczy miał wyłupiaste, a usta mięsiste i nieproporcjonalne. Poruszał się o kulach, nosił buty na monstrualnie wysokim koturnie, próbując w ten sposób zrekompensować sobie niski wzrost, lecz jedyne, co udawało mu się osiągnąć, to jeszcze żałośniejszy wygląd. Na pierwszy rzut oka każdy człowiek był skłonny uznać, że ma do czynienia z osobą niedorozwiniętą umysłowo, ale było wręcz odwrotnie. Escorzę cechowała błyskotliwa inteligencja, był praktyczny i dobrze zorganizowany, co pozwoliło mu zdobyć pozycję najwyższego zwierzchnika Służb Bezpieczeństwa, a tym samym zostać bezpośrednim przełożonym Aurelego Fernándeza, który próbował, choć bezskutecznie, pogodzić się z autorytetem Kulawca od Świętego Eliasza. Nazywano go tak od imienia patrona dawnego klasztoru przy ulicy o tej samej nazwie, który obecnie służył jako główna siedziba komitetu FAI oraz areszt, gdzie pod rozkazami Escorzy regularnie dokonywano zabójstw

i prowadzono tortury, a relacje z nich sprawiały, że bledli najzagorzalsi rewolucjoniści. Nikt inny nie miał jednak w sobie takiego opanowania, determinacji, a zwłaszcza morderczych instynktów jak Manuel Escorza, człowiek okaleczony na duszy i ciele.

– Rozmawialiśmy o pewnej, nazwijmy to, transakcji z zakonem marystów. Towarzysz Ordaz zlokalizował ich i nawiązał kontakt – poinformował Aureli Fernández, starając się zatuszować wcześniejsze niestosowne zachowanie. – Chcą przekroczyć granicę z Francją i wygląda na to, że mogą zaoferować nam za to gotówkę, trzeba się tylko dowiedzieć ile...

– Bardzo proszę, towarzyszu Escorza – odezwał się Antoni Ordaz, wstając z krzesła, na którym siedział, i proponując je inwalidzie.

Escorza skierował na Ordaza spojrzenie tak piorunujące, że ten natychmiast usiadł. Stał w wejściu do biura uwieszony na kulach i oklapły niczym kukielka z obciętymi sznurkami. Niemniej cała kruchość emanująca z postaci Manuela Escorzy del Vala przekształcała się w zimne okrucieństwo, kiedy otwierał usta.

– Więc nasz towarzysz Aureli Fernández uważa, że owi hojni maryści nie zasługują na rozstrzelanie – rzekł.

– Po prostu nie sądzę, żeby to było potrzebne – odpowiedział nerwowo Fernández. – Jeśli wyjadą z kraju, nie będziemy się musieli więcej nimi przejmować, tak

myśle... A poza tym skoro płacą...

– Zdaje się, że towarzysz Aureli Fernández ma pewne problemy z odbiorem – powiedział Escorza wysokim tonem, akcentując każdą sylabę. – To, czym się teraz zajmujemy, to rewolucja, a nie prowadzenie sklepu spożywczego. Jeśli chcą płacić, niech płacą, tyle że los wrogów rewolucji nie podlega negocjacom. Nie po to mamy siedmuset ludzi dzień i noc przeczesujących ulice Barcelony, przeprowadzających aresztowania i przesłuchania, żebyśmy teraz przez specjalne traktowanie kogoś rozmieniali się na drobne. Głos ludu jest jasny, nieodwołalny i niezmienny. Jeśli nie będziemy działać, opierając się na nim, możemy oczekiwać tylko porażki.

Aureli Fernández zniósł wybuch w ciszy, obserwując białą piankę śliny tworzącą się w kącikach ust Escorzy. Kiedy ten nareszcie zakończył przemowę, Fernández dodał:

– Spotkanie z przedstawicielami marystów ustalono na dwudziestego piątego w kawiarni przy placu Universitat. Pójdą na nie Ordaz i Gil Portela, aby sprawdzić, co możemy z nich wyciągnąć. Niemniej podporządkujemy się waszym rozkazom, towarzyszu Escorza.

– Jeśli nie będziemy mieć niczego lepszego... – wycedził Escorza, opierając się na kulach.

Kulawiec od Świętego Eliasza odwrócił się i zniknął

w głębi korytarza. Powoli cichł pisk wydawany przez koturny jego butów, które ciągnął po płytkach podłogi. Aureli Fernández i Antoni Ordaz wymienili porozumiewawcze, w jakiś sposób miękkie spojrzenia, a pierwszy z nich nie miał nawet siły powiedzieć „do chuja”.

Dzień, który nastąpił po śmierci brata Gendrau, nie był dobry dla brata Pau Dardera. Zimny, przygnębiający i rozczarowujący jak wiadomość o chorobie. Don Pere Gendrau, jak nazywało go wielu ludzi, był nie tylko jego nauczycielem i spowiednikiem, ale też przyjacielem oraz, o ile można tak powiedzieć, połową ojca, którego mu zawsze brakowało. Drugą połowę miał w Palmie, w osobie burmistrza miasta. Zabójstwo brata Gendrau skłoniło młodego marystę do pilnego rozliczenia się z ostatnich lat życia. Po nocy pełnej koszmarów i dniu żmartwień nie umiał znaleźć w nich niczego poza dramatycznym brakiem spójności.

Brat Pau Darder był dzieckiem jednej z najznacniejszych rodzin mieszczańskich w Palmie i jako taki spał zawsze, jak to mawiano w jego okolicach, na siedmiu materacach. Nigdy w życiu nie podjął jednak choćby najprostszej decyzji: kiedy był mały, z dość dobrym skutkiem poświęcał się nauce w szkołach wybieranych mu przez ojca, mecenasa Gabriela Dardera, który zdecydował także, że jego drugi męski potomek

poświęci się karierze duchownej, zarezerwowawszy prawniczą dla pierworodnego. Nie trzeba dodawać, że jego małżonka, obfita w kształty senyora Joana Serra d'Orfila, nie tylko nie ośmieliła się nigdy sprzeciwić (nawet w myślach!) woli don Gabriela, ale wręcz zgadzała się z nim bezwarunkowo w imię dobrze pojętej wspólnoty interesów. W obliczu nieuchronnego, czyli w jej przekonaniu wszystkich zdarzeń wychodzących poza to, co działo się w domowych pieleszach, senyora Joana Serra uciekała się do słów, które służyły jej jako joker, a może nawet talizman:

– Jeśli Bóg tak chce...

Ślizgając się po wielokropku, który tak lubiła jego matka, młody Pau Darder wstąpił do Niższego Seminarium Duchownego w Palmie, gdzie wkrótce, zgodnie zresztą ze swoim charakterem (był posłuszny i oddany studiom) zaczął się wyróżniać jako pilny uczeń i zbierać pochwały od swoich nauczycieli. A nawet więcej: krążyły pogłoski o możliwości przeniesienia go do Rzymu, gdzie talent początkującego teologa mógłby zostać odpowiednio rozwinięty.

Ostatecznie nie trafił do Rzymu, tylko do Barcelony, miejsca, które wybrano, by skończył w nim studia. Decyzja ta, o czym nie trzeba nawet wspominać, także nie wyszła od niego, ale od jego stryja Emilego, który zajął się edukacją chłopaka, po tym jak don Gabriel zmarł

w wyniku ataku apopleksji. Lekarz specjalizujący się w badaniach klinicznych, postępowiec, kataloński patriota i republikanin don Emili stanowił przeciwieństwo swojego starszego brata Gabriela, a ten nie tracił najmniejszej okazji, by rzucić zawsze tę samą uwagę: „Emili przyniesie wstyd tej rodzinie”.

Don Gabriel nie doczekał czasów, kiedy mógłby zobaczyć, jak przynoszący wstyd brat staje się burmistrzem Palmy z ramienia Republikańskiej Lewicy Balearów, a jego syn Pau zostaje w końcu wysłany do Seminarium Diecezjalnego w Barcelonie, gdzie błyskotliwy burmistrz Palmy – który będąc republikaninem, nie przestał być katolikiem – miał przyjaciół. Tak więc szacowna wdowa, senyora Joana Serra d’Orfila, stwierdziła wśród szlochów: „Jeśli Bóg tak chce...”.

I Bóg zapewne tak chciał, ponieważ wstąpienie nowicjusza Pau Dardera i Serry w poczet uczniów seminarium diecezjalnego zaowocowało wzorową pracą akademicką. Równie szybko jego błyskotliwość, inteligencja oraz siła płomiennej wiary w Boga – co przywiodło go do osobliwych działań w duchu prozelityzmu wśród kompanów z sali wykładowej – zwróciły uwagę jednego z profesorów, marysty don Pere Gendrau, który bez większego trudu przekonał go do wstąpienia do zgromadzenia braci nauczających. Kiedy

młodzieniec przyjmował święcenia zakonne, don Pere Gendrau ocierał łzy wzruszenia, stojąc u boku burmistrza Emilego Dardera i senyory Joany Serra d'Orfila, a całą trójkę przepełniała radość z okazji tak wyjątkowego zdarzenia.

Reszta to już tylko historia – aż do przerażającej śmierci brata Gendrau. Jak to możliwe, że do tego doszło? Don Pere Gendrau zawsze był odważnie myślącym pedagogiem, dobrym przyjacielem, wystarczy podać przykład Pere Vergésa, któremu pomógł rozwinąć Szkołę Morską, nie zwracając uwagi na polemiki, jakie budził wojujący laicyzm projektu. Brat Gendrau, prawdę mówiąc, zawsze bardziej się troszczył o edukację w sferze świadomości obywatelskiej niż o szkolenie nowych żołnierzy wiary. W przeciwieństwie do fanatyków wierzył, że porządna edukacja obywatelska wcześniej czy później rozbudzi w uczniach zainteresowanie tajemnicą Bożą. Jednocześnie starał się studzić zbyt płomienny młodzieńczy zapał, zapobiegając jego przekształceniu, już w wieku dorosłym, w obskurantyzm zaślepionych i wojowniczych kapłanów, jakich pełno było po parafiach, zasługujących, zdaniem brata Dardera, na coś znaczenie lepszego.

„Ostatecznie – rozmyślał brat Darder, chodząc tam i z powrotem po maleńkim pokoiku w pensjonacie Capell z oczami wbitymi w różaniec zwisający z prawej dłoni –

don Pere Gendrau nie był nikim innym jak nauczycielem, który wykorzystując całą swoją wiedzę, głosił konieczność wzajemnego zrozumienia i wybaczenia w czasach fanatyzmu. Czy dlatego zasługiwał na tak nędzną i pożałowania godną śmierć, jaka go dosięgła, razem z tantym dzieckiem, również pozbawionym życia w hańbiący sposób? Jak mogło do tego dojść? Don Pere Gendrau, jak wielu innych w ciągu ostatnich miesięcy, zapłacił śmiercią za swoją wiarę w lepsze życie. Ale czy naprawdę istniało lepsze życie? Czy rzeczywiście istniało nieskończone miłosierdzie?”.

Brat Darder cierpiał, zadając sobie to pytanie, ponieważ daleki od zapału, jaki towarzyszył mu przez tyle lat, już od pewnego czasu nie potrafił znaleźć na nie klarownej i satysfakcjonującej odpowiedzi. Jak to możliwe, że w obliczu czynu tak przerażającego jak zabójstwo brata Gendrau Bóg nie interweniował, by temu zapobiec? „Dzieje się tak – odpowiadał sam sobie – ponieważ Bóg obdarzył stworzenie ludzkie darem wolnej woli w tym celu, aby każdy z nas mógł w pełni swobodnie zdecydować, co wybiera: czynienie dobra czy zła. A potem, kiedy przyjdzie ku temu czas, dokona się rachunku”.

Odpowiedzi wyjęte z katechizmu nie satysfakcjonowały już jednak brata Dardera. Teologia nie mogła zastąpić życia, a życie nie znajdowało

wy tłumaczenia w teologii. Działo się tak, ponieważ życie przewyższało ją w swym absurdzie, choć być może ona również była niedorzeczna. Nad życiem dominował strach... Brat Darder zauważył, że życie ludzkie podporządkowane imperium strachu jawi się często jako śmieszne i błahe, a jakikolwiek wysiłek myśli, by nadać mu sens, okazuje się prawie zawsze groteskowy. Teza zakładająca, że istnieje byt stwórczy, który jest samą dobrocią i miłosierdziem i czuwa nad dobrostanem gatunku ludzkiego, stawała się rażącą kpina wobec zwłok zamordowanego dziecka. Albo wobec konieczności uznania, że śmierć don Pere Gendrau należy włączyć do ogólnego rachunku jako element statystyk opisujących powszechną masakrę. „Być może i owszem, niezbadane są ścieżki Pana” – myślał brat Darder, ale coraz trudniej było mu się godzić na obojętność, z jaką Bóg odnosił się do swego stworzenia.

Kryzys wiary. Niejednokrotnie spotykał się z tym wyrażeniem w biografjach niektórych wielkich ludzi Kościoła i w żywotach świętych. Była to jednak próba, jaką musieli przejść ludzie stanowiący przykład, wzór postępowania i odniesienie dla każdego dobrego chrześcijanina, dlatego nigdy nie wyobrażał sobie, że nadejdzie dzień, w którym i on, nie będąc jednym z nich, również zostanie jej poddany. Myśl o tym go uspokajała, ponieważ udało mu się przynajmniej zidentyfikować zło

nadgryzające go od środka, ale jednocześnie przygnębiała, bo nie wiedział, jak z nim walczyć. Czasami próbował szukać schronienia we wspomnieniu matki, zadowolonej i dumnej ze swojego syna – duchownego, ale od razu przychodziła mu na myśl niewzruszona monotonia matczynego „Jeśli Bóg tak chce...”.

Sama myśl o tym sprawiała, że czuł niezwłoczną potrzebę buntu przeciwko temu, czego chciał ów głupawy i podły Bóg, żyjący wygodnie w głowie senyory Joany Serra d’Orfila. Dla równowagi starał się potem przywołać w pamięci postać stryja Emilego, szanowanego i charyzmatycznego burmistrza, drugiego z jego przodków. Zamiast figury, głosu albo gestów stryja do głowy przychodziła mu jednak tylko dziwaczna postać wymodelowana jakby z lodu, matowa, zmienna, obojętna i niema. Szukał wtedy siły w założeniach zakonu marystów i społeczności, która go tworzyła, oddającej się nauczaniu młodych i kultowi Matki Bożej, zgodnie ze swoją dewizą: *Ad Iesum per Mariam*. Mimo to, gdy rozglądał się wokół i odkrywał w życiu codziennym swoich współbraci wady identyczne z tymi, które występowały powszechnie w życiu ludzi świeckich, zdawał sobie sprawę, że także w poczuciu przynależności nie będzie mógł znaleźć wytchnienia, jakiego potrzebował. Jedyne modlitwa dawała mu pewną pociechę, i jej właśnie zamierzał się oddać. Chciał

wyciągnąć krucyfiks ukryty w szufladzie szafki nocnej, ustawić go prosto i klęcząc przed szafką niczym przed ołtarzem głównym, powtórzyć po raz kolejny słowa ojczenasz, być może ze łzami w oczach, z nadzieją, że znów poczuje pełnię zaznaną w czasach szczęśliwości, która teraz rozplynęła się gdzieś w głębi duszy jak zaspą na kamiennej płycie chodnika.

– Bracie Pau... Wybaczcie...

Brat Darder odwrócił głowę w stronę wejścia do pokoju, skąd dochodził głos, który właśnie przeszkodził mu w planowanej modlitwie. Zobaczył w drzwiach, niczym krążące fatum, woskową postać brata Plana, człowieka, który zawsze gdy padały na niego słoneczne promienie, zdawał się bliski roztopienia. Miodousty intrygant, brat Plana, sam w sobie stanowił wystarczający powód, by pogłębić każdy kryzys wiary. Brat Darder zmierzył się z losem.

– Tak, bracie – odpowiedział i odkaslnął. – Wybaczcie mi, proszę, nie spodziewałem się dziś nikogo. Czy mogę wam w czymś pomóc?

– Och, jesteście bardzo uprzejmi – odparł intruz ze szczerzym uśmiechem – ale nie chodzi o mnie. Macie gościa...

Zanim brat Darder zdążył zapytać, o kogo chodzi, brat Plana przesunął wzrok w głąb korytarza i skinął komuś ręką, by się zbliżył. Natychmiast w drzwiach pokazał się,

wyprostowany jak struna, sędzia Miquel Carbonissa.

– Dzień dobry, panie sędzio – pozdrowił go zaskoczony brat Darder. Potem, zwracając się do swego towarzysza, dodał: – Bracie, czy moglibyście zostawić nas samych...?

Pożółkły marysta rozplątał się w głębi korytarza, pochłonięty przez mrok, z orlim nosem wysuniętym ku przodowi, jakby tropił jakiś ślad.

– Może pan usiądzie? – zaproponował duchowny, wskazując ręką maleńki, okrągły stolik z dwoma krzesłami po obydwu stronach. Nowo przybyły gość podziękował za uprzejmość, odsunął jedno z nich i usiadł. Dokładnie naprzeciwko brat Darder wykonywał identyczną czynność. – Słucham.

Sędzia potarł skronie dłońmi i skinął głową, jakby przytakiwał. Zaczął mówić:

– Przede wszystkim, ojcze, wybaczcie, że przychodzę o tak nieodpowiedniej porze. Nie mam tego w zwyczaju...

Brat Pau Darder wykonał prawą ręką gest bagatelizujący dziwaczność sytuacji. Był zaintrygowany i chciał poznać przyczynę tak nieoczekiwanej wizyty.

– Dobrze – zawahał się sędzia – tak naprawdę chciałem wam tylko powiedzieć... Pomimo waszej wręcz modelowej postawy mam świadomość, że popełnione wczoraj zbrodnie wstrząsnęły wami do głębi. Chciałbym wyrazić moje kondol...

– Dziękuję z całego serca – odpowiedział nieco wyniośle brat Pau Darder.

Sędzia Miquel Carbonissa wbił wzrok w krucyfiks znajdujący się na szafce nocnej, westchnął, stuknął nogą w płytki podłogowe i podrapał się w podbródek. Wydawał się zdenerwowany, jakby nie wiedział, od czego zacząć. W końcu odezwał się, szybko wyrzucając z siebie słowa:

– Ojczy, czy wy – westchnął ponownie, zanim skończył pytanie – czy wierzycie w istnienie upiórów?

Brat Pau Darder uniósł brwi.

– Czy w co wierzę? – zapytał. Obawiał się, że sędzia zdołał przejrzeć jego wątpliwości religijne.

– W upiory – wyszeptał z przejęciem Carbonissa, otwierając szeroko oczy i przysuwając twarz blisko twarzy duchownego. – Pytam was, czy wierzycie w istnienie demonicznych psów[4], ożywieńców i nieumarłych. Czy wierzy brat w istnienie wampirów?

– Koniec końców mieliście rację, komisarzy. Nie ma tutaj najmniejszego śladu po psie.

Komisarz Gregori Muñoz już miał odpowiedzieć, że nie ma zwyczaju gadać o czymś, jeśli nie wie, co mówi, ale wolał przyjąć postawę bardziej dyplomatyczną i parsknął:

– Jezu, kurwa, ja pierdołę! Nigdy się nie przyzwyczaję do tego gównianego miejsca.

Westchnął ciężko i rozłożył ramiona tak szeroko, jak tylko mógł, jakby tym jednym gestem chciał objąć kostnicę z całą jej zawartością, włączając siebie samego. Jako że okna były nieliczne, a na dodatek znajdowały się wysoko, obszerne pomieszczenie – dawny skład bławatny w jednym z zaułków Dzielnicy Gotyckiej, przystosowany do ponownego użytku zaraz po tym, jak został skonfiskowany i skrupulatnie splądrowany – musiało być oświetlane za pomocą generatora, który oprócz tego, że wytwarzał mętne, ciemnawe światło, cuchnął oparami benzyny mieszającymi się ze słodkawym zapachem formaliny i ze smrodem amoniaku wydzielającym się z ciał wzdętych na skutek rozkładu. Ekspertyzy biegłych były niezbędne, ale dla komisarza Muñoza ich przygotowywanie musiało być wiecznie powtarzającą się torturą. A jeśli chodzi o badania lekarza sądowego, rzecz stawała się po prostu odrażająca. Muñoza zakrywał chusteczką nos i usta, obserwując przy tym doktora Humberta Pellicera oddającego się swojej pracy z precyzją chirurga.

Ciało dziecka zabitego na uliczce przy pensjonacie Capell leżało na stole sekcyjnym, na blacie obok zaś znajdował się trup don Pere Gendrau pocięty na kawałki. Komisarz Muñoz starał się oszczędzić sobie wciąż powracających, lecz jałowych refleksji na temat tego, jak to śmierć nas wszystkich zrównuje, tak naprawdę jednak

nie potrafił ich odpedzić ani oderwać się od otaczającego go widoku: wszędzie stoły na kółkach przykryte niegdyś białymi prześcieradłami i jeszcze więcej stołów, na których wyeksponowano resztki ludzkie przysyłane do kostnicy. Prawie nigdy nie były to kompletne ciała: w jednym miejscu leżały korpus i głowa (ale już nie ręce ani nogi) jakiejś kobiety w średnim wieku, trochę dalej pół korpusu, jedna noga i roztrzaskana czaszka młodzieńca, jak się zdawało, przejechanego przez pociąg, a jeszcze trochę dalej – zniekształcona twarz i okaleczone ciało jakiejś innej kobiety, zamordowanej przez Bóg wie kogo. Do katastrofy, którą sama w sobie jest wojna, należało dodać wieczną gotowość istot ludzkich do oddawania się najpodlejszym z nikczemności – kolejna mało odkrywczą refleksja, ale właśnie tego rodzaju myśli przychodziły komisarzowi Muñozowi do głowy, ponieważ spoglądając na wnętrze kostnicy, nie mógł nie czuć się chory. Denerwowały go także poczucie humoru i pasja klasyfikowania, z jakimi doktor Pellicer podchodził do swojej pracy. Niezależnie od tego, w jak złym stanie były, każde ze szczątków rozłożonych na stołach miały własną etykietkę identyfikacyjną przyklepioną w ten czy inny sposób. Określenie „w ten czy inny sposób” było przy tym zupełnie na miejscu, ponieważ nie zawsze dawało się łatwo znaleźć odpowiedni fragment ciała do przyklepienia takiej etykietki. Ostatnim nabytkiem doktora

był męski tors pozbawiony głowy i kończyn, ochrzczony przez niego Alfonsem – na cześć króla Hiszpanii – któremu etykietkę z imieniem przyczepił do wyjątkowo okazałych rozmiarów członka.

Kiedy doktor Pellicer skończył badanie, podniósł głowę i rzekł:

– Tak jak panu powiedziałem, miał pan rację. Wygląd ran nie wskazuje na obecność śladów kłów zwierzęcych, a ugryzienia powstały wyłącznie przy użyciu kłów, zębów trzonowych i siekaczy należących niewątpliwie do człowieka. Ponadto morderca zakonnika i dziecka to ta sama osoba. W żadnym z przypadków nie doszło również, jak się wydaje, do aktów przemocy na tle seksualnym.

– Czasami wolałbym jej nie mieć, to znaczy racji – wymamrotał policjant, jakby mówił sam do siebie.

– Cóż, prawdę mówiąc, nikt by w to nie uwierzył, jeśli wziąć pod uwagę sposób, powiedzmy, dość bezwzględny, w jaki broni pan swojego punktu widzenia – skomentował lekarz, myjąc ręce w misie z roztworem dezynfekującym.

Komisarz Muñoz uniósł brwi.

– Pan wybaczy, ale nie wiem, do czego się pan odnosi.

– No cóż – rzekł doktor Pellicer z uśmiechem – zdaje się, że wczoraj temu biednemu młodemu maryście nieźle się dostało, można by powiedzieć, że nasłuchał się za

wszystkie czasy.

– Ach, to – przypomniał sobie bez entuzjazmu komisarz Muñoz. – Nie znoszę, kiedy ludzie pchają się tam, gdzie ich nie proszą...

– To powszechne. Pozwolę sobie zauważyć, że ktoś, kto by pana nie znał, mógłby w tamtej chwili pomyśleć, że to, czego tak naprawdę pan nie znosi, to kler.

Policjant spał się nagle.

– Co pan insynuuje, doktorze? Ale przecież...

– ...przecież – przerwał mu lekarz – obiecał pan opuścić w swoim raporcie informację o stanie duchownym jednej z ofiar, a także o jej braciach ze zgromadzenia. Był to gest, który mile zaskoczył wszystkich obecnych, a który faktycznie mógłby przysporzyć panu poważnych trudności, gdyby wiadomość o nim dotarła do uszu jednego z pana przełożonych. Wydaje się jednak trochę niekonsekwentny, jeśli wziąć pod uwagę awanturę, którą zrobił pan temu braciszкови. Myślę, wręcz mogę z całą pewnością stwierdzić, że udało się panu zasiać niepewność.

Doktor Pellicer wyraźnie miał jakąś niezwykłą władzę nad komisarzem Muñozem, ponieważ ten odwrócił głowę, zdecydowany wyjaśnić od razu wszelkie możliwe nieporozumienia.

– Mam swoje powody, aby nie czuć sympatii do Kościoła, przyznaję. Ale nie było w tym żadnej specjalnej

strategii. Powiedziałem, że nie umieszczę w raporcie informacji, że siedzi tam cały oddział w habitach, i nie umieściłem. W najmniejszym stopniu nie pochwalam braku umiaru, z jakim wyrzyna się duchownych, jeśli to chciał pan wiedzieć.

– Dokładnie to chciałem usłyszeć, komisarzu – przyznał lekarz, potakująco kiwając głową, co mu skracało i jednocześnie rozszerzało tłusty podbródek. – A jeśli chce pan znać prawdę, niezwykle mnie uspokajają pańskie słowa.

Między obydwoma mężczyznami zapanowała pojednawcza cisza, która jak się zdawało, dodawała znaczenia groteskowej scenerii, w jakiej się znajdowali. Komisarz przypomniał sobie, że kiedy był mały i przy stole zapadała tego rodzaju cisza, matka zwykła mówić, że to przeszedł anioł. Przez całe dzieciństwo uszczęśliwiała go myśl, że od czasu do czasu jego dom odwiedzają anioły, i uważał za słuszne, aby z przyczyny tak wyjątkowych wizyt zachowywać choć przez chwilę pełne szacunku milczenie. Od dawna już o tym nie myślał, ani o aniołach ani o własnej matce, ale teraz ujrzał wszystkich w pamięci i pocieszała go myśl, że mogło się zdarzyć, że nawet przez miejsce tak odrażające jak kostnica przejdzie anioł.

Nagle don Humbert Pellicer zapalił papierosa. Skręcił go w kilka sekund. Odór tytoniu z puszki, którego używał

lekarz, wyrwała komisarza Muñoz z sfery abstrakcji.

– Nawet tu, w środku, musi pan palić?! – wykrzyknął.

– Nie wydaje się, żeby im to jakoś szczególnie przeszkadzało. – Doktor uśmiechnął się, wykonując ręką szeroki gest.

Komisarz Muñoz wachlował sobie twarz ręką.

– Nie wiem, jak pan może znosić zapach tego swojego tytoniu, a zwłaszcza w tym ohydny miejscu. – Wykrzywił się. – Zatem, doktorze, jeśli nie ma pan więcej żadnych wątpliwości do wyjaśnienia, za pańskim pozwoleniem już pójdę. Zrobiło się późno, a mnie czeka jeszcze praca w komisariacie.

– Och, nie zatrzymuję pana, komisarzu. Mam jednak jeszcze jedną informację, która jak sądzę, powinna pana zainteresować. – Doktor Pellicer wciąż się uśmiechał, wydychając przez nos papierosowy dym.

– Tego się obawiałem – westchnął policjant, nieco poblady. – Może przejdziemy od razu do sedna?

– Jak pan sądzi, jakiego rodzaju przestępca mógł dokonać tych dwóch zabójstw?

Komisarz Muñoz wzruszył ramionami.

– Jakiś sadysta, zdaje się... Sędzia już to zasugerował, ja się domyślałem, a pan teraz potwierdził: chłopca pogryzł człowiek. To zaś wyklucza niemal całkowicie możliwość, że mamy do czynienia z działaniem anarchistów. Przypomina to raczej jakiś rodzaj

makabrycznego rytuału... Trzeba będzie przejrzeć akta osób chorych psychicznie.

– A nie pomyślał pan, że to może być wampir? – wypalił doktor Pellicer, jednocześnie wypuszczając po raz kolejny kłęby dymu prosto w twarz policjanta.

– Na litość boską, doktorze, wampir? – Zakaszłał. – Nie wydaje się panu, że już od jakiegoś czasu życie jest dość skomplikowane?

Lekarz spoważniał.

– Autopsja dostarczyła nam znaczących danych, komisarzu. Zarówno u duchownego, jak i u chłopca spowodowano wykrwawienie. Niezmiernie dokładnie i z dużą starannością. Ubytek krwi w jednych i drugich zwłokach jest zaskakująco duży i nie odpowiada nawet w najmniejszej mierze ilości krwi rozlanej, którą zresztą widzieliśmy na miejscu zbrodni: pewna jej część musiała zostać wytoczona bezpośrednio z ciała. Jakby ktoś ją wycisnął albo jakby wyparowała. Albo jakby ktoś ją wypił.

Komisarz mlasnął językiem i odpowiedział:

– Niech się pan nie obrazi, doktorze, ale od paru ładnych lat pracuję w tym zawodzie i na razie jeszcze nigdy nie natrafiłem na żadnego wampira. Za to spotkałem już paru półgłówków i skurwysynów, rozumie pan, o co mi chodzi?

Lekarz zaciągnął się papierosem, a jego ciało

poruszyło się, jakby oblażyły je pchły.

– Nie mówię o jakimś zjawisku paranormalnym, ale o wampiryzmie klinicznym – odpowiedział. – Przed chwilą powiedziałem, że według mnie nie doszło do przemocy na tle seksualnym. Miałem na myśli, że ani genitalia, ani jakakolwiek inna część ciała żadnej z ofiar nie nosi śladów profanacji. Niemniej nie możemy odrzucić teorii, że motywem czy przyczyną obydwu zabójstw była konkretna dewiacja seksualna.

– Będę wdzięczny, jeśli wyjaśni mi to pan nieco dokładniej – wycedził komisarz, którego z każdą chwilą ogarniało coraz większe otępienie połączone z coraz silniejszymi mdłościami.

– Wampiryzm – zaczął doktor Pellicer nauczycielskim tonem – jest zaburzeniem, które łączy pobudzenie seksualne jednostki z widokiem lub smakiem krwi, nieważne, czy pochodzenia zwierzęcego, czy ludzkiego. Zaburzenie to w psychologii nazywa się parafilią, co oznacza zachowanie seksualne, w którym źródłem przyjemności nie jest kopulacja, ale jakieś działanie zastępcze. W naszym przypadku osoby dotknięte wampiryzmem osiągają zwykle orgazm, gryząc swoje ofiary, przeważnie w szyję, w celu przerwania tętnicy szyjnej, z której wypijają krew... Tak, komisarzu?

– Mógłby pan zgasić tego cholernego papierosa? – poprosił blady jak ściana Muñoz.

– Oczywiście – zgodził się lekarz, zgniatając posłusznie niedopałek na miedzianej blasze. – Wracając do tematu, wampiryzm nie daje się ani łatwo zaklasyfikować jako choroba, ani zdiagnozować. Niektórzy autorzy zaliczają wampiryzm do grupy psychoz lub schizofrenii, inni natomiast twierdzą, że jest to charakterystyczna, odrębna patologia, podobna do innych parafilii, takich jak fetyszyzm, nekrofilia albo jak sam pan zasugerował, sadyzm. Zwolennicy tej tezy nazywają to zaburzenie syndromem Renfielda na cześć jednego z bohaterów *Drakuli*, słynnej powieści o wampirach. Widział pan film, komisarzu? Grał w nim ten węgierski aktor, jakże on się nazywa... Béla Lugosi, moim zdaniem był świetny w tej roli. Ale, rzecz jasna, to tylko romantyczna egzaltacja. Prawdziwe wampiry...

– A bączek? – przerwał mu komisarz Muñoz.

– Słucham?

– Bączek, bączek – powtórzył policjant ciężkim głosem, z trudem starając się zapanować nad ogarniającymi go mdłościami, którym towarzyszyły dreszcze. – Na miejscu zbrodni był bączek, który miał pan zbadać w poszukiwaniu śladów. I co?

Doktor Pellicer znieruchomiał.

– Jeszcze się nim nie zajmowałem. Szczerze mówiąc, pilniejsza wydała mi się sekcja zwłok. – Zmarszczył nos, dając do zrozumienia, że się poddaje. – Jakkolwiek by

było, sędzę, że ma pan już swoje zdanie na temat bączka. Czyż nie, komisarzu?

Pokonując z najwyższym trudem obrzydzenie, komisarz Muñoz uśmiechnął się.

– Bez wątpienia, doktorze, zna pan znaczenie sentencji *memento mori*.

Siostra Concepció była w pralni, kiedy powiadomiono ją, że matka przełożona chce ją widzieć i oczekuje jej w kapitulارzu. Nowicjuszka lubiła zajęcia i narzędzia związane z praniem: kamienie do plisowania, żelazka z drewna i żelaza, różne techniki szycia i tkania... Upodobała sobie zwłaszcza czynności wykonywane podczas przygotowywania ługu wybielającego, do tego stopnia, że często oferowała zamianę dyżurów w pralni siostrom ze wspólnoty, jako że większość z nich praca ta brzydziła. Ona natomiast ją uwielbiała. Zaczynała od zebrania popiołów z pieca i kuchennych palenisk, z pieca w refektarzu albo z kominka w samym kapitulарzu, ponieważ dzięki staraniom Manuela Escorzy w klasztorze kapucynek nie brakowało drewna. Najpierw zatem siostra Concepció zbierała popiół łopatą i przepuszczała przez sito, aby oczyścić go z resztek węgla. Kiedy był już czysty i całkiem biały, wrzucała go do wiadra i od razu wlewała do niego garnek ciepłej wody, w proporcjach cztery części wody na każdą miarkę popiołu. Kiedy już dobrze rozprowadziła mieszaninę za pomocą kija, przykrywała ją

płótnem i odstawiała na dzień lub półtora. Następnie należało precedzić płyn do miednicy przez specjalny lejek, który zatrzymywał nadmiar popiołu i chronił przed rozlaniem ługu. Siostra Concepció uwielbiała delikatny aromat i tłusty dotyk końcowego produktu swojej pracy, zwłaszcza że miał wnieść trochę czystości do tego świata.

Minęła dziedziniec z kamiennymi wannami, nad którymi pochylały się mniszki uzbrojone w tarki do prania i kawałki mydła wytwarzanego przez nie same. Skierowała się do wyjścia i przeszła do ogrodu, gdzie jej zmysły uderzył zapach wilgotnej ziemi. W tym roku koniec lata był wyjątkowo deszczowy, pierwsze chłody, zapowiadające nieuchronne nadejście zimy, nie dały jeszcze o sobie znać, więc prawie nie trzeba było podlewać grządek warzywnych, zraszanych wystarczająco obficie przez deszcz. Nawet studnia była tak pełna, że niemal się przelewała, a wrażenie świeżości pochodzące od wody było wszechobecne. Klasztor został tak dobrze zaopatrzony przez ludzi Manuela Escorzy, że w obejściu znalazły się nawet dwa pokwikujące wesoło wieprzki, stadko kur stroszących pióra w zamkniętej zagrodzie oraz palma, mirt i bugenwilla, które cieszyły oko swoim przepychem. Mały piesek, wspaniałomyślnie przygarnięty przez zgromadzenie dokładnie w przededniu wybuchu wojny, wygryzał sobie pchły przed wejściem do drewni, a kawałek dalej, na samym środku gotyckiego wirydarza,

wylegiwały się cztery leniwe koty, nie zwracając uwagi na szybkie kroki siostry Concepció. Czego mogła od niej chcieć matka przełożona? Zastukała kostkami drżących palców w masywne drzwi sali kapitulnej. Po drugiej stronie odpowiedział daleki i władczy głos matki przełożonej.

– Proszę wejść – nakazała.

– *Ave Maria* – przywitała się siostra Concepció, pchając z wysiłkiem drzwi.

– Niepokalanie Poczęta – odpowiedzieli jednocześnie matka przełożona i jakiś męski głos, co wzbudziło zdziwienie siostry Concepció.

Nie spodziewała się, że biskup Perugorría również zjawi się na spotkaniu, ale przyszedł i z uśmiechem od ucha do ucha siedział na okazałym, wygodnym fotelu. Obok niego stała matka przełożona, także uśmiechnięta, choć jej uśmiech był nieco bledszy. Nieruchomi na tle oszklonej gabloty chroniącej w swoim wnętrzu słynne wazy z czarnej gliny – najcenniejszą część dziedzictwa klasztornego – i otuleni w habity sięgające do posadzki, wyglądali niczym scena z ołtarza.

– Matko przełożona. Wasza Ekscelencjo – wyszeptała z trudem nowicjuszka, pochylając głowę i składając ręce.

– Podejź, proszę, bliżej, córko – nakazała jej matka przełożona teatralnym głosem, jakby zwracała się do domowego zwierzątka.

Z ogromnym wysiłkiem, przewyciężając strach i onieśmienie, siostra Concepció zrobiła cztery niepewne kroki i stanęła naprzeciw swoich rozmówców, nie śmiejąc podnieść oczu. W ten sposób, w ołowianej ciszy, minęło jakieś dwadzieścia sekund zdających się nie mieć końca. Nareszcie usłyszała, że matka przełożona zwraca się do niej nerwowym tonem:

– Córko, nakazaliśmy ci tu przybyć, ponieważ zarówno Jego Ekscelencja ksiądz biskup, jak i ja sama pragniemy wyrazić ci nasze uznanie.

Nowicjuszka otworzyła oczy z zaciekawienia.

– Mnie, matko przełożona? Dlaczego?

Matka przełożona poruszyła głowę.

– Nie tobie, córko, zadawać tu pytania.

– Wybaczcie, matko. Wybaczcie, Wasza Ekscelencjo – jęknęła zmieszana siostra Concepció.

– Na Jego Ekscelencji, a także na mnie – kontynuowała mniszka z wyrozumiałością – wywarł wielkie wrażenie twój wkład muzyczny we wczorajszą uroczystość.

– Coś naprawdę cudownego, moja droga – dodał biskup Perugorría tonem wyznania. – Nie ma najmniejszej wątpliwości, że nasz Pan obdarzył cię talentem.

Siostra Concepció wykręcała sobie dłonie, aby nie było widać, że się jej pocą. Wyszepiała:

– To... to, co robię, nie... nie ma żadnego znaczenia.

Ja...

– Nie tobie również wypada decydować, co ma znaczenie, a co go nie ma – ucięła matka przełożona.

– Przepraszam, przepraszam! Nie chciałam.. – Nagle uświadomiła sobie, że ledwo wydobywa głos z krtani. Pochyliła głowę jeszcze niżej, tak że brodą niemal dotykała piersi. Musiała zebrać naprawdę wszystkie siły, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Matka przełożona przyglądała się jej z mieszaniną surowości i współczucia. Dziewczynka nie wiedziała jeszcze, że jej rodzice – dobrze prosperujący przemysłowiec z branży papierniczej i córka szacownej rodziny złotników – zostali zamordowani w pierwszych dniach wojny. Ani że jej oddanie do zakonu nie wynikało z wyraźnego życzenia ojca czy matki (jej samej powiedziano, że musieli wyjechać z kraju, ale że wrócą tak szybko, jak tylko skończy się wojna), ale dlatego, że jednej z jej ciotek – starszej siostrze ojca – nie przyszło do głowy nic lepszego. Matka przełożona, pamiętając o wielu przysługach wyświadczonych wspólnocie przez ową pobożną rodzinę, chętnie zgodziła się zaopiekować małą, która wstąpiła do zgromadzenia jako nowicjuszka i przyjęła imię Concepció. Już podczas epizodu z fałszywym zatrzymaniem, kiedy dziewczynka wykazała się niespotykanym opanowaniem i odwagą, oraz później, kiedy pokazała niezwykłą zdolność adaptacyjną do

wymogów życia zakonnego, a także siłę wrodzonego talentu muzycznego, siostra Concepció zyskała nie tylko uznanie, ale również współczucie matki przełożonej. Właśnie z powodu tej mieszanki uczuć, jakie w niej budziła, oraz zakłopotania, w które ją te uczucia wprawiały, matka przełożona uznawała, że najodpowiedniejszym sposobem zachowania wobec tej wyjątkowej dziewczynki będzie traktowanie jej szczególnie oschle i surowo, aż nadejdzie moment, kiedy zapozna ją szczegółowo z trudnym położeniem, w jakim się znalazła.

Kiedy biskup zauważył, że rozmowa nie posuwa się naprzód, podniósł się z fotela i podszedł do siostry Concepció, która z kolei mając Jego Ekscelencję tak blisko siebie, zaczęła drzeć jeszcze widoczniej. Biskup odczekał parę sekund, aby przydać doniosłości swoim słowom, i w końcu zapytał:

– Czy wiesz, dlaczego jestem tutaj, córko? Tutaj, to znaczy wśród was, w tym klasztorze?

Nowicjuszka zaprzeczyła ruchem głowy, nie śmiejąc jej podnieść. Poczowała, że biskup kładzie jej dłoń na ramieniu. Gest ten miał wzbudzić w niej zaufanie, ale jedynie przeraził ją w jeszcze większym stopniu.

– Nie bój się, moja droga – wymruczał prałat, którego głos, gdy się zniżał, nabierał głębokiego tonu, jakby wydobywał się z pieczary. – Spójrz mi, proszę, w oczy.

Dziewczynka podniosła powoli głowę i spojrzała na biskupa Perugorrię. Nie umiałaby powiedzieć dlaczego, ale zdziwiło ją, że jego oczy o wodnistych źrenicach miały kolor bladego nieba i zdawało się, że zaraz popłyną z nich łzy.

– Jestem tutaj, ponieważ poza tym klasztorem znajdują się ludzie, którzy chcą mnie zabić. – Po tych słowach biskup uczynił kolejną pauzę, a następnie dodał: – Zresztą nie tylko mnie, ale też wszystkich, którzy służyliśmy naszemu Panu. Jak matka przełożona. Jak ty sama.

Nowicjuszka wbijała spojrzenie w oczy Jego Ekszelencji. Nie rzekła nic, jakby to, co właśnie powiedział, jej nie dotyczyło. Biskup kontynuował:

– Teraz myślą, że nie żyję, i dopóki w to wierzą, wewnątrz tych klasztornych murów mam najlepsze schronienie. – Długie, głębokie westchnienie wydobyło się z jego ust. – Zawsze tak było, moja droga. Od samego początku, od czasów apostołów. Już w tych odległych epokach my, umiłowani przez Pana, byliśmy znienawidzeni przez ludzi oddających cześć fałszywym bogom. Prześladowania i tortury. Szyderstwa i śmierć. Można powiedzieć, że nasza wiara prowadziła nas często do zguby. Ale my nigdy się jej nie wyrzekniemy, nieprawdaż, moja droga? Nigdy nie wyrzekniemy się naszej miłości do Boga, nigdy nie zaprzemy się Jego imienia ani światła, które na nas zsyła w najciemniejszą

z nocy... Powiedz, córko, czy będziesz wierna na zawsze wierze w Boga Ojca Wszechmogącego, w Jego syna Jezusa Chrystusa i w Ducha Świętego?

Dziewczyna, nie otwierając ust, skinęła głową ruchem niemal niedostrzegalnym, lecz wystarczająco wyraźnym.

– Oczywiście, że tak, córko, nie może być inaczej – stwierdził z dumą biskup Perugorria, zwiększając jednocześnie siłę uścisku łapska na jej ramieniu. – Nie może być inaczej, ponieważ pokładamy nadzieję w Bogu i dopóki On daje nam siłę w tej nadziei, żadna wichura nas nie powali ani furia żadnej nawałnicy nie zwycięży siły naszej wiary. Wiara jest bronią, która czyni z nas wojsko niezwycięzone i choćby imię szatana brzmiało Legion i choćby przerastał nas liczebnością, nigdy nie pokona nas w stałości ani w umiarkowaniu... Ile masz lat, moja droga?

Siostra Concepció na sekundę zwróciła wzrok na rękę ściskającą jej ramię. Sprawiała jej ból, ale przede wszystkim, widziana z tak bliska, budziła w niej obrzydzenie. Była blada i bezwładna, cała pokryta szczeciniastym włosiem sięgającym kłycki, o palcach długich, zakrzywionych jak szpony i sękatych. Znów musiała się dobrze natrudzić, żeby powstrzymać odrazę, którą budził w niej dotyk pazurzastej łapy.

– Nie odpowiesz Jego Ekscelencji, córko? – nagabnęła ją matka przełożona z lekką irytacją.

Nowicjuszka zamarudziła jeszcze chwilę, aby zaczerpnąć haust powietrza.

– Trzynaście, Wasza Ekscelencjo – odpowiedziała, wyrzucając powietrze z płuc niczym z miechów.

– Trzynaście – powtórzył biskup, cofając w końcu rękę z ramienia dziewczynki, a ta na moment odetchnęła z ulgą. – Wiek świętej Eulalii, o tak – rozważał biskup w zamyśleniu. – Wiesz, kim była święta Eulalia, moja droga?

Siostra Concepció znów zamilkła.

– Odpowiadaj, kiedy cię pytają. Nie zachowuj się, jakbyś była źle wychowana – nakazała jej matka przełożona ze zniecierpliwieniem.

Natychmiast wyrecytowała odpowiedź, zdawałoby się, że wyuczoną na pamięć:

– Święta Eulalia to patronka Barcelony, Wasza Ekscelencjo, i nie należy jej mylić z Matką Bożą Miłosierdzia, patronką diecezji.

– Bardzo dobrze, moja droga – pochwalił ją biskup z uśmiechem podobnym do wrzodu. – I co więcej mogłabyś mi powiedzieć?

– Nic więcej, Wasza Ekscelencjo – przyznała nowicjuszka, opuszczając głowę.

– Nic więcej, Wasza Ekscelencjo! – powtórzył biskup Perugorría drwiącym tonem. – Jak się wam to podoba, matko przełożona? Nic więcej, Wasza Ekscelencjo! –

Wybuchnął donośnym śmiechem, a potem zaczął powtarzać: – Błogosławiona święta Eulalio! Błogosławiona święta Eulalio!

Matka przełożona w milczeniu obserwowała wybuch Jego Ekscelencji, który poddał się wesołości zupełnie nieprzystającej do jego funkcji. Siostra Concepció również przyglądała się scenie, całkiem onieśmielona.

– Dość! – krzyknął zniecierpliwiony biskup, jakby rozkazywał sam sobie. Przyjąwszy na powrót poważny wyraz twarzy, nie obniżając jednak głosu, kontynuował: – Musisz wiedzieć, moja droga, że kiedy święta Eulalia była młodzianka, tak jak ty teraz, mieszkała w jednym z domów w miejscu, w którym teraz się znajdujemy, w Sarrià... Poza tym nie można zupełnie odrzucić możliwości, że klasztor został wzniesiony na ruinach jej domu! I co na to powiesz, moje słodkie stworzenie?

– Nic, Wasza Ekscelencjo.

– Widziałaś kiedyś wirydarz katedry w Barcelonie, moja droga?

– Nie, Wasza Ekscelencjo.

– I czego teraz rodzice uczą swoje dzieci? – oburzył się biskup. – Kogóż może dziwić, że mamy wojnę, a nas, umiłowanych przez Pana, niepokoi się, znieważa i morduje? – Z udawanym spokojem mówił dalej: – Gdybyś była w wirydarzu katedry, mogłabyś tam zobaczyć wesołe stadko gęsi... Wiesz, co to gęś, córko?

– Wydaje mi się, że tak, Wasza Ekscelencjo.

– Wydaje ci się! Na Boga! I jak ci się wydaje, co to takiego gęś, hę?

– To rodzaj kaczkki...

Zapadła nieprzyjemna cisza. Nagle prałat prychnął i znów zaczął krzyczeć:

– Kaczki? Gęsi nie mają nic wspólnego z kaczkami! Miejmy choć trochę szacunku dla Stworzenia, moja droga! Nie wiesz, że to człowiek nadał zwierzętom nazwy w początkach dni? Skoro więc gęś nazwał gęsią, a nie kaczką, to musiał być jakiś tego powód, nie wydaje ci się?

– Oczywiście, Wasza Ekscelencjo.

Nowicjuszka poddała się absurdowi sytuacji, i nawet nie miała już ochoty płakać.

– Nie zbaczajmy z tematu, moja droga – stwierdził biskup. – Z pewnością nie wiesz także, jak nazywała się posiadłość, w której dorastała święta Eulalia. Czy może się myłę?

– Nie... nie wiem, Wasza Ekscelencjo.

– Tak jak myślałem. A wy, matko przełożona?

– El Desert de Sarrià – odpowiedziała, przyjmując postawę pilnej uczennicy.

– Otóż to! – odrzekł biskup. – Ale z jakiej przyczyny posiadłość na obrzeżach Barcelony, w czasach tak zamierzchłych jak koniec trzeciego wieku, mogła otrzymać tak niezwykłą nazwę?

– Ponieważ rosły tam palmy – pospieszyła z odpowiedzią matka przełożona, aby siostra Concepció nie musiała po raz kolejny przyznawać się do niewiedzy.

– Tak jest, matko przełożona. Palmy. – Odwrócił się do nowicjuszki. – Jednak najbardziej interesujące w całej tej historii jest to, że te drzewa nie od zawsze były palmami. Otóż wcześniej rósł tam cyprysowy lasek. Niemniej pewnego dnia, kiedy święta Eulalia przechadzała się między cyprysami, objawił się jej anioł i zapowiedział, że kiedyś zostanie świętą i patronką Barcelony. Na znak tego anioł przemienił cyprysy w palmy. W tym właśnie miejscu, moja droga, chciałbym się zatrzymać. Jak myślisz, dlaczego anioł ukazał się tamtej dziewczynce, podobnej do ciebie teraz, i czynił cuda na jej oczach, wielkich z zadziwienia?

– Tego też nie wiem, Wasza Ekscelencjo – powiedziała z rezygnacją siostra Concepció.

– Otóż dlatego, że była chrześcijanką, córko. Po prostu. Nas, którzy miłujemy Pana i pokładamy w Nim nadzieję, wspierają anioły i ukazują nam drogę ku chwale. Oto najwyższa nagroda, jaką my, słudzy Pana, otrzymujemy za naszą wiarę. – Oblicze duchownego zdawało się rozświetlone przez wewnętrzny blask, kiedy mówił te słowa, lecz nagle pociemniało. – No dobrze, ale to tylko jedna strona historii. Wiesz, co jest po jej drugiej stronie, moja droga?

Nowicjuszka znów wbiła spojrzenie w oczy biskupa Perugorrii. Niespodziewanie dla samej siebie nie miała już żadnych wątpliwości co do odpowiedzi. Otworzyła usta, ale jednocześnie ogarnęło ją wrażenie, że to nie jej własny, ale jakiś obcy głos wydobywa się z głębi żołądka, głos, który odpowiada z pewnością:

– Cierpienie, Wasza Ekszelencjo.

Biskup rozłożył ramiona.

– Teraz przemówiła przez ciebie przenikliwość, moja droga. – Chwytał ją za brodę dwoma napastliwymi paluchami. – Właśnie przez cierpienie my, chrześcijanie, dajemy świadectwo naszej woli oddania się Panu, stałości porozumienia, które nas wiąże. Jest to również nasza radość, radość najwyższa i najtrudniejsza do przyjęcia ze wszystkich. – Znów rozświetlił się od wewnątrz, niczym gasnąca i rozbłyskująca lampa. – Szczęśliwi, którzy cierpią szyderstwa, gwałt albo śmierć za swoją wiarę, zostaną bowiem wybrani przez Boga Ojca. Święta Eulalia żyła w czasach Dioklecjana, okrutnego i krwawego cesarza. Została zatrzymana i chociaż była jeszcze małą dziewczynką, zapłaciła wysoką cenę za swoją religijną gorliwość. Wiesz, jakie cierpienia znosiła święta Eulalia, moja droga?

Siostra Concepció ograniczyła się do nieśmiałego przeczącego ruchu głową.

– Było ich trzynaście, jedno za każdy rok jej życia –

wyjaśnił biskup. – Najpierw dostała sto batów, potem wbili jej haki w skórę na plecach i brzuchu i rozdrapali do mięsa. Następnie musiała przejść ścieżką wysypaną rozżarzonymi węglami i obcięli jej piersi. – Biskup przerwał i rzucił krótkie, lepkie spojrzenie na dopiero pączkujące piersi nowicjuszek. – Całe ciało świętej Eulalii było jedną wielką raną, ponieważ oprawcy, aby sprawić jej większy ból, wcierali jej w rany ostre kamyki, wylewali na nią wrzący olej i roztopiony ołów i przez całą noc trzymali ją w dole z wapnem. Potem wrzucili świętą do beczki po winie pełnej szkła i pokruszonych dachówek i stoczyli po zboczu pagórka. Następnej nocy zamknęli ją w zagrodzie pełnej pcheł i pluskiew, żeby zainfekować jej rany i pęcherze, potem przypalali ją na stosie, ale nie po to, by ją zabić, ponieważ zarezerwowano dla niej śmierć przeznaczoną chrześcijanom, to jest ukrzyżowanie o świcie. Święta Eulalia – przypominała wtedy już tylko kawałek mięsa albo tobołek ze zmiądzonymi kośćmi – wytrzymała jeszcze czternaście godzin na krzyżu, zanim wyzionęła ducha i oddała go Bogu. Trzydzieści mąk – podkreślił biskup, pokazując po pięć palców każdej dłoni i zaraz potem kciuk, wskazujący i środkowy palec prawej ręki.

Siostra Concepció poczuła w żołądku słabe, lecz nieprzyjemne mdłości. Jego Ekszelencja z entuzjazmem kontynuował wykład pod badawczym spojrzeniem matki

przełożonej.

– My, chrześcijanie, godni tego imienia, winniśmy się radować, córko, ponieważ znów żyjemy w czasach cierpienia, a to daje nam okazję wypróbować czystość naszej nadziei pokładanej w Bogu. Nastały czasy wymagające hartu ducha, nawet od trzynastoletnich dziewczynek, takich jak święta Eulalia, którą bez wątpienia natchnął Duch Święty. – Znów chwycił ją za brodę. – Powiedz, moja droga, czy kiedy nadejdzie czas, znajdziesz w sobie odwagę, by wytrwać męki ku chwale i miłości Bożej?

– Tak, Wasza Ekscelencjo – skłamała dziewczynka, spoglądając z udawaną pewnością siebie i powstrzymując odruch wymiotny.

Biskup uniósł twarz, przewrócił oczami tak, że widać było tylko białka, i wydmuchnął powietrze.

– Doskonale. Doskonale.

Nagle odsunął palce od twarzy siostry Concepció, odwrócił się, ruszył w stronę fotela i ciężko na niego opadł. Widać było po nim wielkie zmęczenie, jakby właśnie podjął się jakiegoś herkulesowego wysiłku. Trzęsły mu się policzki i podbródek, łapał powietrze niczym ryba wyjęta z wody. Matka przełożona zaczęła mówić:

– Niemniej nie ma potrzeby, abyśmy wszyscy podążali ścieżką męczeństwa, nie sądzisz, córko? – Porzuciła

władczy ton i starała się nadać głosowi serdeczne, niemal matczyne brzmienie, ale jedynie, co osiągnęła, to wrażenie niepewności. – Ktoś musi przeżyć, by wspominać męczenników i świętych. A ty, jak to dobrze ujął Jego Ekscelencja, posiadasz dar, którym obdarzył cię nasz Pan, dar wysławiania się poprzez muzykę.

Siostra Concepció odpowiedziała skinieniem głowy. Miało wyrażać wdzięczność, ale jedynie wypełniło jej usta z trudem wstrzymywaną zółcią.

– Jego Ekscelencja – kontynuowała ze smutkiem matka przełożona – sądzi, i nie trzeba dodawać, że ja również z pokorą przychyliłam się do jego zdania, że jest wiele sposobów, by stawić czoła nieszczęściom tych trudnych dni, w których nasz Pan, jak to ci dobrze wyjaśnił ksiądz biskup, poddaje nas tak ciężkim próbom. Jedną z nich jest wniesienie do tego świata, w takiej mierze, w jakiej starcza nam sił, odrobiny piękna.

Matka przełożona ponownie zamilkła, szukając słów, których jednak nie znajdowała. W końcu powiedziała wprost:

– Krótko mówiąc, córko, Jego Ekscelencja pragnie, abyś rozpoczęła pracę nad pewnym utworem muzycznym. Ale takim, który nie będzie wariacją na temat już istniejącego dzieła, lecz własną kompozycją. Po tym jak wczoraj sprawiłaś wszystkim przyjemność, można uznać, że jesteś gotowa do...

Siostra Concepció zrozumiała, że to niedorzeczne polecenie stanowiło kaprys biskupa Perugorríi, a matce przełożonej nie pozostawało nic innego, jak je poprzeć, nawet wbrew własnej opinii. Pojęła również, że nic nie może zrobić ani powiedzieć, aby przeciwstawić się absurdalnej prośbie, więc tylko obdarowała matkę przełożoną smętnym, pełnym rezygnacji uśmiechem. Rzuciła okiem na Jego Ekscelencję, który wydawał się pogrążony we własnych myślach.

Matka przełożona otworzyła drzwiczki oszklonej gabloty, wyjęła jedną z waz z czarnej gliny i postawiła ją na podłużonym, ciemnym i surowym stole w sali kapitulnej. Następnie zaczęła szperać w swoim szkaplerzu, skąd wyjęła dwa drobiazgi, które pokazała siostrze Concepció na rozpostartej dłoni.

– Widzisz to ziarnko fasoli i ten migdał, moja droga? – Nowicjuszka przytaknęła, nic nie rozumiejąc. – Teraz wrzucimy je do wazy, a ty włożysz do niej rękę i bez podglądania wyciągniesz jedno z dwojga, zgoda?

Zatem chodziło o jakieś losowanie, które musiało mieć coś wspólnego z powierzonym jej zadaniem. Obserwowała, jak matka przełożona wrzuca fasolę i migdał do naczynia i potrząsa nim energicznie. Kiedy się zmęczyła, wyciągnęła ku niej rękę i trzymając wazę na wysokości twarzy dziewczynki, powiedziała:

– Do dzieła, córko.

Siostra Concepció podniosła rękę, ale nagle ją zatrzymała. Przyszło jej na myśl, że wewnątrz wazy mógł być skorpion albo jadowity pająk, który ją ukąsi i przyprawi o śmierć w konwulsjach, z gorączką i majakami. Ten rodzaj cierpienia, a właściwie jego obraz, zapanował nad jej wyobraźnią i wypełnił głowę potwornymi wizjami, w których widziała samą siebie chłostaną, torturowaną, kaleczoną i paloną żywcem ku większej chwale Pana. To właśnie te wizje wywoływały w niej mdłości, które nie były tylko fizycznym odczuciem, ale także przeciskały się przez ścianki jej serca i rozlewały wewnątrz duszy, powodując przygnębienie.

– Moja droga... – nalegała z coraz większą łagodnością matka przełożona.

Dziewczynka zdobyła się na odwagę, zamknęła oczy i wyciągnęła ramię, sięgając ręką aż na dno wazy. Chwyciła palcami pierwszy kształt, na który natrafiła, i szybkim ruchem wyciągnęła go z naczynia.

– Fasola – obwieściła z powagą matka przełożona.

– Doskonale! – wykrzyknął biskup z nagłym ożywieniem. – Zatem będziemy mieć *Stabat Mater*.

Fasola oznaczała *Stabat Mater*. Jaki inny nonsens przypisano do migdału, tego siostra Concepció już się nie dowiedziała, ale też nie była ciekawa. Znów przysłuchiwała się biskupowi Perugorrii, który tryskał teraz nieoczekiwaną, wręcz przesadną radością.

– Szczególnie upodobałem sobie *Stabat Mater* – oznajmił rozplómienny. – Jest to pieśń, która wydała z siebie najcenniejsze kompozycje w całej historii muzyki. Lament Matki Bożej nad cierpieniem jej Syna... Szczytowy moment udręki, ale też oczyszczenie, które ona przynosi.

– Płacz Marii – zauważyła matka przełożona – jest sumą płaczu wszystkich matek, które widziały swoje dzieci pogrążone w bólu i nędzy i które mimo to zaufały nieskończonemu miłosierdziu Pana Boga.

Biskup wciągnął przez nos ogromny haust powietrza i dodał:

– Skomponujesz muzykę do *Stabat Mater* na cześć senyory Marii Maeztu, mojej biednej matki. Powinna przebywać teraz w miejscu, które było mi domem, w Nawarze, cierpiąc ból po śmierci syna, jako że jest jej pewna. – Oczy zwilgotniały mu jeszcze bardziej niż zazwyczaj i Jego Ekscelencja uniósł rękę, by je otrzeć. – Moja matce i mnie cierpienie zostanie wynagrodzone z nawiązką, kiedy znów się spotkamy i serdecznie uściśniemy, czy to na tym świecie, czy w lepszym życiu, które Opatrzność Boża szykuje nam po śmierci. Tymczasem – zaznaczył – twoja muzyka będzie balsamem pozwalającym wyleczyć rany wielu dusz upokorzonych przez tę wojnę, wielu pohańbionych matek...

Głos mu się załamał i zaczął szlochać, trzęsąc się.

Siostra Concepció zdobyła się na odwagę, by zaoponować.

– Ale nie sądzę, żebym umiała... – pisnęła.

W ułamku sekundy biskup Perugorria powrócił do zmysłów i szybkim, mocnym ruchem chwycił ją za ramiona, tym razem obydwoma łapami. Sprawiał jej tym prawdziwy ból. Półmrok panujący w kapitulnie kontrastował z zimnym blaskiem bijącym od oczu prałata, wciąż jeszcze pełnych łez.

– Słodka córko – niemal świstał, mówiąc – jeśli twierdzisz, że jesteś dość silna, by znieść kalwarię świętej Eulalii, Duch Święty natchnie cię, byś mogła wypełnić zadanie, którego się od ciebie oczekuje.

– Wyjątkowy charakter tego polecenia – dodała matka przełożona, nie mogąc już dłużej ukrywać przepełniającego ją smutku – zwalnia cię z obowiązku wykonywania prac, za które byłaś odpowiedzialna w zgromadzeniu. Choć będziemy wdzięczne za wszelki trud, jaki sobie zadasz, by nie porzucać ich całkowicie...

Kiedy matka przełożona zauważyła, że sama sobie zaprzecza, zamilkła, by nie wprowadzać większego zamieszania w pełnej niepewności duszy nowicjuski.

– Możesz odejść w pokoju, moja droga – zakończyła.

Drzwi sali kapitulnej stuknęły, zamykając się za siostrą Concepció, i dziewczynka przeszła otepiała kilka kroków. Musiała się jednak zatrzymać, by zwymiotować

w jednym z rogów wirydarza, podczas gdy koty przyglądały się jej z zaciekawieniem.

Rozmowa z don Miquelem Carbonissą wprawiła brata Dardera w niepokój i dezorientację. Okazało się, że sędzia jest prawdziwą krynica wiedzy w sprawach zmarłych, którzy w jakiś sposób powrócili do życia – jako wampiry lub w innej jeszcze postaci. Tego rodzaju opowieści nie pomagały, rzecz jasna, zakonnikowi w odnalezieniu spokoju ducha, którego potrzebował, ale nie pozostawało mu nic innego, jak polecić się Hiobowej cierpliwości i udawać, że słucha z zainteresowaniem.

Zagadnienie, zgodnie z tym, co twierdził sędzia Carbonissa, sięgało niezwykle zamierzchłych czasów – tak odległych, że już Herodot opisał w swoich *Dziejach* przypadek pewnego ożywieńca ze starożytności. Miał być nim Aristeas, młodzieniec należący do jednej z najznamienitszych rodzin miasta Prokonez, poeta epiczny, który zapisał, że Apollo natchnął go do odbycia podróży aż do ziem Issedonów oraz że za ziemiami Issedonów żyło plemię Arimaspów, jednookich ludzi, a jeszcze dalej mieszkaly gryfy strzegące złota i dopiero za gryfami, na brzegu morza, Hiperborejczycy.

Pewnego dnia Aristeas, jeszcze młody, wszedł do warsztatu tkackiego, gdzie chciał zlecić wykonanie przędzy na tkaninę z dwóch bel bawełny, i nagle padł na samym środku pomieszczenia, powalony niespodziewaną

śmiercią. Skonsternowany właściciel, znając rodzinę, z której pochodził młodzieniec, zamknął prędko lokal na kłódkę i popędził najszybciej, jak mógł, by zawiadomić o wszystkim rodziców zmarłego. Wiadomość rozeszła się rychło po mieście i wtedy pojawił się pewien człowiek z Kyzikos, który właśnie przybył do Prokonezu. Twierdził, że to niemożliwe, by Aristeas umarł w domu tkacza, ponieważ zaledwie przed chwilą spotkał go u bram miejskich i z nim rozmawiał. Stojąc na środku agory, zapewniał o prawdziwości swojej historii każdego, kto chciał go słuchać.

Rzeczywiście, kiedy rodzice Aristeasa dotarli z płaczem do warsztatu tkackiego, prowadząc ze sobą wóz pogrzebowy i niosąc całun, okazało się, że nigdzie nie mogą znaleźć swojego syna, ani żywego, ani martwego, i że słuch po nim zaginął. Dopiero po siedmiu latach pojawił się znów w Prokonezie w okolicznościach równie tajemniczych jak te, w których zniknął, zdrowy jak ryba. Zatrzymał się na krótko, a czas ten poświęcił na komponowanie wierszy, potem zaś ponownie przepadł, jakby pochłonęła go ziemia.

Sędziemu Carbonissie znane były także liczne przypadki zmarłych wracających do życia natychmiast po tym, jak wyzionęli ducha, na żądanie świętych, którzy ich o to prosili. Jako przykład wymienił pewne dzieło świętego Augustyna, w którym opowiedziano historię

młodzieńca prześladowanego przez wymiar sprawiedliwości z powodu skargi wniesionej przez człowieka domagającego się zwrotu długu. Choć dług został już spłacony przez ojca młodzieńca, ten nie mógł niczego udowodnić, nie posiadając stosownego pokwitowania. Wtedy duch ojca, zgodnie ze słowami świętego Augustyna, ukazał się litościwie synowi i wskazał, gdzie znajduje się pokwitowanie, które tak uporczywie spędzało mu sen z powiek.

Sędzia opowiedział też o tym, jak to święty Makary Egipski wskrzesił zmarłego, aby ten zaświadczył o niewinności pewnego człowieka, oskarżonego o zabicie go: zmarły oczyścił z zarzutów oskarżonego, nie chciał jednak podać imienia prawdziwego mordercy. Również w Egipcie miał miejsce słynny przypadek świętego Spirydiona, który znalazł się w kłopotach z powodu śmierci swojej córki Ireny. Jeszcze za jej życia pewien mężczyzna złożył jej, jak twierdził, w depozyt pewną sumę pieniędzy, a Irena przyjęła ów depozyt, nie informując o niczym ojca. Ponieważ w całym domu nie udało się tych pieniędzy znaleźć, święty Spirydion udał się w końcu do grobu córki i wezwawszy ją po imieniu, zapytał o rzeczony depozyt. Ta zaś, odpowiadając z wnętrza grobowca, wyjaśniła ojcu, gdzie są pieniądze, tak że ten mógł je zwrócić. Ponadto święty Makary, czyniąc kolejny ze swoich cudów, przyzwał jednego ze

zmarłych, by wziął udział w dyskusji, którą prowadził z przedstawicielem herezji eunomiańskiej (według innych autorów – hierakickiej). Widząc, że heretyk nie słucha jego argumentacji, rzekł do niego: „Udajmy się do grobu jakiegoś zmarłego i poprośmy go, by nas pouczył w kwestii prawdy, z którą nie chcecie się zgodzić”. Heretyk nie ośmielił się stawić, ale święty Makary przybył na wyznaczone miejsce tłumnie otoczony ludźmi i zadał zmarłemu pytanie, ten zaś odpowiedział mu z głębi grobowca, że gdyby heretyk przyszedł na spotkanie, powstałby z martwych, aby go przekonać i dać świadectwo prawdzie. Następnie święty nakazał zmarłemu powtórnie zapaść w sen w pokoju Chrystusa aż po ostatni dzień świata.

Większość historii o ożywieńcach nie miała jednak charakteru świątobliwego, były bowiem makabryczne i niezdrowe, a kiedy sędzia Carbonissa zaczął je opowiadać, miało się wrażenie, że nigdy nie skończy. Na bracie Darderze wielkie wrażenie zrobiła historia o hrabim Estruchu czy Estrudze, wampirze, który zgodnie z tym, co mówiła legenda, zamieszkiwał zamek Llers w Alta Empordà, gdzie jak przypuszczano, żyły również czarownice. O tych ostatnich dość niedawno – podkreślił sędzia – pisał pewien regionalny poeta, Carles Fages de Climent. Wzmiankowany hrabia Estruch był katalońskim szlachcicem i zmarł na początku trzynastego wieku

(niektórzy autorzy zwrócili uwagę, że śmierć hrabiego nastąpiła mniej więcej w tym samym czasie co narodziny króla Jakuba I[5]) i wrócił do życia jako wampir. Gryzł ludzi i zwierzęta i wypijał z nich krew, ale nie to było najpotworniejszym z jego czynów. Otóż hrabia uwodził młode dziewczęta i porzucał je, gdy zachodziły w ciążę, po dziewięciu miesiącach rodziły się zaś małe potworki, zdeformowane i wynaturzone, które umierały chwilę po narodzinach. Hrabia siał postrach aż do dnia, kiedy jego śpiące ciało zostało znalezione przez pustelnika, pół-Żyda, który przymusił wampira do wiecznego spoczynku za pomocą pradawnych czarów powiązanych z rytuałami kabalistycznymi.

Owe odrażające moralnie fantazje miały, zdaniem sędziego Carbonissy, swoje korzenie w sferze wiary. Opinię tę podzielały najsolidniejsze wśród autorytetów. Weźmy na przykład polemikę, jaka rozgorzała pomiędzy dwoma filozofami, Celsusem i Orygenesem, kiedy pierwszy z nich ogłosił swoje pisma przeciw chrześcijanom, w których utrzymywał, że objawienia Jezusa Chrystusa doświadczane przez apostołów nie były prawdą, a jedynie chwiejnymi cieniami, uznanymi przez nich za to, czym nie były. Orygenes wykorzystał jednak przeciw Celsusowi jego własny argument, przypominając mu, że poganie również pozostawili liczne relacje dotyczące objawień czy to Apolla, czy Eskulapa: jeśli

zatem, jak twierdził Celsus, przyjmujemy je za dobrą monetę, dlaczego nie mielibyśmy uznać za prawdziwe objawień Chrystusa, które przecież zostały opisane przez naocznych świadków i którym uwierzyło wielu ludzi na całym świecie? Ostatecznie liczna grupa najjaśniejszych umysłów – w tym święty Augustyn i święty Tomasz – udowodniła i potwierdziła, że to, co w chrześcijańskich relacjach mówi się na temat objawień Jezusa, stanowi element umacniający doktrynę o odkupieniu rodzaju ludzkiego.

Tak opisał to zagadnienie Orygenes i w ten sam sposób przedstawiał je przerażony sędzia Miquel Carbonissa. Nie czekając długo, przywołał w swojej opowieści wyjątkową postać benedyktyna Augustina Calmeta, autora powszechnie podziwianego *Komentarza do Starego i Nowego Testamentu*, który przyniósł mu zasłużoną sławę jednego z najlepiej wykształconych i najpobożniejszych ludzi w całej osiemnastowiecznej Francji. Niemniej ten sam wybitny autor pozostawił inne dzieło, spisane w szczytowym okresie oświecenia, a mianowicie obskurancki i z całą pewnością niepokojący wolumin zatytułowany *Traktat o wampirach*. Zebrał w nim wszystkie znane sobie wiadomości na temat umarłych (a właściwie nieumarłych) powracających z tamtego świata i żywiących się krwią żywych ludzi. Calmet dochodził w nim, rzecz jasna, do konkluzji, że

wszystkie tego rodzaju historie są całkowicie nie do przyjęcia z punktu widzenia moralności i reguły chrześcijańskiej. Jest jednak zastanawiające, dlaczego człowiek jego pokroju, wierzący i filozof, poświęcił tyle wysiłku, by zebrać, uporządkować, przepisać i opublikować tego typu opowieści? Dlaczego zajmował się owym traktatem pełnym obscenicznym wyobrażeń z takim samym zapałem i starannością, z jakimi oddawał się pracy nad budzącymi szacunek i uznanie erudycyjnymi dziełami bibliistyki? Sędzia Carbonissa wymieniał, z ciarkami przechodzącymi mu po karku, niektóre z cech i zwyczajów, jakie ojciec Calmet przypisywał ożywiencom albo brukołakom, jak ich też nazywał.

Mówił na przykład, że mają w zwyczaju posilać się w trumnie i że pożerają wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu, łącznie z własnym ciałem, oraz że istnieją świadkowie, którzy twierdzą, że słyszeli odgłosy żucia podobne do wydawanych przez świnie, a dobiegające z wnętrza niektórych trumien. Nie mniej przerażające były opowieści ludowe o wampirach z Moraw, jak choćby ta o ślusarzu z pewnej niewielkiej miejscowości w Czechach, który po śmierci pojawiał się na ulicach miasteczka, wykrzykując głosem jak zza grobu nazwiska określonych osób, które po kilku dniach umierały. Sytuacja ta trwała dopóty, dopóki mieszkańcy miasteczka nie uzgodnili, że odkopią ciało ślusarza i oddadzą je katu,

ten zaś umieścił je na zamkniętym wozie, wywiózł za miasteczko i spalił na stosie. Trup ślusarza, gdy trawiły go płomienie, wył wściekle i wierzgał rękami i nogami jak żywy, a kiedy kat przebił mu pierś i brzuch kołkami, wydał z siebie kilka przerażających jęków i popłynęła z niego szerokim strumieniem krew o barwie żywej czerwieni. Nie pozostało po nim nic oprócz popiołów, i tak położono kres spustoszeniu, jakie siał upiór. W ten sposób ugruntowała się też wiara, że jedynym skutecznym ratunkiem przeciw tego rodzaju zjawom jest obcięcie ożywieńcowi głowy, przebicie naostrzonym kołkiem i spalenie na popiół.

Kiedy brat Pau Darder zaczynał mieć już dosyć rozwlekłej przemowy sędziego Carbonissy, ten powrócił do pytania, które wydawało się jego obsesją: dlaczego członek Kościoła postawiony tak wysoko jak ojciec Calmet zajmował się opowieściami o wampirach, tymi odpadami rozumu? Sędzia potrafił znaleźć tylko jedną odpowiedź: z tej prostej przyczyny, że duchowny musiał sądzić, że warto to robić. A skoro świątły benedyktyn doszedł do takich wniosków, oznacza to, że w owych historiach nie widział wyłącznie pustych nedorzeczości przekazywanych sobie przez pokolenia w czasie długich zimowych wieczorów przy kominku, ale musiał dopatrzeć się w nich jakichś wartościowych informacji. Czegoś, na co zwykli ludzie nie zwrócili uwagi, a co bystry Augustin

Calmet natychmiast wychycił.

– Koniec końców – rozważał sędzia – opowieści o wampirach mówią nam o potworności samej w sobie, czyli o tym aspekcie rzeczywistości, na który wolimy spuszczać zasłonę niezrozumienia i pogardy. Jednocześnie potworność jest wrodzoną, potencjalną cechą wszystkich istot żywych. Cud stworzenia, zdolny do zapłodnienia nicości i przekształcenia jej we Wszechświat, był tak ogromny, że w nieunikniony sposób musiał zostać naznaczony jakąś niedoskonałością, niczym doskonała partytura upstrzona plamkami atramentu. Nic nieznaczącymi plamkami, ale jednak na tyle wyraźnymi, że mogą wprowadzić jej czytelnika w błąd i spowodować omyłki. Owe błędne odczytania przeniesione do skali wszechstworzenia po zsumowaniu tworzyły to, co zwyczajowo nazywa się złem, a co swoją ulubioną formę ekspresji znajduje w potworności. Zatem – kontynuował – świadomość zła jest instrumentem danym przez Boga właśnie w tym celu, abyśmy mogli się bronić. Ponieważ dysponujemy umiejętnością racjonalnego myślenia, jesteśmy zdolni pojąć istnienie zła oraz znaczenie tego, co potworne. Ponadto możemy starać się naprawić te defekty, dzięki czemu stajemy się w pewnym względzie współuczestnikami dzieła Bożego i przyczyniamy się do powtórnego zrównoważenia tego, co Bóg stworzył. Jak zanotował poczciwy Augustin Calmet, jest możliwe, że

osoby przez pomyłkę pochowane za życia (a uznane za zmarłe z powodu choroby), budząc się zamknięte w trumnie, traciły jasność rozumowania do tego stopnia, że rozdrapywały własne ciało albo zwłoki spoczywających obok zmarłych, więc trudno nie myśleć z przerażeniem o takim upodleniu. Przypuszczenie, że prawdziwie zmarli mieliby ruszać szczękami i zabawiać się, drapiąc wszystko, co się wokół nich znajduje, należy natomiast odrzucić jako dziecinne, inspirowane być może Manducusem dawnych Rzymian. Manducus był antropomorficznym pajacykiem z ogromnymi ustami zaopatrzonymi w zęby. Zabawa, która cieszyła zarówno dzieci, jak i dorosłych, polegała na poruszaniu szczękami maskary za pomocą specjalnych sprężyn umocowanych tak, aby jej zęby zgrzytały, co miało sprawiać wrażenie, że wygłodniałe straszycło prosi, by dać mu coś do jedzenia.

W tym momencie brat Darder czuł się jeszcze bardziej skołowany niż na początku rozmowy, dlatego też poprosił sędziego Carbonisę, by zechciał mu wyjaśnić, do czego właściwie zmierza. „Automaty” – wymruczał sędzia, a marysta nie zdołał stwierdzić, czy mu odpowiada, czy tylko rozmyśla na głos. Następnie dodał, że Manducus był bez wątpienia automatem, czyli artefaktem stworzonym dzięki inteligencji ludzkiej, a konkretnie automatem, który starał się naśladować zachowanie istoty żywej. Oprócz

tego, że dostarczał on rozrywki w czasach cesarstwa rzymskiego, wiele wieków później posłużył ojcu Calmetowi do zaklasyfikowania legendy o poruszających szczękami zmarłych do należnej jej kategorii, czyli potworności. Zdolność do racjonalnego myślenia, wyróżniająca nas pośród wszystkich innych stworzeń na tym świecie, pozwoliła nam konstruować maszyny oraz pisać teksty, w których definiujemy zło, i pomóc nam zrozumieć jego naturę, a także je zwalczyć. „Automaty” – wymamrotał znów sędzia Carbonissa, opierając opuszczone czoło na czubkach palców obydwu dłoni. Brat Pau Darder, zmęczony już tym, że kompletnie niczego nie rozumie, ponownie poprosił, tym razem bardziej stanowczo, aby sędzia z łaski swojej wyjaśnił, do czego odnosi się jego zadziwiający wywód. Tymczasem sędzia spojrzął na zegarek kieszonkowy, wykrzyknął, że zrobiło się już późno, podziękował zakonnikowi za uwagę i poprosił o wybaczenie, ponieważ musi go w tej chwili opuścić. Zanim brat Darder zdążył z trudem wymamrotać, że nie ma za co dziękować, sędzia przemierzał już korytarz pensjonatu Capell, kierując się do wyjścia, gdzie zniknął tak nagle, jak się wcześniej pojawił.

Zdezorientowany i nieruchomy brat Darder pozostał na krześle w swoim przygnębiającym pokoju. Otaczało go ciepło późnego lata, przenikające przez maleńkie okienko. Zastanawiał się nad wizytą sędziego Carbonissy. Bez

cienia wątpliwości był to ekscentryczny człowiek, czy jednak w całym tym bałaganie, który zrzucił na jego barki, znajdowało się coś wartego uwagi? Co wszystkie te głupoty o wampirach i automatach mogły mieć wspólnego ze śmiercią don Pere Gendrau? I dziecka znalezionego w uliczce obok? Kruchość i przerażenie bijące od obydwu ciał ludzi zaatakowanych w tak okrutny sposób niepokoiła umysł brata Dardera, który nie umiał powstrzymać się przed zadawaniem sobie wciąż i wciąż tego samego pytania: co to za Bóg, który przygląda się obojętny, nie czyniąc nic, kiedy jego stworzenie pogrąża się w okrucieństwie i barbarzyństwie? Czy to właśnie było owo niezmiernie miłosierdzia Boże, które on sam wychwalał tyle razy w swych drobnych seminaryjnych polemikach?

– Bracie Pau? Jesteście tam? – dobiegł go zza drzwi żałośnie śmieszny głos.

Brat Darder westchnął. Nie mógł to być nikt inny.

– Jestem – odpowiedział, wstając z krzesła, by otworzyć drzwi. – Czy chcecie się może wypowiedzieć?

Brat Plana skrzywił się wokół samego siebie gadzim ruchem.

– Nie, nie. Bardzo wam dziękuję, bracie Pau, ale chodzi o coś zupełnie innego. – Odchrząknął. – Przysłał mnie brat Lacunza, żebym wam przekazał, że don Émile Aragou, doradca wydelegowany przez nasz ukochany

zakon, znajduje się już w Barcelonie. Dziś po południu brat Lacunza i ja pójdziemy do niego z wizytą, żeby powitać go w mieście i przygotować jutrzejsze spotkanie z ludźmi z FAI. Brat Lacunza prosił mnie, żebym was o tym poinformował i pyta, czy chcecie nam towarzyszyć...

Wytrwały brat Lacunza i jego działania prowadzące donikąd. Jeszcze parę dni temu bez większego zastanowienia wyraziłby swój sceptycyzm. Ale teraz czuł się zobligowany przez pamięć brata Pere.

– O której mamy się spotkać? – zapytał.

Wygodnie rozparty na krześle w swoim biurze przy via Laietana, otoczony ziarnistym światłem lampy karbidowej, komisarz Gregori Muñoz oddychał głęboko z nadzieją, że uda mu się powstrzymać mdłości i oczyścić zmysły ze wspomnienia odoru kostnicy. Zawsze wychodził stamtąd z wrażeniem, że przesiąkł nim, jakby jego również zanurzono w formalinie razem ze wszystkimi tymi trupami, kompletnymi albo rozczłonkowanymi, których nazywanie i etykietowanie tak bawiło doktora Pellicera. Krew, limfa, płyny ustrojowe. „Śmierć – myślał policjant – to rzecz zaraźliwa, jeśli raz się do niej zbliżysz, będzie ci potem trudno się od niej uwolnić”.

Komisarz Muñoz obracał bezwiednie w dłoniach jakiś przedmiot. Nagle przestał i zaczął przyglądać mu się z wielką uwagą, niemal z zachwytem. Był to bączek, który

zgodnie z jego przypuszczeniami stanowił swoiste uprzedmiotowienie *memento mori*. Przestępca mógł być nikczemnym zwyrodnialcem, ale z pewnością nie był idiotą. Komisarz musiał przyznać, że nigdy nie widział miejsca zbrodni uprzątniętego i uporządkowanego tak skrupulatnie, w którym tak beznadziejnie brakowałyby jakichkolwiek informacji. Żadnych odcisków palców, włosów, nitek z ubrania, żadnych brudów, które znajduje się zwykle na ziemi albo ścianach. Niczego, co mogłoby choć w najmniejszym stopniu wskazywać na pochodzenie lub motywację zabójcy, nie mówiąc już o jego tożsamości. Odciski stóp na żwirze uliczki zostały starannie zatarte, pozostał tylko spryskany krwią bączek, niczym znak. *Memento mori*, pamiętaj o śmierci. Wszyscy musimy umrzeć. Makabryczna i amoralna nadmiarowość, i to w czasie, kiedy ulicami miasta z rozwianą grzywą galopowała śmierć, zbierając obfite żniwo. Kobiety, dzieci, starcy. Pary zakochanych szykujące się właśnie do ślubu i założenia rodziny. Matki opiekujące się dziećmi, a także dzieci dbające o swoich podstarzałych już rodziców. Twardzi i silni mężczyźni pracujących w hutach albo w fabrykach maszyn ciężkich po piętnaście, szesnaście godzin dziennie, bez wytchnienia. Wyróżniający się przedsiębiorcy i zamożni kupcy modelowo prowadzący biznes w swojej branży, ich dzieci szykujące się do przejęcia kierownictwa nad rodzinnym

interesem albo wykonującymi zawód lekarza, inżyniera czy prawnika. Bez różnicy, wszyscy jednakowo szli do diabła, wybebeszeni przez bombę albo rozerwani na kawałki strzałami snajpera, przeszyci kulami najemnego zabójcy albo zabijaki na usługach FAI, dla których definicję rewolucyjnej ortodoksji stanowiły egzekucje na drodze Arrabassada. Uśmiechnął się z rezygnacją na wspomnienie pytań, które zadawał mu doktor Pellicer: nie, nie miał najmniejszego szacunku ani dla kapłanów, ani zakonnic, ani dla żadnej z tych kościelnych myszy, ale nie wywoływali oni w nim nawet dziesiątej części takiego obrzydzenia, jakie budzili w nim zwyrodnialcy z FAI, zbieranina kutasów z pretensjami do żłobu, którzy z nabitym rewolwerem w ręce czuli się bardziej męscy. Sprawiali, że robiło mu się niedobrze. W szczególności niejaki Aureli Fernández ze Służb Bezpieczeństwa i jego przydupas, sukinsyn, którego nazywali Ordaz. Obydwaj zatruwali mu życie. Całymi dniami tylko raporty, spotkania i jeszcze więcej raportów. Nie ufali mu i, prawdę mówiąc, słusznie. Komisarz Muñoz poczułby się naprawdę szczęśliwy, gdyby ktoś wsadził takiemu Fernándezowi w dupę pistolet i opróżnił magazynek. Tak samo pieprzonemu Ordazowi. Niestety, nie miał tyle szczęścia, a poza tym on sam nie mógł nic – ostatecznie był tylko urzędnikiem Generalitat na rozkazach tego, kto akurat sprawował władzę. Ci zaś domagali się wyłącznie

posłuszeństwa, bez zbędnych pytań. Przynajmniej tyle dobrego, że nie miał nic do czynienia z grubą rybą w Służbach Bezpieczeństwa, niejaki Escorzą, o którym mówili, że wprawdzie ma zdeformowane ciało, ale nawet nie w połowie tak bardzo jak umysł.

Doktor Pellicer miał rację. Jeśli w Służbach dowiedzieliby się, że pozwolił wyfrunąć całemu stadu świętych turkaweczek, załatwiliby go tak, że sikałby krwią. Fernández i Ordaz byliby zachwyceni. Ale on postanowił, że nie będzie brał udziału w tym szaleństwie, które rozpętało się w Barcelonie przeciwko ludziom Kościoła. Nie mógł wprawdzie zrobić nic, by je zatrzymać, ale miał przynajmniej nadzieję wyjść z niego bez krwi na rękach. Ustawił szpic bączka na stole, kciukiem i palcem wskazującym chwycił go za czubek i zakręcił nim mocno prawą ręką. Zabawka, lekka i szybka, zawirowała, a prędkość natychmiast zaczęła rozmywać dekorujące ją czerwone i zielone pasy, aż zlały się w jedną plamę nieokreślonego koloru. Była wprawdzie dowodem w sprawie, ale komisarz w nagłym porwywie poczuł się jej właścicielem. „Nie jest stąd” – pomyślał. „Jeden bączek więcej czy mniej nie sprawi, że zatrzymamy mordercę albo przestaniemy go szukać”. Zresztą on też nie wiedział, co zrobić z tym bączkiem: nie miał dzieci ani siostrzeńców, ani żadnego znajomego dziecka w okolicy, któremu mógłby go podarować. Tak

naprawdę we wszystkich aspektach swojego życia komisarz Muñoz skłaniał się raczej ku samotności i swego rodzaju sterylności. „Ale kiedy właściwie już nic nie ma znaczenia – rozważał – zupełnie traci je również cel rzeczy”. Na przykład od wielu lat mówił każdemu, kto mógłby podać to w wątpliwość, że zadaniem policjanta jest dopilnować, by żadne przestępstwo nie pozostało bezkarne. Rzeczywistość jednak, a przynajmniej ta rzeczywistość, której obraz ostatnio wykształcił się w zwojach mózgowych komisarza Muñoz, dowodziła, że w czasach morderców obecność jednego zabójcy więcej jest czymś całkowicie zwyczajnym. Motywy? A na co komu one! Uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie młodego, aroganckiego marystę, który usiłował budować teorie na temat przyczyny obydwu zabójstw. Najwyraźniej w seminarium nie nauczyli go, że w wyjątkowo wysokim odsetku spraw nie ma żadnego motywu albo jest tak nikły, że okazuje się bez znaczenia. Morderca nie potrzebuje dobrego motywu, żeby zabijać, wystarczy mu odpowiednie środowisko i atmosfera. A w tym momencie na świecie znajdowało się niewiele miast, w których warunki do mordowania byłoby tak dogodne jak w Barcelonie.

Kiedy bączek stracił pęd i przewrócił się na stół, komisarz mlasnął językiem o zęby, wyrażając w ten sposób poczucie nieuchronności losu. Podniósł zabawkę,

schował ją do kieszeni i ponownie westchnął. Musiał przyznać, że zaskoczyły go wyjaśnienia doktora Pellicera dotyczące wampiryzmu, ale po zastanowieniu stwierdził, że nie były aż tak nieprawdopodobne, jak myślał. Wykolejeńców zawsze było pełno, i to wszelkiej maści, a kiedy zaczęła się wojna, pojawiło się ich jeszcze więcej. Jakiś miesiąc wcześniej zatrzymali pijaka, który podniecał się, pokazując dziewczynom obwisłe fałdy skóry. To też musiała być jedna z parafilii wspomnianych przez doktora Pellicera. Jakkolwiek by było, psychiatryczne teorie nie zdały się na wiele typowi, kiedy go zawlekli do piwnicy i potraktowali zgodnie z tym, co mieli w zwyczaju w podobnych przypadkach. A gdy skończyli, ani on, ani nikt inny nie musiał się już martwić niczym, co by mogło mu się podnieść poniżej pasa.

Przełknął ślinę. Niesmak, który pozostawiły formalina i pleśń, nie opuszczał go. Na dodatek teraz dołączył do niego jeszcze jeden składnik.

– Jezu, kurwa, Sirga! – charknął, nie obracając się. – Cuchniesz mydłem z burdelu.

– Co pan powiedział? – zapytał rudy policjant, stojąc nieruchomo w drzwiach biura komisarza.

Muñoz obrócił krzesło nagłym ruchem i teraz patrzył wprost na Sirgę.

– Żeś kurwiarz, to właśnie powiedziałem! – Wstał z krzesła, podszedł do policjanta i stuknął go w daszek

czapki tak, że odwinął mu się do góry. Wyczuwał to tylko intuicyjnie, ale komisarz lubił kierować się intuicją.

– Hu, hu, hu – zaśmiał się Sirga w podzięce za poufałość.

– Nie śmieję się, durniu. – Komisarz splunął, a Sirdze śmiech zamarł na ustach. – Nie lubię kurwiarzy. Przypominają mi o ojcu. Wiesz, co zwykł mawiać mój ojciec?

Chłopak milczał i zrobił się sztywny, jakby go ktoś nakrochmalił. Nie śmiał nawet mrugnąć.

– Mawiał: człowiek musi od czasu do czasu wypróżnić sobie worek z jajcami! I od razu częstował matkę pięścią, a potem szedł na kurwy. W Chińskiej wszyscy nazywali go Maurem. Maur z Chińskiej Dzielnicy. Jak ci się podoba, Sirga?

Zapytany przełknął ślinę.

– Naganne, panie komisarzu.

– Naganne, dobre słowo – warknął komisarz. – A wiesz, dlaczego nazywali mojego ojca Maurem, Sirga?

– Nie, panie komisarzu.

– Bo miał naprawdę dużego, dlatego tak go nazywali! – grzmiał, gestykulując obydwoma dłońmi i rozkładając je szeroko. – Nie słyszałeś, że Maurowie chodzą dobrze uzbrojeni? No więc mój ojciec miał dużego, włochatego, grubego i z mnóstwem żył. Z czarnymi jajcami przyklejonymi do tyłka jak u tygrysa! Wiesz, Sirga, jakie

jajca mają tygrysy?

Policjant nie mógł powstrzymać się od uśmiechu i tym razem komisarz Muñoz nie nazwał go durniem, ale też uśmiechnął się chytrze i mówił dalej:

– Kiedy mój ojciec zbliżał się do Chińskiej, kurwy uciekały jak nawiedzone, żeby ten cały dar boży nie znalazł się między ich nogami! Wyobrażasz to sobie? Mówiły, że je sobie nadziewa i że po moim ojcu przez tydzień do niczego się nie nadają. Ale facet zawsze w końcu znalazł jakąś, która za kilka reali więcej dawała się nabić. Bo przecież, jak to dobrze mawiał, człowiek potrzebuje od czasu do czasu, żeby mu wypróżnić worek... Tylko nie ten z forszą! – Zaczął się śmiać uradowany i wciąż pokazywał obydwie dłonie szeroko rozwarte, jakby w każdej trzymał coś bardzo wielkiego. – Rozumiesz mnie, Sirga? Worek, worek!

Sirga też już nie mógł wytrzymać dłużej i wybuchnął gardłowym, lepkiem rechotem. Kiedy się tak śmiali, komisarz Muñoz, nie zmieniając wesołego tonu, położył rękę na plecach policjanta i go zagadnął:

– A skoro, Sirga, tak już o tym rozmawiamy, widzę, że nie zadowolasz się byle czym... Nie jesteś jak ten zwierz, mój ojciec, dla którego byle kurwa spod latarni była dobra, jeśli nie za dobra... Nie, ty jesteś ulepiony z lepszej gliny i wolisz salony z ładnymi dziewczętami o delikatnych tyłeczkach, które myją ci siusiaka

markowym mydłem, co? I posłuchaj, skąd, przy tych nędznych groszach, co tutaj zarabiasz, bierzesz forszę, żeby sobie opłacić tak wyborowy gatunek, jeśli mogę spytać?

Sirdze śmiech uwiązał w gardle, stał z otwartymi ustami, nie mogąc wykrztusić ani słowa, w związku z czym wyglądał na tak głupiego, za jakiego uważał go komisarz Muñoz. Podążając za intuicją, postanowił spróbować przywrócić mu mowę.

– Może zarobiłeś parę centymów w jakimś innym miejscu, nie tutaj, co, Sirga? – Położył otwartą dłoń na stole i zmierzył go surowym i czujnym spojrzeniem. – Pracujesz gdzieś jeszcze poza komisariatem?

Sirga zanurzył dwa palce w rudych włosach i zaczął pocierać sobie ciemię. Wyglądało to tak, jakby cienie rzucane przez lampę karbidową na pobielone ściany go połknęły, i całkiem możliwe, że jemu samemu wydałoby się to niezłym rozwiązaniem. Po zbyt długiej chwili wybełkotał:

– Do... dorabiam w magazynie, panie komisarzu.

– Ach, cholera – powiedział komisarz dość obojętnym tonem. – Gdzie jest ten magazyn, Sirga?

Znów zapanowała cisza, tak ciężka, że musiał dopytać:

– Może to magazyn w Poblenu?

– Tak... tak, panie komisarzu – wydukał Sirga, a na twarzy poznaczonej śladami po ospie rysowała mu się

niepewność. – W Poblenou, tak.

– Czy to magazyn zbożowy, Sirga?

– Tak... i z mąką. Z mąką i ze zbożem, panie komisarzu.

– A ty tam ładujesz i wyładowujesz worki, tak?

– A ja tam ładuję i wyładowuję worki, tak... tak, panie komisarzu.

Komisarz Muñoz pokiwał kilkakrotnie głową, jakby zastanawiał się nad jakąś palącą kwestią.

– Dobra robota, Sirga, człowiek musi pracować, żeby zarobić na życie – powiedział i uśmiechnął się. – Przy okazji dasz mi adres tego cudownego salonu, prawda?

– Rozmawialiście z komisarzem Muñozem, tak jak wam zalecałem? – spytał sędzia Miquel Carbonissa.

– A jakże – odpowiedział doktor Pellicer. – Tyle że, tak jak pana uprzedzałem, powiedziałem mu jedynie to, co wydało mi się najrozsądniejsze. Niemniej nie odnoszę wrażenia, żeby jakoś specjalnie się mną przejął... – westchnął. – A pan, panie sędzio? Wystraszył już pan tego młodego marystę swoimi historiami o powracających do życia zmarłych, pijących krew żywych ludzi?

Na twarzy sędziego pojawił się ironiczny uśmiech.

– To znamienne, że okazuje pan tyle niechęci, zważywszy na sprawę, z powodu której zebraliśmy się tutaj.

Lekarz przytaknął ruchem głowy.

– Ma pan rację. W rzeczywistości chciałbym już wszystko zobaczyć – zapewnił, uśmiechając się z wyrazem oczekiwania w oczach.

– Zatem nie ma co tego odkładać! – zawołał sędzia Carbonissa, wbijając dłonie w poręcze fotela z gutaperki, by się podnieść.

Dwaj mężczyźni umówili się na spotkanie w mieszkaniu sędziego, na parterze budynku obficie udekorowanego postaciami ukazanymi w różnych scenach, na początku ulicy Aribau, niemal przy Gran Via. Siedzieli w bibliotece. Sędzia Carbonissa zaciągnął ciężkie aksamitne zasłony w wielkich oknach, aby zagrozić drogę ostremu światłu wrześnieowego popołudnia, a następnie umieścił na hebanowym stoliku pomiędzy dwoma szerokimi fotelami butelkę armaniaku i dwa maleńkie kieliszki, prawie miniaturki, z rżniętego szkła, które szybko napełnił alkoholem. Pomieszczenie było obszerne. Trzy sięgające aż po sufit gabloty biblioteczne wypełnione woluminami wszelkiej wielkości zajmowały całe trzy ściany. Pomiedzy dwiema gablotami ukryto, tak by nie przeszkadzała, drabinkę na kółkach, dzięki której można było się dostać do tomów stojących najwyżej. Całość odznaczała się przytulnością i sprawiała wrażenie porządku i czystości. Podnieśli małe kieliszki i doktor Pellicer zaproponował toast:

– Za Hadaly’ego – powiedział z werwą.

– Za Hadaly’ego – zgodził się sędzia i opróżnił jednym haustem swój kieliszek.

W tym momencie z zewnątrz dobiegło ich wycie alarmu. Zbliżał się nalot. Dźwięk syren dochodził do biblioteki sędziego Carbonissy przytłumiony, jakby pochodził z bardzo daleka. Wkrótce jednak usłyszeli huk wybuchów na ulicy i w budynkach, a nawet poczuli lekkie drzenie, które wstrząsnęło całym pokojem. Sędzia napełnił ponownie kieliszek armaniakiem, obsłużywszy najpierw swojego gościa, i obydwaj wypili, tym razem smakując spokojnie płyn i bez słowa nasłuchując odgłosów bombardowania. Doktor Pellicer skręcił jednego ze swoich papierosów i zabawiał się, puszczając ustami kółka dymu, które wisiały w powietrzu przez kilka sekund, dopóki się nie rozwiały, nie pozostawiając za sobą ani historii, ani tajemnicy. Siedzieli tak dobrą chwilę. Potem wymienili porozumiewawcze spojrzenia świadczące o współnictwie i podnieśli się jednocześnie z foteli ruchem, który zdawał się zsynchronizowany.

Opuścili bibliotekę, przeszli przez majestatyczną jadalnię, dość jasny korytarz, aż dotarli do drzwi wychodzących na wewnętrzny dziedziniec budynku, rozległy niczym pole melonów (takie porównanie przyszło do głowy doktorowi Pellicerowi). Tutaj było już wyraźnie słychać huk bombardowania, ogłuszające wycie syren i złowrogi gwizd bomb spadających z nieba niczym jakaś

ulewa. Ale nie te zdarzenia były powodem zainteresowania obydwu mężczyzn, i to zainteresowania tak wielkiego, że obydwaj bez najmniejszej trwogi kroczyli przez otwartą przestrzeń mimo tak mało sprzyjającej pory. Nie tracąc ani sekundy, sędzia Carbonissa podszedł do swego rodzaju cementowego zbiornika w kształcie prostokąta, znajdującego się w bocznej części dziedzińca. Zbiornik ten musiał mieć ze dwa metry długości i nie więcej niż metr wysokości. Pan domu wyciągnął z kieszeni spodni klucz, włożył go do dziurki w drzwiczkach zamykających konstrukcję od góry i otworzył ich obydwie skrzydła, za którymi ukazała się pusta przestrzeń. Wejście.

– Jeśliby pan mógł – zaproponował sędzia, wskazując ręką otwarte drzwiczki.

Doktor Pellicer zajrzał do wnętrza i zobaczył zahaczoną o ścianę metalową drabinę, z czego wywnioskował, że powinien po niej zejść. Tak też uczynił, niemniej raz jeszcze wiek i przede wszystkim jego korpulentna figura sprawiły, że zadanie okazało się bardziej skomplikowane, niż przypuszczał. W końcu z pomocą sędziego udało mu się chwycić bezpiecznie szczebli i zaczął schodzić niczym powolny, tłusty pająk. Opuszczając się po drabinie, słyszał nad głową echo kroków sędziego, który zamknął za sobą drzwiczki, tak że musieli schodzić w całkowitych ciemnościach. Odgłosy

trwającego w najlepsze ataku bombowego znów się oddaliły. Doktor Pellicer przypomniał sobie nagle pewne powiedzenie. Słyszał je wielokrotnie w czasach swojego dzieciństwa spędzonego na wsi, w jednej z miejscowości regionu Terres de Ponent, kiedy człowiek od wózka przechodził przez jego rodzinne gospodarstwo. Zajęcia człowieka od wózka było dość szczególne. Otóż zbierał on ciała padłych z choroby albo w wypadku zwierząt – baranów, psów, świń, kóz, czasem krowy albo konia. Złe mięso, jak je nazywali. Człowiek od wózka, który w pamięci doktora Pellicera jawił się jako mężczyzna jowialny i pracowity, chodził od gospodarstwa do gospodarstwa po całej okolicy i zbierał na wózek, od którego zyskał miano, pojawiające się złe mięso. Następnie wrzucał je do dołu z wapnem, gdzie rozkład przekształcał je w nawóz stosowany na okolicznych polach. Złe mięso, tak to nazywali. Tamten wesoły i przyjazny człowiek zajmował się jednak zbieraniem wszystkich martwych zwierząt, by poddać je procesowi, który sprawiał, że mogły służyć za pożywkę dla nowego życia. Sama natura dowodziła zatem, że zawsze się ono podniesie, że nawet śmierć i rozkład mogą dać życie i wszystko to, co czyni je możliwym. „Nie ma początku ani końca” – rozmyślał lekarz. „Jest tylko koło, cykl, który raz po raz rozpoczyna się w czasie”.

W miarę jak schodzili, powietrze stawało się coraz

zimniejsze i wilgotniejsze. Wywoływało na skórze odczucie chłodu, jakby znajdowali się w pobliżu jakiejś cysterny. W końcu, po bardzo długiej chwili, stopa doktora Pellicera dotknęła podłoga.

– Jestem na dole! – zawołał, spoglądając w ciemność i przykładając dłonie do ust, aby posłużyć się nimi jak tubą.

– Niech się pan nie rusza, już schodzę! – nadeszła odpowiedź rozrzedzona przez echo.

Leżąc na pryczy w swojej celi, siostra Concepció próbowała wyrównać oddech i zapanować nad niepokojem, który jak stado myszy szarpał jej żołądek nadwerężony po porannym ataku wymiotów. Przeraziła się nie na żarty, ponieważ nigdy nie miała torsji tak obfitych ani tak silnych, że w końcu z ust wydobywała jej się wyłącznie zielonkawa ślina, która w przekonaniu dziewczynki musiała być złymi myślami. Teraz już się ściemniało i siostra Encarnació – uznała za konieczne zaznaczyć, że przysłała na polecenie matki przełożonej – zostawiła ją w końcu samą w celi, choć dopiero po tym, jak udało się jej wmusić w nią kubek mleka migdałowego. Pojedyncza świeca rozjaśniała białą nagość pomieszczenia: samotna skrzynia na bieliznę i odświętne habity, nocnik, na wypadek gdyby w nocy odczuwała jakieś potrzeby cielesne, wąskie łóżko bez podglówka z siennikiem wypchanym słomą, na którym właśnie leżała,

a powyżej łóżka zawieszony na ścianie krucyfiks. Nic więcej. Czasami siostra Concepció zabawiała się, obserwując Chrystusa na krzyżu, wyrzeźbionego w materiale przypominającym, ale tylko przypominającym, kość słoniową, i przypominał jej, taki malutki – zawsze musiała się spowiadać z myśli takich jak ta – lalkę, małego marynarza, którą bawiła się, kiedy była młodsza.

Czy myślała o myszach? Jednego dnia zobaczyła je w drewnutni, kiedy poszła po szczapy drewna do pieców kuchennych. Ponieważ była najmłodsza, zawsze to ją wysyłali do najcięższych prac. Nie przeszkadzało jej to, oczywiście, ale przykro było patrzeć, jak wszyscy się przyzwyczaili do tego, że dziewczynka – tak właśnie nazywała ją większość sióstr – wyręcza ich w najbardziej męczącej robocie. No cóż. Zatem w drewnutni zaskoczyła dwie myszy. Spłoszone jej obecnością uciekły w pośpiechu i schroniły się za stertą drewna przygotowanego na opał, gdzie musiały mieć gniazdo. Koty włóczące się po wirydarzu były zbyt leniwe, a mniszki zbyt dobrze je karmiły, zwłaszcza siostra Encarnació, która zawsze dawała im resztki z posiłków. W efekcie koty były tłuste, o połyskującym futrze, aż przyjemnie się na nie patrzyło (szczególnie jeden, prądkowany jak tygrys, niezmiernie się siostrze Concepció podobał i zawsze, gdy się na niego natknęła, głaskała go

przez chwilę), ale na myszy nawet nie chciało im się spojrzeć, więc gryzonie wiodły sobie w klasztorze szczęśliwy żywot.

Wydało się jej, że słyszy cichy szelest dobiegający od drzwi, i uniosła się na łóżku, żeby sprawdzić, co to było. Może myszy dostały się do środka? Oby Bóg miał ją w swojej opiece, myszy się bała tak bardzo, że gdyby jakaś dostała się do celi, nowicjuszka musiałaby wyjść z niej i prosić o pomoc jedną z sióstr. Na przykład siostrę Anunciació, którą roznosiła energia – dlatego też była tak szczupła – i która bez ustanku tłukła pająki i chrząszcze oraz ponieważ zrobiło się ciepło i przysła na nie pora, pluskwy gromadzące się w ogrodzie, a także koniki polne i modliszki, te dziwne stworzenia – ich wygląd budził sympatię, składały odnóża jakby do modlitwy, ale ktoś ją ostrzegł, że są niebezpieczne i nie można im ufać. Tak, gdyby w celi znalazły się myszy, poszłaby szukać siostry Anunciació, żeby się nimi zajęła i je zabiła, bo nie chciałyby ich mieć w pobliżu, kiedy śpi. Ale gdy wyteżyła jeszcze trochę wzrok, zobaczyła, że przy drzwiach nie rusza się żadna mysz, a jedynie drżący płomień świecy rzuca na podłogę odbłaski.

Pozwoliła głowie opaść ponownie na chudą poduszkę pryczy i zaczęła płakać. Słabiutko i cicho. Była przecież tylko przestraszona dziewczynką, której zdawało się, że widzi myszy w pokoju.

Jak miałyby skomponować muzykę do *Stabat Mater*? Jak mogło Jego Ekscelencji przyjść do głowy, by zlecić jej to niemożliwe do wykonania zadanie? I dlaczego matka przełożona była taka surowa i taka przygnębiona, a biskup Perugorria, Boże święty, budził w niej taki wstręt? No i proszę, kolejne myśli, z których będzie się musiała wypowiadać, myśli lepkie i nieprzystojne, zielone jak ślina jeszcze kilka godzin wcześniej zwisająca jej z ust. Ale jak ona miałyby się zmierzyć z czymś takim jak cała kompozycja muzyczna do *Stabat Mater*? Jej skromne reinterpretacje słynnych pieśni nie mogły się równać z wyzwaniem tej miary. Nie miała nawet pojęcia, od czego zacząć. Słabe jak ona sama, nachodziły ją od czasu do czasu niewyraźne wizje nowej aranżacji, przeczucia. Nie były one jeszcze nawet nutami ani choćby ideą kompozycji, lecz tylko czystym wyrażeniem wysokości albo odległości, które nowicjuszka pragnęła przenieść na pięciolinię, chociaż wciąż nie miała dość odwagi. Odrzucała je, ale natychmiast powracały, kapryśne, prosto do jej głowy. Potrzebowała długiego, niezmaconego niczym snu, aby uleczył ją z dreszczy, z bólu kości i żołądka, które zawładnęły jej ciałem. Nie mogła jednak zasnąć.

Mimowolnie pochyliła głowę nad księgą hymnów, przyniesioną na jej prośbę przez siostrę Encarnació razem z mlekiem migdałowym, i zaczęła czytać:

*Stabat Mater dolorosa
iuxta crucem lacrimosa
dum pendebat Filius
Cuius animam gementem
contristatam et dolentem
pertransivit gladius
O quam tristis et afflicta
fuit illa benedicta
Mater Unigeniti
Quae moerebat et dolebat
Pia Mater dum videbat
nati poenas incliti
Quis est homo qui non fleret
Matri Christi si videret
in tanto supplicio?
Quis non possit contristari
Matrem Christi contemplari
dolentum cum filio?*

Pieśń *Stabat Mater* była dziełem Jacopone da Todi. Napisał ją wierszem trocheicznym, a przez stulecia dziesiątki kompozytorów, w tym ci najwybitniejsi, tworzyło do niej muzykę. Zgodnie z książką znanych było przynajmniej pięćset wersji muzycznych *Stabat Mater*, przeznaczonych zarówno dla solistów, jak i dla chóru, a nawet dla chóru i solistów. Reinterpretacje, nic więcej – te słowa w niewielkim stopniu zmniejszyły brzemię,

które nałożył na nią biskup. Słuchała kiedyś z ogromną przyjemnością kilku z tych wersji: majestatycznej, skomponowanej przez Rossiniego, wersji Pergolesiego, która wywoływała dreszcze i i jeżyła włosy na skórze, oraz Dvořáka – niezwykle precyzyjnej. A jej własna? Jaka mogłaby być reinterpretacja *Stabat Mater* zaproponowana przez siostrę Concepció, pokorną sługę Pana naszego, jeszcze dziecko, ukochaną córkę matki, która troszczyła się przede wszystkim o jej edukację w radości z wiary?

Nie trzeba było szczególnej znajomości łaciny, aby zrozumieć, że pieśń mówi o przejmującym bólu Matki Bożej po śmierci jej Syna na krzyżu. Młodziutka mniszka zdawała sobie również sprawę, że ona sama nie mogła objąć ogromu tego bólu, ponieważ była nieledwie dzieckiem, a ponadto nigdy nie będzie matką. Próbowwała jednak, chociaż głowa mąciła jej się od nudności i sprzeciwiała znalezieniu obrazu odzwierciedlającego to, co mogłaby czuć matka, patrząc na syna złożonego w ofierze: na Jezusa z Nazaretu, Boga, który stał się człowiekiem i który doświadczył okrucieństwa, poniżenia i hańby od ludzi sobie współczesnych tylko po to, by uwolnić i oswobodzić z pierwotnego ciężaru ludzi z czasów przyszłych oraz dusze żywych i zmarłych wiernych.

To ów wysiłek wyobraźni wydobyl z jej pamięci męki świętej Eulalii, które wcześniej wywarły na niej tak

ogromne wrażenie i były prawdopodobnie przyczyną niedyspozycji żołądkowej. Widziała świętą Eulalię w białej, nakrochmalonej sukni, pasącą trzynaście gęsi, również białych. Ale nie brzydkich, smutnych i okrutnych jak trzynaście mąk, lecz trzynaście radosnych i ładnych gęsi jak trzynaście lat świętej Eulalii, która w jej wyobraźni przypominała pewną dziewczynkę biorącą razem z nią udział w lekcjach śpiewu i solfeżu sekcji dziecięcej stowarzyszenia Orfeó; dziewczynka ta nazywała się Emília i też była bardzo ładna. Co się z nią stało? Odkąd wstąpiła do klasztoru, dotkliwie brakowało jej towarzystwa przyjaciółki i czasem modliła się, by wojna nie zniszczyła domu ani życia Emílii, ani jej braci, ani jej rodziców. Teraz, kiedy czytała pieśń *Stabat Mater* i próbowała wyobrazić sobie porwaną na strzepy duszę Matki Bożej klęczącej pod krzyżem, przyszły jej na myśl imię, twarz i głos jej matki i znów zateęskniła za nią, i zapragnęła z całych sił, by znalazła się przy niej i zaopiekowała się nią teraz, kiedy nie czuła się dobrze, by się o nią zatroszczyła i przytuliła ją swoimi czasem silnymi, a czasem delikatnymi rękami, które zawsze pachniały jaśminem. Zaczęła odmawiać ojczenasz, prosząc, by nade wszystko nikt nie uczynił niczego złego rodzicom i by pewnego dnia cała trójka mogła znów znaleźć się w domu; ona pod ramię z ukochaną matką, z dala od klasztoru, z dala od celi, *Stabat Mater* i wierszy

Jacopone da Todi. Wtedy zdała sobie sprawę z tego, że znowu będzie musiała się wypowiadać i prosić o odpuszczenie grzechów z powodu przychodzących jej do głowy rzeczy tak sprzecznych z tym, czego Jego Ekscelencja i matka przełożona od niej oczekiwali, o ile obydwójce oczekiwali tego samego. A może niedorzeczne zadanie zlecone jej przez biskupa było próbą, którą musi przejść, by osiągnąć zbawienie duszy? Jeśli miała słuszność, to jaki błąd popełniła, że musi stawić czoła pracy tak dalece przekraczającej jej możliwości?

Ze wszystkich mąk, które dioklecjański wymiar sprawiedliwości zastosował wobec świętej Eulalii, prawdopodobnie największe wrażenie wywarło na siostrze Concepció okaleczenie piersi. Jej samej dopiero zaczynały rosnąć i to również budziło w niej niekończące się wątpliwości, bo z jednej strony się cieszyła, a z drugiej zawstydziała ją ta radość i sądziła, że popełnia grzech, kiedy czasami, zdjawszy habit przed pójściem spać, przez kilka sekund przygląda się swoim piersiom. Czyby wytrzymała, tak jak ją o to pytał Jego Ekscelencja, gdyby obcięli jej piersi i poddali próbie miłość do Boga i ufność w Nim pokładaną? Nie była tego wcale taka pewna, a to sprawiało, że czuła się podwójnie winna: z jednej strony dlatego, że skłamała Jego Ekscelencji, przytakując wyłącznie po to, żeby sprawić mu przyjemność, a z drugiej, ponieważ wszystkie te smutne

i pełne bólu opowieści, takie jak ta o świętej Eulalii albo ta przedstawiona w *Stabat Mater*, nie rozpały w jej sercu silnego postanowienia, by wpisać się w poczet męczenników, jeśli przyjdzie na to czas. Wywoływały w niej tylko płacz, którego nie umiała powstrzymać, i ból brzucha, którego nie można było uśmierzyć.

Po raz kolejny wydało się jej, że słyszy hałas pod drzwiami, podniosła więc znów głowę i przetarła oczy. Na próżno, płomień świecy zaczynał już słabnąć i roztaczał niepewne światło wystarczające zaledwie do rozjaśnienia nieco świecznika i jej samej – w odległości jednego kroku od pryczy wzrok nie mógł już niczego dostrzec w ciemnościach. Czuła też coraz intensywniejszy chłód, tak jak wtedy, gdy schodziła po stopniach piwniczki po masło albo kawałki słoniny przechowywane tam przez mniszki. Chłód, który narastał z każdym pokonanym stopniem, pewnego razu zmusił ją do ukrycia dłoni pod pachami, kiedy poczuła, że zaczynają się jej zmieniać w sople lodu. Jednak oprócz doznania chłodu nowicjuszka nie mogła się wyzbyć przeczucia, że wewnątrz celi, gdzieś blisko, może nawet zaraz obok niej, zakłócała jej spokój czyjaś niepożądana obecność, i nie była to obecność myszy, których się przed chwilą obawiała.

Nagle poczuła, że spomiędzy jej nóg wypływa ciecz ciepła i mazista jak złe myśli albo jak ślina wypluwana po

obfitych wymiotach. Przerażona pomacała miejsce ręką i poczuła wilgoć. Natychmiast przybliżyła dłoń do gasnącego świeatełka świecy, aby sprawdzić, czego dotknęła. Gęsty płyn, który brudził jej teraz opuszki palców, nie miał zielonawego koloru żółci, ale głęboką, ciemną barwę krwi. Ukłucia bólu w brzuchu stały się przez chwilę silniejsze, a nieprzyjemne i niespodziewane gorąco przebiegło jej plecy i piersi, aż w końcu dotarło do twarzy i poczuła, że się czerwieni.

Przycisnęła twarz do poduszki i zaczęła płakać jeszcze głośniejsze, owładnięta świeżo uwolnioną żalnością.

1 FAI – Iberyjska Federacja Anarchistyczna; w czasie hiszpańskiej wojny domowej organizacja ta aktywnie wspierała działania ruchu robotniczego, m.in. prowadząc walkę zbrojną (przyp. tłum.).

2 Presentació – tu: Zwiastowanie; Ascensió – Wniebowzięcie (przyp. tłum.).

3 Lluís Millet i Pagès (1867–1941), znany jako Mestre Millet (mistrz Millet), muzyk i jeden z założycieli towarzystwa chórowego Orfeó Català (1891), które od początku swojego istnienia stanowiło jedną z najważniejszych instytucji kulturotwórczych w Katalonii (przyp. tłum.).

4 Dip – demoniczny pies należący do katalońskiego folkloru. Był czarny, kulał na jedną łapę, żywił się krwią ludzką lub zwierzęcą; uważano go za wysłannika piekiel (przyp. tłum.).

5 Chodzi o Jakuba I Zdobywcę (1208–1276) – króla Aragonii i Barcelony, potem także Majorki i Walencji (przyp. red.).

II

Surge et ambula

Pisał:

Nie ma też wiele wspólnego z prawdą dziwaczne wyobrażenie, według którego światło słoneczne jest śmiertelne dla wampira. Jest to, oczywiście, wierzenie z rodzaju tych, które należy podtrzymywać, ponieważ pozwala mi swobodnie krążyć w pełnym świetle dnia, tak że nie wzbudzam podejrzeń nawet u niewielkiej grupy ludzi obdarzonej dobrodziejstwem wątpliwości co do mojego nieistnienia. Ale tak jak przekonanie odnoszące się do krzyży oraz pozostałych symboli chrześcijaństwa, również to jest nieuzasadnionym przesądem, pozbawionym jakiegokolwiek związku z rzeczywistością.

O ile mi wiadomo, źródłem tego błędu są dawne teksty chińskie. W pismach Chi-Wu-Lhi można przeczytać, że należy poczekać, aż ciało zmarłego zacznie się rozkładać, aby złożyć je do grobu. W ten sposób uniemożliwia się demonowi o imieniu Ch'ing Shih zamieszkanie w ciele i przejęcie *p'o*, jak Lhi nazywa duszę ludzką. Rozkład jest zatem środkiem zapobiegającym zakażeniu. Metoda ta, chociaż nedorzeczna i na dodatek prostacka, była w powszechnym użyciu przez wiele wieków w licznych krajach na różnych kontynentach.

W praktyce wystawiano zwłoki na działanie światła słonecznego, aby przyspieszyć proces rozkładu. Czasami

jednak zdarzało się, że szczątki ulegały mumifikacji i wówczas ciało spalano, co tak naprawdę należało zrobić już na samym początku. Niektórzy ze współczesnych autorów, na przykład Faivre, dodają, że powinno się zniszczyć w ogniu zarówno ciało, jak i trumnę, w tym samym momencie i tego samego dnia. Inni, tacy jak Willoughby-Meade, przestrzegają, że nie wolno pozwolić, aby kot znajdował się w tym samym pokoju co zmarły, ponieważ jeśli na niego wskoczy, może przesłać swoją tygrysią naturę do *p'o* znajdującej się w ciele i zamienić w ten sposób zmarłego w Hiperborejczyka. Wszystko to również dziecinada bez ładu i składu.

Niemniej stary Chi-Wu-Lhi miał rację, kiedy zaznaczał, że należy podjąć wszelkie starania, aby ani promień słońca, ani księżycyca nie padł bezpośrednio na zwłoki opętane przez Ch'ing-Shiha, ponieważ dzięki temu demon mógłby je ożywić i wlać w nie dość wigoru, aby trup mógł wstać z grobu. Z tego powodu pieczętowano trumny i podejmowano wszelkiego rodzaju środki ostrożności, aby nie pozwolić prześlizgnąć się do wewnątrz najmniejszemu promieniowi światła, czy to słońca, czy księżycyca. I powtarzam, dobrze robili, ponieważ postępowali dokładnie odwrotnie, niż głosi przesąd: nie dość że światło nie niszczy Hiperborejczyków, to jeszcze dodaje im siły, energii i pobudza apetyt. Dawne chińskie kroniki mówią również,

a ja jestem skłonny w to uwierzyć, że znano przypadki, kiedy jeden Hiperborejczyk wypijał krew dwóch tuzinów ludzi zaledwie jednego dnia.

Niektórzy z poetów zajmowali się w sposób niebezpośredni kwestią ekspozycji wampirów na światło słoneczne. Wśród nich największym upodobaniem darzyłem zawsze Williama Blake'a i jego wspaniały wiersz o kominiarczykach:

Kiedy matka umarła, jeszcze mej piosenki
„O-jej!” nie potrafiłem wyćwierkać. Do pracy
Ojciec sprzedał mnie. Byłem wtedy tak maleńki.
Teraz czarne kominy czyszczę i śpię w sadzy.

Jest taki mały Tomek, co pomocy wołał,
Gdy mu piękne ścinali włosy nożycami.
„Nie płacz, Tomku!” – powiadam. „Kiedy głowa goła,
Już nigdy czarna sadza twych włosów nie splami”.

Ucichł. I w nocy taki mu sen się wymarzył,
Jakiego nikt nie widział za ludzkiej pamięci:
Że wszyscy, ilu tylko było kominiarzy,
W ponurych trumnach czarnych leżeli zamknięci.

I przyszedł złoty Anioł z kluczem złotym w dłoni,
I otworzył je (takie było to widzenie),
I wszyscy wyszli z trumien – Anioł nie zabronił,
Lecz wszystkich na otwarte wypuścił przestrzenie,

By pluskali się w rzekach, by w słońcu się
grzeli...[6]

„By pluskali się w rzekach, by w słońcu się grzeli”. Doskonałe. Na koniec, zmuszony koniecznością skrywania prawdy, Blake dodaje ostatni czterowiersz z prostackim morałem o chęci wypełniania własnych obowiązków. Ale ten, kto chce, może łatwo zrozumieć historię biednego Tomka, który – tak jak pozostali jego towarzysze kominiarczyki – spał zamknięty w trumnie, dopóki nie przybył anioł i nie oswobodził wszystkich. Anioł, chyba nie trzeba tego mówić, jest potworem litującym się nad innymi potworami. Bóg zaś, gigantyczny potwór uformowany w zwojach wszechświata, obserwuje zadowolony te stworzenia, kiedy opuszczają trumny, by rozproszyć się pomiędzy ludźmi, i się uśmiecha.

Boży uśmiech w obliczu nieuchronności nadciągającego okrucieństwa jest olśniewający. Ten sam dziwny blask przenika ulice Barcelony, kiedy zachodzi słońce. Są tacy, którzy upierają się jeszcze, by mylić to lśnienie ze światłem nadziei i lgną do niego wyłącznie po to, by znaleźć w nim własną śmierć. Nigdy nie przestaje mnie zadziwiać podobieństwo między ludźmi i ćmami, które nie potrafią się oprzeć pokusie zbliżenia do światła, zafascynowane i zaślepione, nie zdając sobie sprawy z tego, że za jasnością czai się jaszczur, czekający tylko, by je pożreć. A ja działałam tak samo jak ten jaszczur: szukam okolicy obfitującej w ćmy i zamieniam się w to, czego nie zauważają albo udają, że nie zauważają, aż jest

już za późno.

Zamęt ułatwia przejście z życia do śmierci, to zaś czyni ze schronów przeciwlotniczych idealny teren łowiecki. Nie ma nic bardziej pobudzającego niż sytuacja, kiedy wyszedłszy na ulicę spragniony, słyszę nagle syreny alarmu przeszywające powietrze gwizdem, który niesie zapowiedź najgorszego. W takiej chwili, zmieszany z tłumem, ja również pędzę w kierunku najbliższego schronu, który na ulicy łatwo zidentyfikować za sprawą gromady ludzi wyklócających się o wejście. Przypominają oni przerażone szczury walczące o pierwszeństwo wejścia do gniazda.

Cała podziemna część tego miasta przesiąknięta jest strachem jego mieszkańców. Strach jest jak rdza, która przenika wszystko niczym słony smak morza, przywiera do kamienia płyt chodnikowych, do ścian budynków, do ludzkiej skóry, a wszystko, czego dotknie, zamienia w bezkształtną, jednorodną masę, kulę nasączoną jadem i staczającą się po zboczu w przepaść. Strach opróżnia oczodoły, wywleka języki z wnętrza ust, obiera szkielety z mięsa, a kości gotuje tak, że zostają czyste i błyszczące. Strach jest kwasem duszy i przeżera zarówno dziecięce sny, jak i pragnienia dorosłych.

– Wolałabym, żebyś go stąd zabrał, Manuel – powiedziała matka przełożona i spuściła oczy. Gest ten wykonywała zwykle w obecności brata, zwłaszcza kiedy

się kłócili. Odkąd byli dziećmi, zawsze dużo się kłócili, chociaż jej nie było wolno. Zniszczenia w organizmie dokonane przez polio sprawiły, że matka stała się nadopiekuńcza w stosunku do małego Manuela, o pięć lat młodszego od swojej siostry Isabel, jak ją ochrzczono, która stała się siostrą Micaelą od Najświętszego Sakramentu i przeoryszą kapucynek z Sarrià. Zawsze powtarzano jej, by nie denerwowała swojego braciszka, ponieważ jest chory, więc nie godzi się, żeby taka dobra dziewczynka, kochająca dzieciątko Jezus, wykorzystywała do własnych celów podobną sytuację – dzieciątko Jezus mogłoby się rozgniewać. Była więc posłuszna, a przynajmniej próbowała, tyle że jej braciszek miał diabła za skórą i zawsze coś wymyślał – uciekając się czy to do kłamstwa, czy do podstępu – żeby postawić ją wobec wszystkich w sytuacji co najmniej niejasnej. Na przykład okaleczał się jedynie po to, by móc obciążyć winą siostrę, która jednak przyjmowała połajanki i reprimendy bez protestu. Później zaś, owszem, kłóciła się z Manuelem, jak go nazywała matka, mimo że kłótnie prawie zawsze kończyły się dla niej nową karą. Wpadła w błędne koło, a Manuelet potrafił nim kręcić z bystrością niespotykaną u pięcio- czy sześciolatniego dziecka.

Teraz Manuel Escorza, najwyższy przełożony Służb Bezpieczeństwa FAI, siedział twarzą w twarz ze swoją siostrą, matką przełożoną, każde po jednej stronie

ciemnego i surowego stołu sali kapitulnej klasztoru w Sarrià. Z profilu sylwetka siedzącego Manuela Escorzy przypominała nieco byka z wielką głową, wypiętą pierśią i opuszczonym pyskiem. Wydał dźwięk, który przypominał szyderczy śmieszek pod nosem.

– Teraz chcesz, żebym go zabrał? – Złączył ręce i położył je na stole. – Myślałem, siostrzyczko, że goszczenie go to dla was wielki zaszczyt.

Matka przełożona na krótką chwilę podniosła wzrok.

– Wspólnota jest szczęśliwa, mogąc mieć go tutaj. Siostry uważają, ponieważ ja im to mówię, że to przywilej oraz znak nadziei. Ale to mnie zależy, żeby stąd odszedł. Proszę cię o to jako o przysługę, Manuel.

– Przysługę? – prychnął Manuel Escorza. – Nie za wiele tych przysług, siostrzyczko? Może ci się zdaje, że to niewielka przysługa ukrywać, chronić i karmić ciebie i cały ten oddział fanatyczek, którym komenderujesz za tymi murami? Co jeszcze chcesz, żebym zrobił?

– Nie prosiłam cię, żebyś nas ukrywał – odpowiedziała matka przełożona. – Zrobiłeś to, bo sam chciałeś. Albo dlatego, że ci odpowiadało, żebyś miał miejsce, w którym mógłbyś umieścić Jego Ekscelencję pod dobrą opieką i z dala od obcych spojrzeń. Ty nigdy nie zrobiłeś niczego bezinteresownie.

Manuel Escorza uderzył otwartą dłońią w stół z taką siłą, że jego kule, które stały oparte o krawędzie blatu,

zsunęły się i upadły na podłogę z suchym trzaskiem łamanej trzciny. Hałas odbił się echem w kapitularku i przestraszył matkę przełożoną, tak że zastygła, przyglądając się leżącym kulom, jakby to była para martwych ptaków.

– Jak możesz być taka niewdzięczna?! – krzyczał Manuel Escorza głosem tak wzburzonym, że wydawało się niemożliwe, żeby mógł wydobywać się z jego drobnego ciała. – Czy ty masz pojęcie, co się dzieje na zewnątrz – wskazał ręką drzwi – z takimi jak wy? Wiesz, co im robią?

– Wiem, Manuel, że nas zabijacie. Ty i wszyscy, którzy są tacy jak ty.

Spokój jego siostry nie złagodził tonu głosu Manuela Escorzy

– Wiesz, kim jestem, siostrzyczko? – grzmiał dalej.

– Lepiej niż ktokolwiek inny, Manuel.

Podniosła oczy i tym razem już ich nie spuściła.

– I mimo to – odpowiedział z ironią w głosie – przychodzisz do mnie i stawiasz mi warunki. Muszę przyznać, że trzeba mieć sporo odwagi, żeby zrobić coś takiego.

– To nie są żadne warunki – poprawiła go. – Już ci powiedziałam, że chodzi o przysługę. Przysługę, o którą cię proszę.

Minęła minuta nieprzyjemnej ciszy. Matka przełożona

przyglądała się portretowi założycielki zakonu, świętej Eduvigis Ponce de León, zawieszonemu na białej ścianie, na lewo od miejsca, gdzie siedział jej brat. Ten zaś pochylił się, by podnieść kule z podłogi, co zmusiło go do przyjęcia komicznej pozy, w której koturny jego butów sterczały prosto w górę. Według żywotów świętych, przypomniawszy sobie matka przełożona, świętą Eduvigis Ponce de León nawiedzał diabeł, lecz ona zawsze umiała oprzeć się jego pokusom. Podkreślano również, że niejednokrotnie, porwana mistycznym uniesieniem, potrafiła lewitować.

Przeżywając przekleństwa, Manuel Escorza w końcu się wyprostował. Oparł znów kule o blat stołu i zapytał:

– A z jakiego to powodu miałbym zabrać z sobą biskupa?

Matka przełożona potrzebowała kilku sekund, by otrząsnąć się z zamyślenia.

– Nie podoba mi się – powiedziała tylko.

– Nie podoba ci się.

– Właśnie tak.

Manuel Escorza westchnął głośno, co miało oznaczać zniecierpliwienie, ale usta wypełniły mu banieczki śliny.

– Mogłabyś sprecyzować, co masz na myśli? – zapytał, tym razem zaciekawiony.

Matka przełożona również westchnęła. Wiedziała, że nie pozostaje jej nic innego, jak się wytłumaczyć.

– Nie wiem, co ów człowiek przeżył w czasie, kiedy był zbiegiem – zaczęła mówić – ani co mu zrobiono, kiedy został zatrzymany...

Początek wyraźnie nie spodobał się Manuelowi Escorzy.

– Nie o to cię pytałem, siostrzyczko.

– Ale jego zachowanie nie jest normalne. W klasztorze znajduje się dziewczynka w wieku trzynastu lat. Musi się ukrywać, więc przyjęłyśmy ją do nowicjatu. Ma niezwykły talent muzyczny. Jego Ekscelencja biskup polecił jej skomponowanie muzyki do *Stabat Mater*.

– Czego?

– To rodzaj muzyki sakralnej – odpowiedziała matka przełożona. – Nieważne, chodzi o to, że dziewczynka nie jest do tego odpowiednio przygotowana. Ale oczywiście nie jestem osobą, która mogłaby się sprzeciwić życzeniu Jego Ekscelencji. Niemniej, niech Bóg mi to wybaczy, w zainteresowaniu Jego Ekscelencji tą nowicjuską jest coś, co wydaje mi się dziwne.

– Dziwne? – powtórzył wzburzony Manuel Escorza.

Zakonnica uczyniła znak krzyża na czole, aby odegnać złe myśli, a następnie na ustach, by oczyścić swoje słowa.

– W konsekwencji zmartwień, jakich przysporzyło jej to polecenie, dziewczynka rozchorowała się i musiała się usunąć do swojej celi. Kilka nocy temu usłyszałam kroki i wyjrzałam na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Zobaczyłam Jego Ekszelencję stojącego jakby na straży drzwi do jej celi. Niech Bóg mi wybaczy, ale sądzę, że wojna pomieszała temu człowiekowi zmysły i że może być niebezpieczny dla wspólnoty takiej jak nasza. – Przeżegnała się raz jeszcze i spojrzała bratu w oczy, cała spięta. – Z tego powodu proszę cię o tę jedną przysługę: żebyś go zabrał z klasztoru.

Manuel Escorza wybuchnął lepkiem rechotem.

– A to dobre! Jego Ekszelencja biskup Barcelony dał się zwieść urokowi sprytnej dziewczyneczki! Co o tym mówią twoje święte księgi, siostrzyczko?

Matka przełożona siedziała sztywno na krześle. Patrzyła na portret świętej Eduvigis Ponce de León, a w myślach prosiła, by fundatorka raczyła jej zesłać więcej siły woli. Zaczęła nalegać:

– Wiedziałam, że będziesz się śmiać, Manuel. Ale czy się zgodzisz na to, o co cię proszę? Jeszcze raz: bardzo cię proszę. – Przełknęła ślinę. – Błagam cię, jeśli o to ci chodzi.

Ale on już dusił się ze śmiechu, i nawet gdyby chciał odpowiedzieć, nie mógłby. Na przemian to kaszlał, to wybuchał wesołością, a śmiał się śmiechem, którego matka przełożona, Isabel Escorza, szczerze nienawidziła. Ten sam śmiech, bezduszny i raniący, Manuelet wypluwał z siebie za każdym razem, kiedy udało mu się sprawić, że jego siostra dostała w twarz, aż czerwieniały jej policzki

albo że za karę przez tydzień nie mogła wychodzić się bawić, ponieważ zrobiła krzywdę choremu braciszкови. A braciszek śmiał się obscenicznym śmiechem, chociaż jeszcze przed chwilą płakał, odgrywając komedię wyłącznie po to, żeby obwiniono jego głupią starszą siostrę. Ją zaś ten śmiech napawał odrazą, nienawidziła go do tego stopnia, że nachodziły ją myśli równie gorzkie i wściekłe jak śmiech brata, których później musiała żałować i prosić o wybaczenie Dzieciątko Jezus, Matkę Bożą i wszystkich świętych, ponieważ pomysły przychodzące jej wtedy do głowy były tak mroczne, że wymagały przebaczenia całego niebieskiego sądu w komplecie. I oto był tu, Manuelet we własnej osobie, powykręcany jak sam diabeł, i zwijał się ze śmiechu z twarzą całą w smarkach i ślinie, ciesząc się ze swojej przewagi w grze, w której byli przeciwnikami, a która od zawsze była grą na śmierć i życie.

Usłyszeli stukanie do drzwi sali kapitulnej.

– Czy mogę wejść, towarzyszu Escorza? – spytał męski głos z drugiej strony.

Kaleka przestał się śmiać i na powrót przyjął władcą postawę.

– Wejdźcie, Sirga – rozkazał.

Ciężkie drzwi z dębowego drzewa otwały się powoli i we framudze ukazała się postać Sirgi z rudą czupryną nakrytą czapką z nadrukowanym wzorem. Gdy dostrzegł

matkę przełożoną, zdjął czapkę.

– Towarzyszu Escorza. Matko przełożona – rzekł i powitał obydwójce ruchem głowy.

– Możesz nazywać ją Isabel, to jej imię. I włóż czapkę – burknął Manuel Escorza. – Skończyłeś już rozładunek?

– Tak, towarzyszu Escorza.

– Pamiętałeś o oliwie?

– Zostawiłem w spiżarni sześć dzbanów oliwy, towarzyszu Escorza.

– A konserwy?

– Beczka solonych śledzi i dwa tuziny wędzonych dorszy, towarzyszu Escorza.

– A mąkę?

– Jeden worek jęczmiennej i trzy pszennej, towarzyszu Escorza.

Manuel Escorza odwrócił się do siostry, która nie poruszyła się, czekając jeszcze na odpowiedź na swoją prośbę.

– Masz, co trzeba, siostrzyczko. Wszystko, czego możesz potrzebować do utrzymania ciebie i twoich fanatyczek. Na mój rozkaz Sirga zdobył to na czarnym rynku. A wiesz, co to znaczy, siostrzyczko? Wiesz?

Matka przełożona pokiwała przecząco głową.

– Nie, nie wiem, Manuel. Powiedz mi.

Wyciągnął ciało nad stołem, aż jego zdeformowana głowa znalazła się na wysokości twarzy mniszki.

– To znaczy, że jest to łup wojenny, siostrzyczko. Owoc grabieży i rabunku. Zginęli ludzie, abyście wy i biskup, pies na dziewczuszki, mogli sobie to wszystko wesoło schrupać. Oto rozmnożenie chleba i ryb, siostrzyczko. Jak ci się podoba? Twój mały braciszek też czyni cuda. Myślisz, że mogłabyś mi poświęcić rozdział w swoich świętych księgach?

Znów wybuchnął śmiechem, tym razem wyjątkowo ordynarnym, i chociaż matka przełożona przyrzekła sobie, że nie da mu satysfakcji oglądania siebie we łzach, nie potrafiła powstrzymać dwóch kropli, które – grube jak żyły na nadgarstku – spłynęły jej po policzkach. Manuel Escorza znów nagle przestał się śmiać, jakby poraził go prąd, i zwrócił się do Sirgi:

– Czyli skończyłeś już pracę?

– Skończyłem, towarzyszu Escorza – odpowiedział rudzielec, wciąż trzymając czapkę w ręce.

– Doskonale. Zatem idziemy stąd. – Rzucił okiem na zegarek kieszonkowy. – Musimy jeszcze zaglądnąć na spotkanie do Tostadero, a nie mamy za wiele czasu.

– Tak, towarzyszu Escorza.

Sirga podciągnął Manuela Escorzę, chwytając go pod pachami, aby pomóc mu zejść z krzesła i podeprzeć się na kulach. Wyprzedził go też, aby przytrzymać mu drzwi. Manuel Escorza opuścił kapitułarz przy akompaniamencie pisku wydawanego przez koturny butów ciągniętych po

podłozie i płaczu swojej starszej siostry.

– Au! – syknął doktor Pellicer.

– Proszę uważać na głowę, doktorze – powiedział sędzia Carbonissa. – Sufit jest bardzo niski.

– Dziękuję. Gdyby mi pan nie powiedział, nie wpadłbym na to – odpowiedział lekarz z ironią w głosie, pocierając sobie czaszkę lewą ręką.

Prawą zaś, w której trzymał zapaloną pochodnię, zacisnął mocniej. Starał się przyzwyczaić wzrok do drżącego, niepewnego światła. Pierwszy szedł sędzia, a doktor Pellicer podążał trzy kroki za nim z bólem i trudem. Na końcu drabiny znajdowało się coś w rodzaju krypty (z łukowatym sklepieniem, kamiennymi ścianami i podłogą częściowo pokrytą kamienną kostką), gdzie sędzia trzymał przygotowane pochodnie, które zapalił za pomocą zapalek i knota nasączonego benzyną. Następnie, nie tracąc ani chwili, pochyłili się, by ruszyć korytarzem wychodzącym z jednej z bocznych ścian krypty, gdzie po kilku krokach daleki już odgłos eksplozji ucichł zupełnie.

Korytarz był na tyle szeroki, że osoba o obfitych kształtach, taka jak na przykład doktor Pellicer, mogła się w nim poruszać bez problemów, niemniej sklepienie znajdowało się tak nisko, że w niektórych miejscach obydwaj mężczyźni musieli posuwać się na klęczkach. Dno tunelu zalegały drobne kamyki i suche zielsko, więc łatwo można było skrócić sobie nogę, jeśli się nie

wy tężyło wszystkich pięciu zmysłów. Chociaż droga nie trwała dłużej niż trzy minuty, doktorowi Pellicerowi wydawało się, że jej pokonanie zabrało dużo więcej czasu. Kiedy był już w takim stanie, że chciał się zniżyć do zapytania, czy daleko jeszcze, otuchy dodał mu głos sędziego Carbonissy:

– Dotarliśmy. Proszę, niech pan poczeka tu chwilę i przyjdzie, kiedy go zawołam.

Lekarz zrobił tak, jak mu powiedziano, i ujrzał, że sędzia Carbonissa znika za zakrętem. Czekał, oświetlany pochodnią, skurczony w dziwacznej pozycji. Po krótkiej chwili dostrzegł słabe światełko, które powoli rosło, zbliżając się zza zakrętu, aż niebawem przekształciło się w blask zalewający korytarz, tak jasny, że pochodnia stała się zbędna. Doktor Pellicer usłyszał głos sędziego Carbonissy, który wołał:

– Proszę iść za światłem, doktorze!

Znowu posłuchał. Pokonał zakręt i zobaczył, że kilka metrów dalej korytarz przechodzi w intensywnie oświetloną, naturalną galerię. Wszedł do niej i nagle zatrzymał się z otwartymi ustami, zaskoczony.

Widok był niezwykły. Krótka galeria prowadziła do groty dość dużych rozmiarów, na tyle dużych, by jej sklepienie gubiło się gdzieś w półmroku. Na poziomie ziemi zaś całe pomieszczenie – od galerii do końca groty – oświetlały lampki rozmieszczone w równej odległości,

nieprzekraczającej dwóch kroków. Ani jeden kąt nie pozostawał w cieniu.

W świetle lampek sędzia Carbonissa wydawał się jeszcze wyższy i chudszy niż zazwyczaj, jego cień, długi jak wycie wilka czarną nocą, padał na dno grotu. Wyprostowany i nieruchomy, z obojętną miną na suchej twarzy, stał obok wielkiego, zwalistego kształtu okrytego białymi prześcieradłami.

Lekarz rozejrzał się wokół i z przyjemnością zauważył, że miejsce jest swego rodzaju repliką kostnicy z Dzielnicy Gotyckiej połączoną z warsztatem jakiegoś niezwykłego rzemieślnika. Znajdowały się tam ustawione równo w jednej linii i oznaczone etykietami stoły, na których leżały porządnie rozłożone narzędzia chirurgiczne – nożyczki, piły, skalpele, igły, wiertła wszelkich możliwych rozmiarów i kształtów – gotowe do użycia. Niektóre ze stołów nakryto obrusami z czerwonego aksamitu. Sędzia wykorzystał również gładki kawałek ściany, by powiesić na nim trzy panele i na każdym z osobna umieścić odpowiednio narzędzia potrzebne do pracy stolarza, kowala i snycerza: duże młoty i mniejsze młotki, szczypce, oskardy, punktaki, dłuta zwykłe i wklęsłe, imadła, piły, dłuta łyżkowe... Ponadto znalazło się tam również miejsce na palenisko kuzienne, kowadło do modelowania metalu oraz zestaw szablonów z rysunkami części, które należało zbudować z różnych

rodzajów drewna: dębowego, jakarandowego, orzechowego oraz cedrowego i wiśniowego, złożonego w stopy w zagłębieniu służącym za drewnutnię. W tym wszystkim największe wrażenie na doktorze Pellicerze zrobiły dwie wielkie wanny pełne formaliny, nie wiadomo jakim sposobem przeniesione ze świata zewnętrznego do tych katakumb. Doktor odezwał się:

– Widzę teraz, że pan nie przesadzał, mówiąc, że nie pozwala sobie pan na improwizację.

Carbonissa lekko skinął głową i zapytał:

– Zaczynamy?

– Poproszę – odpowiedział lekarz, zacierając dłonie.

Sędzia pociągnął szybkim ruchem prześcieradła, które zsunęły się na ziemię, odsłaniając ogromnego czarnego konia. Był to wyjątkowy egzemplarz: o mocnej szyi i potężnym grzbiecie, doskonale ukształtowanym brzuchu i długich nogach, jakby wycyzelowanych dłutem mistrza sztuki rzeźbiarskiej. Grzywa i ogon były matowoczarne, w zachwycający sposób kontrastowały z połyskiem agatowej sierści pokrywającej ciało. Z jego sylwetki bił posągowy spokój, lecz oczy miał jakby szklane i odległe, jak u martwego konia. „Złe mięso” – pomyślał znów lekarz. Nie mógł jednak nie poddać się uczuciu, na które składała się duma, podziw i wdzięczność, wypełniające mu duszę i myśli.

– Szanowny panie doktorze, oto Hadaly – ogłosił

sędzia.

Doktor powoli obszedł wkoło piękne zwierzę, zatrzymując się często, by podziwiać ten czy inny szczegół (dokładność modelunku ud i nóg, precyzyjny rysunek ucha, fakturę włosa w ogonie, delikatną powierzchnię warg i nozdrzy), dając wyraz uznaniu dla doskonałości dzieła urywanymi, niezrozumiałymi dźwiękami.

– Może być? – zapytał zaciekawiony sędzia Carbonissa.

– Jest... – wyjąkał doktor Pellicer, nie odrywając oczu od konia. – Jest doskonalszy, niż mógłbym to sobie wymarzyć... Ja...

Sędzia chwycił lekarza pod ramię i pociągnął go delikatnie. Wziął skalpel z jednego ze stołów z narzędziami chirurgicznymi i umieścił go na wysokości końskiego grzbietu. Oczy zwierzęcia, przypominające bryłki lodu, wypełniała pustka.

– W naszym automacie, szanowny panie doktorze, można wyróżnić cztery części. Pierwsza znajduje się wewnątrz i ja nazywam ją układem witalnym. Układ ten jest odpowiedzialny za równowagę, zdolności ruchowe, głos, zginanie kończyn, rozmaite reakcje na podstawowe bodźce i tym podobne czynności. Jednym słowem, wszystko to, co moglibyśmy nazwać duszą, gdyby koń takową posiadał.

Doktor Pellicer przysłuchiwał się wyjaśnieniom

sędziego z najwyższą uwagą.

– Druga część – kontynuował Carbonissa – to plastyczny izolator, nałożony niczym zbroja, a równocześnie oddzielający ciało od skóry. Jest to struktura zaopatrzona w ruchome stawy, na których umocowano układ witalny.

– Czyli coś w rodzaju – wtrącił lekarz – rusztowania dla szkieletu.

– Tak jest – przytaknął sędzia Carbonissa. – Przejdźmy zatem do części trzeciej, którą stanowi ciało i wszystko, co się na nie składa: układ kostny, sieć naczyń krwionośnych, mięśnie, układ trawienny i płciowy i, w skrócie, wszystkie pozostałe narządy. Nad wyraz pomocne okazały się tu, doktorze, szczątki ludzkie, które pan w swojej uprzejmości zechciał mi dostarczyć, właściwie dobrane i poklasyfikowane. Połączyłem je z organami zwierzęcymi zebranymi w ubojni albo na wsi, chociaż odkąd zaczęła się wojna, o wiele łatwiej o szczątki ludzkie i tych jest dużo więcej. – Wzruszył ramionami w geście zniechęcenia. – Ciało zatem okrywa izolator i przylega do niego, odzwierciedlając rysunek modelowej sylwetki trzykrotnego mistrza biegów na hipodromie w Ascot...

– Perfekcyjny, cybernetyczny organizm – wyszeptał doktor Pellicer, kiwając z podziwem głową.

– W rzeczy samej. – Sędzia Carbonissa uśmiechnął się

i odkasznął. – Na koniec dochodzimy do czwartej i ostatniej części automatu, którą jest nic innego jak skóra, a właściwie cała warstwa zewnętrzna. Obejmuje ona sierść, układ stomatognatyczny, kształt oraz odwzorowanie ruchów pyska, a także wszystko, co wiąże się z oczami i wzrokiem...

– Właśnie – przerwał lekarz – jedynym brakiem, który znajduję w całej konstrukcji, jest to spojrzenie tak doszczętnie pozbawione żywotności, tak...

– Tak martwe może? – odpowiedział sędzia. – Oczywiście pańska uwaga jest całkowicie na miejscu, ale wynika stąd, że nie widział pan naszego stworzenia w ruchu.

– Czego też oczekuję z niecierpliwością.

– W tej chwili, panie doktorze. Wcześniej tylko chciałbym zwrócić pańską uwagę – przesunął skalpel o kilka centymetrów – na płuca Hadaly’ego, wykonane ze stopu złota i aluminium. Są to dwa fonografy nachylone do siebie pod kątem ostrym, tak że ich położenie zbiega się z samym środkiem klatki piersiowej zwierzęcia. Działają tak samo jak wały maszyny drukarskiej, które przenoszą z jednego na drugi bele papieru, tyle że w naszym przypadku przenoszona jest całość odgłosów charakterystycznych dla dorosłego konia, zarejestrowanych na cynowej folii: Hadaly rży, staje dęba i przeżuwa, a wszystko to w pełnej zgodności z ruchami

wykonywanymi w każdej z tych sytuacji. – Sędzia Carbonissa wspiął się na palce. – Proszę wybaczyć mi próżność, ale czuję się szczególnie dumny z tego mechanizmu.

– Jestem pod wielkim wrażeniem – oświadczył doktor Pellicer.

– Proszę, aby zechciał pan jeszcze chwilę poczekać. To, co pan zobaczy, stanie się niezapomnianym wrażeniem.

Przesuwał otwartą dłoń po końskim grzbiecie aż do miejsca, którego szukał. Uruchomił włącznik z nieznacznym kliknięciem, doktor jednak mógł je wyraźnie usłyszeć w ciszy zalegającej grotę. Zwierzę w tej samej chwili wyrwało się z odrętwienia i – jakby chciało się pobudzić do działania – poruszyło łbem i nogami z takim samym wdziękiem i elegancją, jak okaz najwyższej klasy. Następnie stanęło dęba i wydało krótkie rżenie; zabrzmiało ono niczym odgłos zniecierpliwienia. Doktora Humberta Pellicera, który starał się nie stracić najmniejszego szczegółu z widowiska, najbardziej zafascynowała nagła transformacja oczu: od lodowatej martwoty, jeszcze przed chwilą niepokojącej go tak głęboko, do niewątpliwej witalności. Przy tym... Lekarz ustawił się naprzeciw konia, ponieważ wydało mu się, że dostrzega w jego źrenicach jakiś błysk i chciał mu się przyjrzeć. Hadaly pochylił majestatyczny łeb

z łagodnością oswojonego zwierzęcia i skierował ku doktorowi spojrzenie, którego ten nie umiałby opisać słowami: było jakby nie do końca zwierzęce, ale też nie całkiem ludzkie. Nagle głowę rozświetliła mu myśl, słowo, którego mu brakowało, niewygodne słowo, wiszące w powietrzu, odkąd zaczął się przyglądać automatowi: monstrum.

– Hadaly! Pędź, Hadaly! – zawołał sędzia Carbonissa.

Jakby chodziło o najłagodniejsze i najlepiej ułożone ze stworzeń, Hadaly ruszył lekkim, pełnym wdzięku kłusem i okrążył grotę. Wielka pusta przestrzeń rozbrzmiewała echem podków uderzających o ziemię, a Hadaly trzymał szyję z wytwornością, która mogłaby nawet uchodzić za swego rodzaju zuchwałość. Blask lampek oświetlał drogę automatowi i zwielokrotniał jego cień na ziemi i ścianach groty. „Nikt w świecie – myślał doktor – nie zdołałby odróżnić Hadaly’ego od prawdziwego konia. Swoją drogą, co to jest prawdziwy koń? Dlaczego miałyby być prawdziwe tylko te formy i to środowisko, które człowiek znajduje już zaistniałe, a nie uznaje się za prawdziwe tych, które sam potrafiłby stworzyć? Czy nie jest może tak, że stworzenie to tylko pewien schemat, szkic, a zadaniem gatunku ludzkiego jest po prostu wygładzić i uzupełnić Boski projekt? «Bądźcie płodni i mnożcie się, abyście zaludnili ziemię»[7]”.

Hadaly zawrócił pod galerię wejściową, aby z tym

większą energią puścić się galopem w głąb groty, skąd wyłonił się, znów biegnąc kłusem, zuchwały i wyniosły.

Niewątpliwie znaleźliby się tacy, którzy chętnie nazwaliby Hadaly'ego monstrum. Wielu określiłoby również mianem potworów sędziego Carbonisę i samego doktora Pellicera, ponieważ posłużyli się ludzkimi szczątkami, aby stworzyć Hadaly'ego. Nie zrozumieliby, że w całym projekcie to właśnie było największym powodem do chwały, że sekret znajduje się w niczym innym jak w tym, aby posłużyć się niepotrzebnymi nikomu odpadkami, uchronić je od rozkładu i przekształcić w podstawową materię służącą do stworzenia nowego życia. Lekarz zapalił papierosa i jakby dym przy pierwszym zaciągnięciu wpadł mu do oczu, dwie łzy spłynęły mu nagle po czerwonych policzkach aż na brodę. Wytarł je jedwabną chusteczką, którą wyjął z kieszeni, i powiedział mocnym głosem:

– Oto wypełniliśmy powinność gatunku, szanowny panie sędzio. Czy nie o tym mówił Darwin? W czasach, kiedy wszyscy trwają przy śmierci, my opowiedzieliśmy się za życiem...

– I zmartwychwstaniem ciała – dodał sędzia z ironicznym uśmiechem.

– Ależ! – zawołał doktor Pellicer, wydychając strumień dymu ustami. – Znów to samo, szanowny panie sędzio?

– Oto mamy przed sobą żywą istotę stworzoną z martwych istot, doktorze. My sami podjęliśmy tę myśl i my ją zrealizowaliśmy. A pan jeszcze podaje w wątpliwość istnienie zjawisk, które toczą ze sobą bój na granicy między życiem a śmiercią?

– W żadnym razie. Po prostu uważam za słuszne uznanie innej granicy, tej, która oddziela naukę od myślenia magicznego. Hadaly jest owocem nauki, nie zaś obskurantyzmu w jakiegokolwiek postaci. Pan i ja to rozumiemy.

Automat zbliżył się do obydwu mężczyzn i zaczął wokół nich chodzić, jak jakieś przyjazne, domowe zwierzę.

– W zasadzie – odpowiedział sędzia Carbonissa, cały czas się uśmiechając – chciałem powiedzieć, że jestem przekonany, że sukcesu Hadaly’ego nie można wyjaśnić, wychodząc jedynie z założeń naukowych.

– Naprawdę? – spytał lekarz, który również uśmiechał się cierpliwie. – A jakie inne założenia można by tu przyjąć? Zaglądał pan w szklaną kulę? Kazał pan sobie czytać z ręki albo może rozkładać karty?

Sędzia wykonał ruch ręką, dając do zrozumienia, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Podeszedł do automatu, pogładził go ponownie po grzbiecie i znów dało się słyszeć kliknięcie, a ciało Hadaly’ego zastygło w jednej chwili. Świeży jeszcze obraz konia w pełnym ruchu

sprawiał, że sztywność jego członków oraz lodowaty wzrok pozbawiony jakichkolwiek emocji budził w doktorze Pellicerze jeszcze większy niepokój. To jednak nie przeszkodziło mu upierać się przy swoim zdaniu.

– Widzi pan? Ma przełącznik, którym go pan włącza i wyłącza. Przełącznik, nie zakłęcie ani rytualną formułę. – Mlasnął językiem o podniebienie. – Niezmiernie się pan stara, żeby mnie wykpić, doktorze. Nie mogę panu tego zabronić, ale nie mogę również zgodzić się z panem. – Skierował skalpel w stronę lekarza i dodał, nie robiąc przerwy: – Ograniczam się do przyjęcia zasady, że nie można z góry odrzucić żadnej ewentualności. Jak na przykład w przypadku tamtej zbrodni z pensjonatu Capell...

Lekarz otworzył szeroko oczy i podniósł brwi.

– Tak, wiem, co chce pan powiedzieć – przerwał mu. – Ale wie pan przecież, jakie mam zdanie na ten temat.

– W zasadzie nie jest to kwestia subiektywnych opinii, doktorze. Świadcstwa dotyczące istnienia wampirów od najdawniejszych czasów powtarzają się we wszystkich znanych nam kulturach.

– Niech już będzie – odparł niechętnie lekarz, kończąc papierosa. – Niemniej podtrzymuję opinię, że wampir, o którym pan mówi, ten, który zamordował chłopca i brata Gendrau i wypił ich krew, nie jest żadną istotą z tamtego

świata, lecz degeneratem z krwi i kości, z tej ziemi. Tak samo jak każdy inny przypadek wampiryzmu, o jakim moglibyśmy usłyszeć. Reszta to bajki do straszenia dzieci. Założy się pan, sędzio?

– Z panem, doktorze, nigdy bym się nie zakładał! – wykrzyknął sędzia i roześmiał się szczerze. – Zresztą tę kwestię muszą sami rozwiązać komisarz Muñoz i brat Darder, czy mam rację?

– Ma pan rację – przyznał żywo lekarz. – Poza tym – skierował spojrzenie w stronę automatu, z trudem pohamowując dreszcze – my mamy Hadaly’ego. Więc jesteśmy raczej zajęci.

– To prawdziwe nieszczęście – powiedział sędzia ciężkim tonem – że ta głupia wojna stanęła na drodze Hadaly’emu.

– I znów ma pan rację, sędzio. Myśli pan, że bombardowanie mogło się już skończyć?

– Towarzyszu! Powiedzcie kelnerowi, żeby przyszedł odebrać od nas zamówienie, bo o suchym pysku niczego dobrego nie zdziałamy.

Milicjant wciągnął nosem powietrze, wydał dźwięk podobny do chrapnięcia, podniósł się od stolika i wyszedł z prywatnej salki w poszukiwaniu kelnera.

– I niech się pospieszy, bo braciszekowie nie mają przecież całego dnia, żeby tu siedzieć! Zgadza się, panowie?

Mężczyzną wydającym rozkazy był Antoni Ordaz, szczęśliwy w roli przełożonego. Na spotkaniu w Tostadero to on wszystkimi dyrygował i aż promieniał satysfakcją. Ordazowi towarzyszyli milicjant, który chwilę wcześniej wstał (był to młody ochotnik z patroli milicji robotniczej, którego wszyscy nazywali Spalony, bo w dzieciństwie przewrócił się na żeleźniak i na połowie twarzy miał blizny po oparzeniach), i towarzysz Gil Portela z komitetu do spraw wydawania pozwoleń. Reprezentowali Aurelego Fernándeza, ten zaś przekazał dowodzenie Antoniowi Ordazowi.

– Cóż, tak naprawdę to się nam nie spieszy – ośmielił się odezwać brat Lacunza, starając się przy tym uśmiechać tak, by emanować serdecznością, co jednak nieszczególnie mu się udawało.

W salce znów zapadła cisza. Siedzieli po obydwu stronach prostokątnego stołu, wokół którego rozstawiono krzesła, i zdawało się, że nikt nie ma pojęcia, co powiedzieć.

– Myślałem, że miało ich być tylko trzech – burknął niespodziewanie Gil Portela, nie zwracając się do żadnej konkretnej osoby.

Niemniej było oczywiste, że odnosił się do obecności brata Dardera, który zdecydował się przyjść razem z braćmi Planą i Lacunzą oraz z doradcą Émilem Aragou na spotkanie z przedstawicielami FAI. W rzeczywistości

brat Plana już dzień wcześniej poinformował anarchistów o włączeniu do grupy brata Dardera, nie przepuścił również okazji, by powiadomić ich o pokrewieństwie łączącym zakonnika z republikańskim burmistrzem Palmy. Gil Portela był zatem na bieżąco ze wszystkimi nowinami i próbował jedynie wywrzeć większą presję na swoich rozmówców, co też osiągnął.

– Jeśli moja obecność jest tutaj niepożądana, wystarczy... – zaczął chrapliwym głosem brat Darder.

– Proszę brata... – przerwał mu pospieszenie brat Lacunza.

Antoni Ordaz gestem ręki nakazał milczenie obu zakonnikom, żeby pokazać, że sprawa ta nie ma najmniejszego znaczenia. Brat Plana siedział skurczony jak zawsze, z pustym, nieobecny spojrzeniem. Doradca Aragou, z niechęcią malującą się na bladej twarzy, przyjął posagową pozę po swojej stronie stołu.

Wrócił Spalony w towarzystwie kelnera i wszyscy zamówili napoje i kawę. Kiedy chłopak wyszedł, Ordaz z kamiennym wyrazem twarzy podjął przerwana rozmowę.

– Panowie – odezwał się podniosłym tonem – zakładam, że osoby tu zebrane są tymi, za które się podają, że nie jesteśmy obserwowani i nie ma wśród nas szpiegów.

Zanim jeszcze Antoni Ordaz zdążył zakończyć swoją przemowę, Gil Portela sięgnął ręką do wewnętrznej

kieszeni marynarki, wyjął pistolet i położył go na blacie. Stojący obok niego Spalony również odpiął broń, którą nosił zawieszoną przy pasie, i umieścił ją obok. Pistolety były jednakowe, obydwaj marki Astra 400 kalibru 9 milimetrów, a ich pojawienie się na stole skupiło uwagę wszystkich. Brat Darder skierował alarmujące spojrzenie w stronę brata Plany, lecz ten szybko odwrócił oczy w inną stronę. Doradca odchrząknął, brat Lacunza zaś, wskazując podbródkiem na broń, powiedział:

– Wydaje mi się, że to nie jest konieczne.

Antoni Ordaz zeszywniał na krześle.

– Nie chodzi o to, co się wam wydaje, braciszku. Chcę, żebyście mieli świadomość, że nie przyszliśmy tu na pogaduszki. Wielu z naszych towarzyszy płaci więzieniem i torturami za niesprawiedliwość faszystów, którym błogosławi wasz Kościół. Wielu innych zapłaciło już własnym życiem. A nasze pragnienie zemsty na potężnym wrogu jest wielkie. I słuszne.

W salce ponownie zapadła cisza, lecz tym razem gęstą niczym smoła. Wszedł kelner z zamówieniami i ujrawszy pistolety leżące na stole, zastygł jak sparaliżowany.

– Ty – warknął na niego Gil Portela. – Podaj zamówienia i spieprzaj stąd.

Z czołem i baczkami zwilżonymi potem chłopak postawił każdą szklankę i każdą filiżankę dokładnie przed tą osobą, której się należała, nie myląc się ani razu,

a następnie odwrócił się i wyszedł. Stół zastawiony napojami, z dwoma pistoletami na środku, wyglądał niczym złowroga martwa natura. Cisza wciąż trwała, jakby każdego z uczestników spotkania zamknięto pod szklanym kloszem.

– Zatem doskonale! – zawołał niespodziewanie Antoni Ordaz, uderzając w blat dłonią z taką siłą, że zadzwoniły wszystkie naczynia. – Skoro się już przedstawiliśmy, to co macie nam do powiedzenia, panowie?

Brat Lacunza wypuścił nosem powietrze i zaczął rozkładać przygotowany wcześniej papier. Następnie z wielką ostrożnością odczytał komunikat kongregacji marystów barcelońskich, spisany poprzedniego popołudnia:

Przybywamy na spotkanie zorganizowane przez FAI z pragnieniem osiągnięcia porozumienia. W ciągu kilku ostatnich dni otrzymaliśmy informacje o trzydziestu sześciu marystach przetrzymywanych w charakterze więźniów w różnych miejscach. Nasza społeczność obawia się i modli o ich los. Przed rozpoczęciem negocjacji domagamy się, i jest to warunek wstępny, aby patrole milicji robotniczej wstrzymały aresztowania i uwolniły więźniów, którzy w tym momencie mogą się znajdować w miejscach odosobnienia, podlegających Generalitat. Jednocześnie chcemy, aby zapewniono bezpieczeństwo tym, którzy przebywają zakwaterowani

w pensjonatach lub domach prywatnych, ponieważ podejrzewamy, że Wydział Bezpieczeństwa posiada ich kompletną listę i że prędzej czy później wszystkich spotka ten sam los. Jeśli te warunki zostaną przyjęte, jesteśmy gotowi zawrzeć porozumienie ekonomiczne, umożliwiające wyjazd za granicę zarówno braciom marynistom, jak i tym seminarzystom oraz uczniom, którzy tego zechcą.

Odczytał tekst szybko, jednym tchem, jak dziecko recytujące wiersz, ale pewnym głosem. Antoni Ordaz skrzyżował kciuki obydwu dłoni i przetrwał z zadowoleniem właśnie usłyszane słowa. Jako że nikt nie odpowiedział, brat Lacunza uznał za konieczne przywołać swój najsilniejszy argument.

– Pragnę zapewnić raz jeszcze o lojalności naszej kongregacji wobec instytucji rządu katalońskiego. Doradca zgromadzenia Émile Aragou i ja sam, w imieniu naszego generalnego prowincjała, gwarantujemy wypłatę gotówką kwoty, która zostanie ustalona przy tym stole, nie wyższej jednak niż dwieście tysięcy franków francuskich – oświadczył.

Spalony gwizdnął przez zęby, a Gil Portela nie potrafił zamaskować uśmiechu. Antoni Ordaz wziął głęboki oddech i zmrużył oczy, jakby patrzył prosto w słońce. Przez chwilę chciał się napawać sukcesem.

– Doskonale, braciszku. Sprzedają skórę, ale nikt

nie może powiedzieć, że nie sprzedają jej za dobrą cenę.

Żaden z marystów nie zareagował, świadomy, że nie mogą pozwolić sobie na luksus odpowiadania na prowokacje. Gil Portela wyciągnął nie wiadomo skąd cygaro i zapalił je ostentacyjnie. W jednej chwili cała sala wypełniła się dymem. Brat Lacunza wbił łokcie w stół i rzekł:

– To wszystko, co możemy panom zaoferować.

Na wpół zatopiony w dymie cygara Gila Porteli Ordaz zawyrokował:

– Wystarczy.

Bracia Lacunza i Darder spojrzeli na siebie z ulgą. Brat Plana uniósł oczy ku sufitowi, jakby chciał podziękować niebu, odsłaniając przy tym krótką, chudą szyję podobną do szyi fretki albo żenety. Émile Aragou, jakby usłyszał wyczekiwane od dawna hasło, przerwał milczenie i zwrócił się do anarchistów:

– Trzeba, żeby FAI albo bezpośrednio Generalitat zajęły się rozwiązaniem trudności wynikających z kontroli bankowej.

– Nie będzie to żaden problem – odpowiedział głosem pełnym pogardy Gil Portela. – W odpowiednim momencie będziemy mogli otworzyć im przejście w Jonquerze. Pod ścisłym nadzorem, rzecz jasna.

– Chwila, nie spiesz się tak – warknął Antoni Ordaz, niezadowolony, że Gil Portela przejął inicjatywę. –

Zakładam, że zastanawialiście się, braciszku, nad przeprowadzeniem ewakuacji.

Brat Lacunza przytaknął skinieniem głowy i powiedział:

– Pomoc należy się przede wszystkim uczniom i seminarzystom. Ci z Casa de les Avellanes w Balaguerze powinni wyjechać pierwsi z uwagi na trudności, z jakimi muszą się borykać. Następnie, w drugiej turze, powinni opuścić kraj ci zakonnicy, których udałoby się nam zlokalizować i którzy chcieliby się przyłączyć.

– O ilu osobach mówimy? – zapytał Gil Portela z pewnością siebie.

– Przed rozpoczęciem wojny wspólnota zakonna w naszej prowincji liczyła siedemset siedemnaście osób. Teraz nie mamy pewności.

– Do kurwy nędzy, pojebało! – zawołał z wściekłością Spalony. – Mamy wywieźć z Hiszpanii te wszystkie wrony? I co jeszcze?! Bierzmy forsę i niech się walą!

Brata Lacunzę wyraźnie zdenerwował ten wybuch głupoty.

– My nie mamy ze sobą pieniędzy – powiedział. – Dopiero jeśli dojdziemy do porozumienia, nasz doradca, Émile Aragou, pojedzie po nie do Lyonu, do głównej siedziby marystów, i wróci, by dokonać płatności. Poza tym jeśli nie żądam zbyt wiele – dodał szybko

i przyciszonym głosem, jakby odmawiał różaniec – byłbym wdzięczny, gdybyście panowie zechcieli nie posługiwać się tak obelżywym językiem.

Nagle, jakby wszystko działo się we śnie, Spalony wyłonił się spomiędzy pasm dymu, chwycił jeden z dwóch leżących na stole pistoletów, doskoczył do brata Lacunzy, wycelował w jego głowę i wyszeptał:

– Możesz powtórzyć, co powiedziałeś, skurwysynie? Nie jestem pewien, czy cię dobrze zrozumiałem i zastanawiam się, czy jesteś wart choć tyle, co ta kula, która zaraz rozwali ci łeb.

– Dość, towarzyszu – rozkazał Antoni Ordaz. – Opuśćcie broń i w tej chwili wróćcie na miejsce.

Ale zamiast tego Gil Portela również chwycił swój pistolet i wymierzył między oczy brata Plany, który wybełkotał:

– Portela, co robisz... Mnie, mnie nie...

Razem z kłębam dymu Gil Portela wyrzucił z siebie złośliwy rechot. Nagle wydało mu się, że zabicie tych dwóch pajaców i wypuszczenie pozostałych dwóch, żeby przekazali prowincjałowi generalnemu warunki, które ustalili, będzie najlepszym zakończeniem tego żalosego spotkania. Gil Portela nie wiedział jednak, że brat Plana jest informatorem FAI, dlatego było mu wszystko jedno, czy strzeli do niego czy do innego marysty. Ordaz widział, że coraz bardziej traci kontrolę nad sytuacją, więc

zawołał:

– Do kurwy nędzy, co was na świat wydała! Nie słyszeliście, co mówię, chuje? Broń na stół i wszyscy na swoje miejsca!

– Róbcie, co się wam każe, i opuście broń, towarzysze.

Nikt nie zauważył nadejścia Manuela Escorzy, który stał w wejściu do salki wsparty na kulach, ani też obecności Sirgi, eskortującego go niczym wierny pies. Spalony schował posłusznie pistolet, a Gil Portela odłożył swój z powrotem na stół. W tym czasie Antoni Ordaz przeklinał w myślach ten szczególny rodzaj daru wszechobecności, z jakim obnosił się kaleki Escorza, opierając się jeszcze przed uznaniem oczywistości – kierunku, w którym chwilę wcześniej zmierzała cała sytuacja.

– Towarzyszu Escorza! Czemu zawdzięczamy tę nieoczekiwaną przyjemność? – spytał z ironią wyraźnie niepasującą do okoliczności.

– Nie zaoferujesz mi krzesła, Ordaz? – powiedział niewzruszony Escorza.

Antoni Ordaz musiał odstąpić swoje krzesło i przykleić się do ściany, żeby ułatwić mu przejście, by mógł usiąść, co też uczynił, choć z wielkim trudem. Stał teraz, tak samo jak Sirga i Spalony, i zrozumiał, że domaganie się od Gila Porteli – który nawet zgasił cygaro,

na wszelki wypadek, gdyby przeszkadzało Escorzy – żeby odstąpił mu swoje siedzenie, nie miało żadnego sensu. Został pozbawiony dowództwa, a stało się to w sposób tak naturalny i nieodwołalny, że dopiero po paru sekundach pojął, co się wydarzyło. Mimo to miał w sobie jeszcze na tyle odwagi, żeby zaryzykować pytanie:

– Zakładam, że towarzysz Fernández wie o waszej obecności w tym miejscu?

Mina, która pojawiła się na zdeformowanej twarzy Manuela Escorzy, mogłaby oznaczać sardoniczny uśmiech na obliczu jakiegokolwiek zdrowej osoby, ale w jego przypadku przypominała grymas bólu, przez co budziła jeszcze większy przestрах Antonia Ordaza. Brat Darder z fascynacją obserwował brzydotę tego człowieka wykpionego przez naturę, bracia Plana i Lacunza woleli zaś odwrócić wzrok od jego fizjonomii. Doradca zamilkł. Manuel Escorza uznał, że nie ma potrzeby odpowiadać na niestosowne pytanie Antoniego Ordaza, informując tym samym, co myśli na temat Aurelego Fernández i zasad, którymi się kierował, prowadząc Wydział Bezpieczeństwa. Ograniczył się więc do długiego i głośnego beknięcia.

– Obecni tu panowie to zapewne ci maryści, z którymi rozpoczęliśmy negocjacje, czy tak? – spytał następnie.

– W rzeczy samej, towarzyszu – potwierdził Antoni Ordaz tonem ucznia skarconego przez profesora.

Brat Lacunza domyślił się, że przebywa w obecności któregoś ze zwierzchników, i natychmiast postanowił nawiązać z nim bezpośredni kontakt.

– Szanowny panie, nazywam się Trifón Lacunza – powiedział zmieszany. – Jestem tutaj w charakterze rzecznika kongregacji maryistów z Barcelony. Chcielibyśmy...

– Nie interesuje mnie ani trochę, kim jesteś ani co robisz, nie mam też najmniejszej ochoty wiedzieć, czego chcecie ty i twoi ludzie – wypluł z siebie Manuel Escorza. – Ty – powiedział, wskazując na Gila Portelę i ignorując całkowicie Antoniego Ordaza. – Jakie są warunki?

– Ewakuacja w dwóch turach, najpierw dzieciaki z Balagueru, a potem sukienkowi – streścił zapytany. – Płacą dwieście tysięcy franków, ale ten z gębą jak dupa – wskazał palcem doradcę – musi pojechać do Lyonu po pieniądze.

Manuel Escorza wykonał lekki ruch swoją wielką głową, dając do zrozumienia, że się tym zajmie. Niespodziewanie zwrócił się do Spalonego:

– Problemy? – Spojrzał na broń, którą milicjant nosił przywieszoną do pasa.

– Nic ważnego – odpowiedział, napinając twarz poznaczoną bliznami. – Braciszkanie chcieli poudawać spryciarzy – trzepnął brata Planę ręką w kark, aż ten zwinął się jak gąsienica – i trzeba im było przypomnieć,

jak się sprawy mają.

Escorza pokiwał znów głową, wydając przy tym nieprzyjemny odgłos ustami, jakby siorbał ślinę. Przyjrzał się uważnie czterem zakonnikom siedzącym naprzeciw niego po drugiej stronie stołu.

– Ty – wymamrotał znowu.

– Mówi pan do mnie? – zapytał niepewnie brat Darder.

Escorza przeszedł do sedna.

– Przypuszczam, że to ty jesteś bratankiem burmistrza Palma de Mallorca, tego z Republikańskiej Lewicy. Zgadza się?

Brat Darder zrozumiał, że to wiek go zdradził.

– Zgadza – przytaknął.

– Wczoraj, kiedy mi o tobie powiedziano – zagulgotał Escorza – postanowiłem wetknąć nos w tę sprawę i zajrzeć na wasze spotkanie. Muszę przyznać, że mnie zaciekawileś. Powiedz, jak z takim opiekunem w rodzinie można zostać zakonnikiem?

Wszystkie oczy skupiły się na bracie Darderze, pełne wyczekiwania. Zakonnik poruszył się na krześle, jakby każde spojrzenie było ukłuciem igły, i w końcu się odezwał:

– Nie widzę, szczerze mówiąc, żadnej sprzeczności między tymi dwiema sprawami.

– Nie? Czyżby? – powiedział niezadowolony Escorza.

– A co na to twój stryjek?

– To właśnie on opłacił moje studia w seminarium, proszę pana. Mój ojciec zmarł, a jego brat, który jest moim opiekunem, zajął się moją edukacją.

– Jak się nazywasz?

– Pau Darder.

– Pau Darder i co dalej?

– Pau Darder i Serra d’Orfila, proszę pana.

– Pau Darder i Serra d’Orfila, przynosisz wstyd swojej rodzinie.

Bratu Darderowi wydało się czystą ironią, że skierowano do niego właśnie te, a nie inne słowa, i nie mógł powstrzymać kpiącego uśmiešku, który pojawił mu się na twarzy.

– Przynosisz wstyd swojej rodzinie i jesteś zakałą tej ziemi – dokończył Manuel Escorza. – Bawi cię to? Nie powinieneś się śmiać, Pau Darder i Serra d’Orfila. Nasza rewolucja zdepcze wasz przegniły Kościół i niebawem nasi bracia, proletariusze tego kraju, będą się zabawiać, plując na wasze groby. Będziesz szczać krwią, Pau Darder i Serra d’Orfila. Co, już ci nie do śmiechu?

Brat Darder zamilkł, podobnie jak reszta mężczyzn w sali, zarówno z jednego, jak i z drugiego obozu. Nawet Gil Portela czuł się przerażony. Manuel Escorza pozwolił, by kilka sekund minęło w ciszy, aby dodać w ten sposób siły swoim słowom, a następnie powiedział:

– Przyjmujemy warunki, ale zostawimy sobie brataneczka pana burmistrza jako zakładnika. Oddamy wam go całego i żywego, kiedy zapłacicie nam dwieście tysięcy franków. A jeśli z jakiegoś powodu pieniądze nie dotrą, zabijemy go. Ty i ty – zwrócił się do Spalonego i Sirgi – zabierzcie go w bezpieczne miejsce i ustalcie kolejność straży.

Brat Darder otworzył usta, ale nie potrafił wymówić choćby jednego słowa. Brat Lacunza zaczął protestować, ale Spalony uciszył go uderzeniem w twarz. Doradca nie mówił nic, brata Planę zaś oblał zimny pot.

– Ty – Manuel Escorza odezwał się do Gila Porteli – zajmiesz się zorganizowaniem wszystkiego tak, żeby Francuzik dostał się do Lyonu i wrócił stamtąd z pieniędzmi. Załatw to z nim – wskazał Antoniego Ordaza, zapomnianego gdzieś w kącie – i z Aurelim Fernándezem. Ale od teraz chcę znać wszystkie szczegóły operacji.

Manuel Escorza nie skończył jeszcze wydawać rozkazów, kiedy jego głos zagłuszyło dobiegające z ulicy wycie alarmu przeciwlotniczego. Spotkanie się skończyło, zaczęło się bombardowanie.

Pisał:

Usłyszałem go, jak zbliża się z daleka.

Wyszedłem ze swojej kryjówki przymuszony przez pragnienie. Musiałem je ugasić i ta pilna potrzeba

wypchnęła mnie na ulice miasta.

Samoloty przecinały lotem koszącym centrum Barcelony, zrzucając bomby podobne do wielkich martwych zwierząt na Passeig de Gràcia i aleję Gran Via, na plac Catalunya i plac Urquinaona, na Ramblę i na ulice Pelai i Bergara, Bonsuccés i Tallers. Tłumy ludzi pędziły we wszystkich kierunkach w pełnym furii i bezsensownym popłochu. Z fasad zniszczonych budynków spadały cegły i kamienie, odłamki gruzu, całe balkony; potłuczone kawałki szyb szarpały i cięły na kawałki nieszczęśników, którzy znaleźli się na drodze ich lotu. Ci, którym najbardziej dopisało szczęście, wychodzili ze spotkania poranieni, inni skręcali się na ziemi, jęcząc i nadaremnie próbując zahamować krwotok. Potem połykała ich chmura pyłu wyrzucana w powietrze przez kolejny wybuch, a wkoło, przy akompaniamencie ognia moździerzy i karabinów maszynowych, latały śmiertelnie groźne odłamki płyt chodnikowych, całe dziesiątki. Smród palonego ciała mieszał się z fetorem brudnej wody i fekaliów, które wylewały się z rozerwanych kanałów ściekowych, tworząc odór nie do wytrzymania.

Stałem ukryty w portalu kościoła Betlejem, na rogu ulicy Carme, nie tyle żeby chronić się przed kulami, ile by dyskretnie obserwować scenę.

Wtedy usłyszałem, jak się zbliża.

Z każdą chwilą słyszałem go coraz wyraźniej pomimo

gwizdu spadających bomb.

Pomimo trzasku buchających płomieni.

Pomimo krzyku umierających.

Odgłos pędzącego galopem konia.

(Nie mogłem w to uwierzyć, dopóki nie zobaczyłem go na własne oczy. Tak, to rzeczywiście był galopujący koń).

Koń bez jeźdźca, który przemierzał w pędzie zrujnowane ulice, omijając rozrzucone wszędzie trupy oraz ich oderwane członki i przeskakując nad jeszcze dymiącymi kraterami, otwartymi przez niedawne eksplozje.

Silne i lotne zwierzę poruszało się, jakby bombardowanie i całkowity rozpad miasta zupełnie go nie dotyczyły.

Było to stworzenie niezwykle. Ogromne, czarne, o mocnej szyi i potężnym grzbiecie, z doskonale ukształtowanym brzuchem, długimi nogami, jakby wyczelowanymi dłutem mistrza sztuki rzeźbiarskiej, z matowoczną grzywą i ogonem, które w zachwycający sposób kontrastowały z agatową czernią sierści pokrywającej jego ciało.

Gdy tak biegł, zdawało się, że z każdym jego ruchem wszystko zamiera na ułamek sekundy, jakby nawet nawałnica ataku lotniczego wstrzymywała się na chwilę, by otworzyć przejście koniowi nieprawdopodobnej urody,

którego cudowny widok był jak ofiara dla umierających na ulicy ludzi, zanim wydobyli z siebie ostatnie tchnienie.

A potem podbiegł do mnie.

Zwolnił rytm, przeszedł z galopu do kłusa i zaczął zataczać koła, jakby czegoś szukał.

Nagle spojrział prosto na mnie, prychnął i ruszył w moją stronę.

Uroczyście wszedł po schodach kościoła i pochylił nieco majestatyczny łeb, zatrzymując się przede mną.

I popatrzył mi w oczy.

Spoglądał uważnie przez dłuższą chwilę.

Wzrokiem, który nie był do końca zwierzęcy.

Wytrzymałem to spojrzenie i obserwowaliśmy się nawzajem, patrząc sobie prosto w oczy.

Odgłosy wojny docierały teraz do nas przytłumione, dalekie, jakby buczenie silników bombowców i lamentsy ich ofiar pochodziły z innego świata.

W rzeczywistości tak właśnie było.

My, bestie, nie mamy swojego miejsca na tym świecie, ponieważ nie ma nas nigdzie i nigdy.

Niemniej byliśmy tam, w portalu kościoła Betlejem, na rogu ulicy Carme, widoczni dla każdego, kto tylko chciałby nas zobaczyć.

Nikt jednak nie chciał.

My, bestie, nie mamy swojego miejsca na tym świecie, ale istniejemy, bierzemy udział w jego

wydarzeniach, poruszamy się wśród ludzi, stajemy się poprzez nich.

W nich samych.

O wszystkim tym mówiło miękkie spojrzenie czarnego konia.

Rozpoznał mnie w taki sam sposób, w jaki ja rozpoznałem jego.

Biedne zwierzę w rękach wesołkowatego anioła, biedna, smutna i zagubiona dusza.

Jego sztuczne ciało było tak imponujące, jak wielka była tragedia, którą skrywało.

Jakiegoż to rodzaju umysł uznał za konieczne tchnąć życie w bestię?

Jakież nieszczęsny los, niewysłowiony smutek i niewyobrażalna tęsknota.

W końcu zwierzę odwróciło wzrok, ruszyło jeszcze kilka kroków do przodu i zaczęło popychać łbem drzwi prowadzące do kościoła.

Na ulicy ludzie umierali jakby na innej planecie.

Ruszyłem za koniem do wnętrza świątyni, przesyconego chłodem i wilgocią.

Królujące tam ciemności przecinało światło rozszczerzone na drobne wiązki, sączące się do nawy przez witraże.

Dostrzegłem kaplicę z otwartą kratą, ogromny świecznik bez jednej świecy i rodzaj puszki z żelaza, do

której pobożni ludzie mogą wrzucać swoje obole.

Przed wojną palono tu świece za dusze zmarłych wiernych.

Małeńki drżący płomyczek.

Potem odkryłem trzech mężczyzn i dwie kobiety.

Weszli do kościoła, uciekając przed bombardowaniem, i teraz skupili się przy ołtarzu, przestraszeni pojawieniem się moim i zwierzęcia.

Pojawieniem się bestii.

Czarny koń sunął powoli wzdłuż głównej nawy kościoła, przystając, by przyjrzeć się kaplicom bocznym, jakby jakiś nieznany element jego jestestwa pozostawił w nim ślad rozumienia, który pozwalał mu rozpoznawać twarze świętych.

Od czasu do czasu stawał dęba albo rżał, a potem się zatrzymywał.

Odgłos podków uderzających o marmurową posadzkę rozbijał złowrogą ciszę, która rozlewała się po wszystkich zakamarkach świątyni.

Zdawało się, że na zewnątrz ustały już eksplozje.

Zwierzę podeszło niemal pod sam ołtarz.

Zatrzymało się na kilka sekund przy grobowcu jakiegoś duchownego i pochyliło łeb nad płytą, jakby chciało odczytać łacińską inskrypcję.

Potem spojrzało uważnie na trzech mężczyzn i dwie kobiety trzęsących się przy ołtarzu.

Zdawało się, że czas stanął i wszystko zamarło w zawieszeniu.

– Sio! Idź stąd, no już! Już! – dało się nagle słyszeć.

Jeden z mężczyzn, nie tyle przez odwagę, ile w przypływie desperacji, zaczął krzyczeć i machać rękami, żeby odstraszyć konia.

On zaś, jakby pod wpływem działań tego człowieka, odwrócił się powoli i zaczął iść. Zatrzymał się jednak ponownie, nie zrobiwszy nawet trzech kroków.

Wydawał się czymś poruszony.

Podeksytowany mężczyzna, krzycząc coraz głośniej, podszedł jeszcze bliżej.

Okazało się to fatalnym błędem.

Jego krzyki przerwało kopnięcie, które zmiażdżyło mu klatkę piersiową i odrzuciło go na odległość przynajmniej metra.

Upadł na jedną z ławek wykonanych z morelowego drewna, wypełniających równymi rzędami główną nawę kościoła.

Ciało zwisało z oparcia, bezwładne niczym szmaciana lalka.

Nie żył.

Kobiety zaczęły płakać, a pozostali dwaj mężczyźni zaniemówili.

Koń przypatrywał się im z nieskończonym smutkiem.

Potem odwrócił się i rzucił do biegu przez nawę

w przeciwnym kierunku, w stronę drzwi.

Był to powolny bieg.

Ziarniste światło przenikające przez witraże odbijało się od jego grzbietu i przydawało czerni jego sierści odcienia rubinowej czerwieni.

Z jaką elegancją kroczył! Ile pewności było w jego ruchach!

Zanim wyszedł, zatrzymał się jeszcze przede mną.

Pysk wypełniała mu spieniona ślina, a oczy – pragnienie śmierci.

Pomyślałem, że ja pragnę życia wiecznego.

Ja będę żyć wiecznie.

Ale zdałem też sobie sprawę z odrazy, ze zmęczenia i obrzydzenia, jakimi napełniało go samo istnienie.

Wyszedł przez portal kościoła prosto na ulicę zaścieloną trupami i pyłem.

Wybuch wstrząsnął ziemią i witrażami.

Najwyraźniej bombardowanie jeszcze nie dobiegło końca.

Skierowałem się w stronę ołtarza.

Dwóch mężczyzn i dwie kobiety wciąż tam byli, zapłakani i pokonani.

Poczułem ogromne pragnienie, stopniowo przejmujące władzę nad innymi odczuciami.

Brat Pau Darder wyrżał przez kraty jedyne okna w kwadratowej norze, w której go zamknięto. Wychodziło

na przejście między budynkami zawałone stertami gruzu i śmieci. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje, ani nawet nie wiedział, czy jeszcze jest w Barcelonie, czy może gdzieś poza miastem. Nie miał też możliwości zmierzenia czasu i powoli zaczynał tracić jego poczucie. Doświadczał zagubienia w przestrzeni nieprzekraczającej dziesięciu metrów kwadratowych. Był więźniem we własnej celi.

Wewnątrz pomieszczenia miał do dyspozycji jedynie siennik i nocnik. Gdy zapadała noc i ciemność zalewała pokój, brat Darder mógł ją rozświetlić małym ogarkiem przyklepionym do cementowej podłogi pod jedną ze ścian z gołej cegły (kopający knot zostawił na niej podłużny czarny ślad, przecinający chropowatą powierzchnię muru). Jednak w zakonniku największy niepokój wywoływała pewna myśl: nie mógł pojąć, jak w tak ograniczonej przestrzeni mieściło się tak wielkie opuszczenie.

Za dnia przez zakratowane okienko do celi wpadała odrobina słońca. Ponieważ nie wprawiono w nie szyby, więc spał jak pod gołym niebem. Na szczęście zapowiadała się przyjemna jesień, a temperatury były dość znośne, choć kiedy przesywający, zimny wiatr budził go nad ranem, drżał zwinięty w kłębek, wtulony w samego siebie. Dopadały go momenty rozpacz, w których oddałby wszystko, byleby tylko w tym

piekielnym miejscu pojawiła się jego matka i przycisnęła go do pachnących, obfitych piersi, szepecząc z pojednawczym uśmiechem, który nie schodził jej z twarzy, dewizę podsumowującą jej sposób rozumienia życia: „Jeśli Bóg tak chce...”.

Niemniej jego matka nie mogła się tam pojawić i bratu Pau Darderowi nie pozostawała inna pociecha niż ściskanie z całej siły w pięści medalika ze świętym Michałem, który jego rodzice kazali dla niego wykonać ze złota i srebra z okazji pierwszej komunii i który od tamtej pory, czyli od ponad dwudziestu lat, nosił zawieszony na szyi. Chwytał medalik (przedstawiał świętego Michała deptającego pokonanego węża, w którego wbito miecz archanioła) i odmawiał ojczenasz albo credo, albo zdrowaśki, wciąż i wciąż, dopóki nie udało mu się uciszyć dręczącego niepokoju. Potem wstawał z siennika i stawał na środku celi. Czy to się działo naprawdę, czy jedynie śnił? Kiedy zasypiał, powracał do niego koszmar, widział w nim samego siebie w więzieniu identycznym z tym, w którym znajdował się po przebudzeniu. Kiedy zatem czuwał, a kiedy śnił? Gdzie była jawa, a gdzie sen? Czy wszystko to nie było snem – i przebudzenie, i sen – jednym wielkim snem życia?

Najgorszy ze wszystkiego był głód. Pierwszego dnia zostawili mu jeden blaszany garnek pełen na wpół ugotowanej ciecierzycy i drugi z wodą wypełniającą go aż

po same brzegi. Ani Sirga, ani Spalony, którzy pilnowali go na zmianę, nie powiedzieli mu, że powinien za wszelką cenę starać się zachować pożywienie na jak najdłużej. Za cenę dręczącego go pragnienia zaoszczędził wody w garnku na wysokość palca – straciła świeżość i nabrała posmaku blachy. Ciecierzycy jednak już się skończyła i jelita oraz żołądek skręcały mu się w coraz boleśniejszych skurczach, jakby miał we wnętrzościach jakieś pasożyty. Chwilami czuł się winny, że zjadł wszystko zbyt prędko, zaraz jednak pocieszał się myślą, że nie mógł przecież zrobić inaczej, bo musiałby w końcu walczyć o strącki z małymi, błyszczącymi karaluchami, które z jawną zuchwałością zaczęły pojawiać się w garnku.

W przejściu między budynkami, które młody marysta mógł obserwować ze swojego okienka, królowały szczury: biegały pomiędzy kupami gruzu i wielkimi workami porozrzucanymi w całym pasażu. Były ogromne i spalone, i tak liczne, że bratu Darderowi zdawało się, że się bez ustanku mnożyły, może przez podział, jakby należały do wielkiej rodziny olbrzymich ameb.

Usłyszał dobiegający z zewnątrz pisk, który kazał mu wyrzeć przez okno. Przez chwilę miał nadzieję, że zobaczy w przejściu kogoś, do kogo będzie mógł zawołać i poprosić o pomoc. Natychmiast jednak zrozumiał, że to, co słyszał, było jedynie piskiem szczura ugryzionego przez

drugiego przedstawiciela swojego gatunku podczas utarczki o kawałek jakiegoś świństwa. Zobaczył, jak zraniony szczur próbował odwrócić się do napastnika, ale nie zyskał nic poza kolejnym ugryzieniem w grzbiet, tak mocnym, że sięgnęło żywego mięsa. Nie odwiódło go to od prób kontrataku: kulejąc, z wściekłością rzucał się raz za razem na napastnika, lecz ten unikał zręcznie wszystkich ataków, czekając na dogodny moment, by zadać ostateczny cios.

Po chwili pojawiło się całe stado szczurów, podeszły do dwóch walczących i uformowały wokół nich niemal idealny krąg. Musiało być ich przynajmniej – brat Darder przyglądał się zafascynowany scenie, licząc gryzonie – trzydzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, a może nawet sto. Wszystkie stały spokojnie wokół rannego szczura, który biegał w kółko, węsząc, jakby chciał ocenić zagrażające mu niebezpieczeństwo.

W końcu dało się słyszeć jeszcze jeden pisk, wydany tym razem przez zwycięzcę walki. Był to najwyraźniej oczekiwany sygnał: usłyszawszy go, wszystkie szczury rzuciły się jednocześnie na zwierzę skazane wydanym właśnie wyrokiem. Pokonany próbował się bronić jeszcze przez kilka sekund, gryzł na ślepo, to wyłupując jakimś innemu oko, to odrywając ucho. Ale cały jego wysiłek nie zdał się na nic. W mniej niż minutę leżał na ziemi na grzbiecie z wywleczonymi wnętrznościami. Żarłoczność

jego towarzyszy była przerażająco skuteczna, choć szczer jeszcze nie był martwy i wydawał z siebie jakby agonalne buczenie, które brat Darder mógł słyszeć przez swoje okno. Ostatecznie zwierzę zostało sprowadzone do rozmiaru kawałka skrwawionej skóry, który chwycił w pysk (zapewne z zamiarem zachowania go na później) jeden z gryzoni, splamiony czymś i wyliniały.

– Nie wygląda pan dobrze, komisarzu.

– To przez to, co pan pali. Robi mi się od tego niedobrze.

Komisarz Muñoz przysunął sobie krzesło, usiadł i rozprostował nogi. Kostnicę ledwo co rozjaśniała jedna lampa oliwna zawieszona na haku, dająca młecne światło, podobne w kolorze do trupiej skóry. Doktor Pellicer po raz kolejny zaciągnął się papierosem.

– Nie znalazł pan jeszcze śladów wampira, komisarzu? – zapytał tonem, po którym trudno było poznać, czy kpi czy wręcz przeciwnie, jest szczerze zainteresowany.

– To nie papieros.

– Przepraszam?

Komisarz wziął głęboki oddech.

– To nie papieros wywołuje u mnie mdłości. Nie mogę spać w nocy.

Lekarz skinął głową ze zrozumieniem. Nie przestając palić, wziął drugie krzesło i usiadł naprzeciw policjanta.

Jakieś stopy wystające poza stół zwisały z blatu niemal przy jego twarzy.

– Znowu bezsenność, co? Czuje się pan zmęczony?

Słysząc było, jak źle pokruszony kawałek tytoniu pali się z trzaskiem. Komisarz Muñoz ścisnął czoło rękami i zamknął oczy.

– To nie bezsenność, doktorze. Zmuszam się do czuwania.

Doktor Humbert Pellicer otworzył szeroko oczy.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Nie chcę zasnąć. Kiedy zasypiam, mam ciągle ten sam koszmar.

Lekarz zamilkł, czekając na jakieś wyjaśnienia. Ponieważ nie nadchodziły, zapytał sam:

– Jaki koszmar?

Policjant odsunął jedną rękę od czoła i zaczął nią machać, jakby odganiał muchę.

– Czy mógłby pan to zgasić?

Doktor Pellicer wydał jęk rezygnacji i rzucił na podłogę połówkę papierosa. Przydeptał ją butem, jakby była jakimś jadowitym owadem.

– Wedle życzenia, komisarzu.

– Idę przez pole, nocą – zaczął monotonnym głosem komisarz Muñoz, trzymając wciąż głowę między rękami, z oczami wbitymi w kolana. – To nie są żadne pola uprawne, po prostu otwarta, dzika łąka. Wpadam wciąż na

kamienie i do jakichś dołów, na które natykam się na każdym kroku. Jest bardzo zimno, intensywny, wilgotny chłód zmraża kości i przenika do wewnątrz.

Noc jest ciemna, bez żadnego światła, bez gwiazd, więc idę po ciemku. Od czasu do czasu potykam się o coś i upadam. Staram się wyciągać przed siebie ręce, upadając, aby chronić twarz, i wtedy dłonie oblepia mi ziemia. Wstaję jednak i idę dalej.

Wokół siebie słyszę jakieś hałasy, niektóre potrafię rozpoznać, innych nie. Wydaje mi się, że słyszę sowę albo może puchacza, nie jestem pewien. Dochodzi do mnie również jakby szum ludzkich głosów, ale równie dobrze mógłby to być wiatr. I jakiś bulgot, jakby ze stojącego na ogniu garnka pełnego gotującej się wody. I jeszcze coś, ale żaden z tych odgłosów nie budzi we mnie niepokoju, przeciwnie, jakby w jakiś sposób towarzyszyły mi w drodze. Przeraza mnie natomiast jedyny dźwięk, jaki rozpoznaję bez trudu – jest to wycie psa. Raz słyszę je z daleka, a za chwilę z bliska, i zawsze jest to wycie przeciągłe i smętne, jak lament jakiejś zjawy. Ale nie jest to żaden duch, lecz pies z krwi i kości, i to właśnie wywołuje we mnie największy strach. Drzę więc ze strachu i z zimna, ale idę dalej.

Nagle zderzam się ze ścianą. Z fasadą jakiegoś budynku czy raczej baraku, skleconego z gliny, kamienia i trzciny. Obmacuję ją dłońmi, aż znajdę wejście

i drewniane drzwi. Hałasy i wycie psa ustały, ogarniają mnie absolutne ciemności i cisza. Napieram na drzwi rękami, ale nie chcą się otworzyć. Napieram więc z większą siłą, lecz nadal nie ustępują. Tracę zapach i siadam na ziemi, opierając się o te drzwi plecami. Z całej duszy pragnę wejść do środka, odpocząć i schronić się przed psem, który chociaż zamilkł, to wiem, że wciąż się gdzieś czai.

Kiedy najmniej się tego spodziewam, drzwi się otwierają, a ja przewracam się na plecy. Wnętrze baraku rozjaśnia białe, oślepiające światło. Słyszczyć również harmider jakby z piekła rodem: gwizdy i śmiechy, jak gdyby odbywało się tam jakieś święto. Podnoszę się i kiedy w końcu moje oczy przyzwyczajają się do ostrego światła, widzę, że w baraku jest pełno ludzi. Śmieją się do rozpuku i ordynarnie. Niektórzy nawet turlają się po ziemi z nadmiaru radości, a wszyscy pokazują na mnie palcami. W tej chwili odkrywam, że jestem zupełnie nagi i że cały ten tłum szydzi właśnie ze mnie. Zakrywam rękami intymne miejsce i czuję się poniżony i bezbronny. Nie rozpoznaję większości twarzy, ale jest również kilka znajomych, a wśród nich część należy do żywych, inne zaś do zmarłych. Widzę chłopca zamordowanego przy pensjonacie Capell, który śmieje się ustami oraz raną na szyi. Widzę szefa z FAI, o którym wiem, że posądza mnie o zdradę. Nazywają go Kulawcem od Świętego Eliasza,

a śmieje się do wewnątrz, śmiech wstrząsa jego ciałem i wygląda, jakby łkał. Również pan tam jest, doktorze, i szydzi pan ze mnie tak samo jak pozostali, a ponadto wykrzykuje pan jakieś słowa, których nie rozumiem z powodu zgiełku. Nie mogę wytrzymać dłużej tego urągowiska.

Wychodzę z baraku i z hukiem zamykam za sobą drzwi. Wrzask natychmiast ustaje, gaśnie również nieznośnie oślepiające światło. Znów jestem całkiem sam w mroku pełnym szmerów, który otula mnie szeptami. Teraz jest już lepiej, bo chociaż nie ma księżycy, słaby blask rozlewa się wokół i pozwala mi widzieć, jak w jasną, zimową noc. Barak znika, a z nim cała moja hańba i szyderstwa, jakby nigdy nie istniały. Wciąż jestem nagi od pasa w dół, mam jednak na sobie marynarkę, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Jest gruba jak żołnierski płaszcz, ale materiał jest miękki i przyjemny w dotyku. Otulam się w nią szczelnie, ponieważ wokół panuje przeszywający chłód, lecz mimo zimna, od którego podkurczają mi się nogi, czuję się ogólnie lepiej niż przed wejściem do baraku. Zamykam oczy i oddycham głęboko.

Otwieram je, kiedy słyszę warknięcie oznajmiające obecność psa. Widzę go, stojącego naprzeciw. Ma głowę rozmiarów byczego łba i białą sierść, jakby pokrywała go warstwa śniegu. Spogląda mi prosto w oczy, wydając nieustannie groźne warknięcia. Zaraz skoczy na mnie, żeby

zaatakować. Żeby mnie zabić. Pokazuje żółte, ostre kły, na których zbiera się piana wściekłości.

W pierwszej chwili chcę rzucić się do ucieczki, ale zaraz zdaję sobie sprawę, że nie mam żadnych szans. Zamiast tego zmuszam się, by wytrzymać spojrzenie psa, i bardzo powoli zaczynam zdejmować marynarkę. Pies mnie obserwuje i nieustannie warczy. Zdaje się, że trwa to całą wieczność.

W końcu skacze. Nawet nie skacze, leci. Widzę, jak spada prosto na mnie, jakbym stał zanurzony w morzu i zalewała mnie dzika, niszcząca wszystko fala. Jednym ruchem owijam sobie marynarkę wokół lewej ręki i wystawiam ją na ugryzienie. Pies chwytą rękę i wbija kły w materiał, rozszarpuje go, przebija się do skóry i zęby sięgają ciała. Zaciska szczęki i gryzie z coraz większą siłą, w furii, wyjąc i tocząc pianę. Trzymam rękę tak pewnie, jak tylko potrafię, ale niewiele brakuje, by oderwały mi ją szarpnięcia psa. Jednocześnie podnoszę drugą rękę z zaciśniętą pięścią i zebrawszy całą siłę, uderzam go w wielki łeb. Słyszę chrupnięcie pękającej kości czaszki i przyglądam się, jak oczy wyłazą mu z orbit.

Pies zwalnia uścisk, puszcza mnie i robi cztery chwiejne kroki. Potem pada. Ciężki i znieruchomiały.

Odwijam marynarkę z ręki i patrzę na krew spływającą z rany po ugryzieniu. „Powierzchowne

zranienia” – myślę. Podchodzę do psa, który leży grzbietem w moją stronę i pochylam się, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest martwy.

Szybkim ruchem zarzucam sobie truchło na plecy. W tej samej chwili dostrzegam, że zamiast pyska ma twarz mojej matki.

*Iuxta crucem tecum stare
et me tibi sociari
in planctu desidero
Virgo virginum praeclara
mihi iam non sis amara
fac me tecum plangere
Fac ut portem Christi mortem
passionis fac consortem
et plagas recolere
Fac me plages vulnerari
fac me cruce inebriari
et cruore filii
Flaminis ne urar succensus,
per te, Virgo, sim defensus
in die iudicii
Christi cum sit hinc exire
da per matrem me venire
ad palmam victoriae.*

Siostra Concepció raz po raz odczytywała słowa spisane przez Jacopone da Todi, aż litery zaczynały jej

tańczyć przed oczami i zmieniać się w małe owady krążące po stronach księgi hymnów i wyfruwające z niej niczym armia moli, która rozpięzchła się w zepsutym powietrzu celi i rysuje torem lotu niewidzialne spirale. Przemiana ta budziła w niej znane już przecucie, czy może wrażenie, że nie jest sama w celi, że towarzyszy jej jakaś nieokreślona obecność, której nie mogła ani wykryć, ani opisać, przejawiająca się ledwo wyczuwalnym chłodem, a jednocześnie tak namacalna, że w wielkiej pustce malutkiej celi od czasu do czasu czuła ją wyraźnie...

Czyżby ogarniało ją szaleństwo? Traciła rozum czy rzeczywiście jej obowiązkiem było odkupienie jakiejś winy? Czy też wszystko to, czego doświadczała, było jedną z takich samych mąk, jakie cierpiała święta Eulalia? Święta Eulalia i jej trzynaście gąsek pasących się na Desert de Sarrià... Jednak największym niepokojem napełniała ją krew, ów krwotok spomiędzy nóg, który ciągnął się już od kilku dni i wywoływał w niej odczucie zimna, ból brzucha i jakiś zawstydzający, nie do końca zrozumiały smutek. Uprzejma jak zawsze siostra Encarnació wyjaśniła jej, że to cena, jaką kobiety muszą płacić za grzech pierworodny. Opowiedziała jej o Ewie, matce całej ludzkości, i o oszustwie, przez które skłoniła Adama do wystąpienia przeciwko przykazaniom Bożym. Opowiedziała jej też o gniewie Pana, o wygnaniu z raju

i słusznej konieczności, by wszystkie potomkinie Ewy płaciły krwią za wymazanie winy. Wyjaśniła jej, jak stosować i prać szmatki używane przez kobiety podczas tych dni miesiąca, kiedy płynęła krew. Na koniec objęła ją i chcąc jej dać pociechę, powiedziała, że ze swojej natury kobiety są oczywiście nędzne, nieczyste i grzesznego rodzaju, ale one nie muszą się niczego obawiać, ponieważ nie mają małżonka na ziemi, lecz w niebie i On jest dla nich odkupieniem, dzięki czemu mogą się modlić za zbawienie reszty ludzkości.

Siostrze Concepció taka pociecha wydała się jednak dość marna. Wyobraźnia prowadziła ją ku rajowi, ku łące, która jak twierdzi się w Biblii, była światem u jego początków. Jak mogła wyglądać? Gdyby mogła wybrać miejsce i okres, do którego chciałyby się przenieść, podróżując w czasie, wybrałyby właśnie raj i ostrzegłaby Adama i Ewę przed pokusami węża. Wtedy nie byłoby grzechu pierwородnego ani potrzeby, by kobiety krwawiły, aby go odkupić. Pomogłaby Ewie i Adamowi w nazywaniu rzeczy i zwierząt, tak jak biskup Perugorría tamtego dnia, kiedy zlecił jej skomponowanie muzyki do *Stabat Mater*, pomógł jej samej. Mogłaby na przykład zdecydować, że gęsi nie będą nazywać się gęsiami. Gdyby to zależało od niej, gęsi nosiłyby nazwę kaczkę, ponieważ były bardzo podobne do kaczek, a poza tym nie należy tracić dwóch różnych słów na dwoje tak podobnych do

siebie ptaków. Dlatego słowo „gęś” zarezerwowaliby dla jakiegoś innego, oryginalniejszego zwierzęcia. Poza tym w ogóle nie ma potrzeby, żeby akurat przeznaczać je na zwierzę. Mogłaby przecież nazwać gęsią pasternak, jeśliby jej przyszła na to ochota. Owszem, potem słowo „pasternak” byłoby wolne i należałoby je przypisać do jakiejś innej rzeczy. Czy długaśne palce biskupa można by nazwać pasternakami? Koniec końców, było między nimi jakieś podobieństwo...

Te myśli ją rozśmieszyły i kiedy usłyszała dźwięk własnego śmiechu, zdała sobie sprawę, że już od bardzo dawna się nie śmiała i że śmiech poprawia jej nastrój. Z drugiej strony śmiech przywiódł jej na myśl matkę, za którą tak ogromnie tęskniła, i przyjaciółkę Emilię i chociaż nie wiedziała, co się z nią stało, często modliła się o zdrowie dla niej i dla całej jej rodziny. Z Emilią śmiały się często podczas lekcji w Orfeó, kiedy dla wyrobienia sobie muzycznego słuchu mistrz Millet kazał im śpiewać taką piosenkę:

Deszczyk pada, słońce świeci,
czarownica masło kleci.

Słońce świeci, deszczyk pada,
czarownica jajka składa.

I u niej, i u Emilii sam pomysł, że czarownice mogłyby znosić jajka, wywoływał salwy śmiechu i nieraz musiały przerywać śpiewanie piosenki, bo nie mogły opanować

radości, a wtedy mistrz Millet złościł się na nie. Po lekcji przed drzwiami Palau de la Música stały czekające na nie matki, a one obydwie wychodziły i śpiewały piosenkę o czarownicy, która znosi jajka, i wszystkie cztery śmiały się na cały głos. Przypomniało się jej, że kiedyś zapytała, czy rzeczywiście czarownice składają jajka. Matka wyjaśniła jej wtedy, uśmiechając się, że to nieprawda z tego prostego powodu, że czarownice nie istnieją. Nie istnieją ani czarownice, ani duchy, ani człowiek z nosami[8], ani demony porywające niegrzeczne dzieci na widłach, ani też Maria Chwyłka, która wciąga dzieci w głąb studni, chwytając je za szyję hakiem. Żadne z tych potwornych stworzeń nie istnieje, a najważniejsze w życiu to się nie bać.

Nie bać się. Słowa te wryły się jej w pamięć, tak jak uśmiech wypowiadającej je matki. Ale teraz okropnie się bała. Być może było prawdą, że nie istnieją ani czarownice, ani człowiek z nosami, ale istniały, i sama się o tym przekonała, ciemności. Klasztor był ich pełen. Ciemności były przyczyną odrazy, jaką czuła, strachu przed szaleństwem, przed tym, że w końcu opuści ją rozum, pójdzie nie wiadomo gdzie i już nigdy nie wróci. Ciemności, te same ciemności, które wszystko pochłaniały, wsysały w siebie światło i pożerały cały świat, które sprawiały, że milkła muzyka i dziecięcy śmiech. Cienie na wiecznie napiętej twarzy matki

przełożonej i w półpłynnych oczach Jego Ekscelencji. Jak miała się nie bać? Matka Boska Bolesna pod krzyżem. A czy także jej własna matka się bała? Nie, ona nie mogła się bać, na pewno nie ona. Siostra Concepció chciała się pomodlić, potrzebowała pomodlić się za swoją matkę, która też pewnie modliła się za nią. I za Emilię, która Bóg jeden wie, gdzie teraz była. Pomodlić się, by pewnego dnia mogła wyjść z klasztoru i spotkać matkę u wejścia, uścisnąć ją ze wszystkich sił i zaśpiewać piosenkę o czarownicach, i śmiać się razem z nią, aż jej przypomni, że czarownice nie istnieją i że po śmierci czeka nas tylko raj.

Próbowała znów skoncentrować się na słowach *Stabat Mater*, ale na próżno. Była zdenerwowana i nie mogła się pozbyć wrażenia, że wszędzie czyhają na nią bestie i dziwaczne istoty.

W celi dał się słyszeć odgłos ocierania palców o drewno. Biskup Perugorría odsunął się od drzwi i poszedł, szurając nogami, w kierunku przeznaczonych mu pomieszczeń, po tym jak po raz kolejny poświęcił kilka minut na obserwowanie siostry Concepció przez dziurkę od klucza.

– Pańskiej matki – powtórzył lekarz po kilku sekundach milczenia.

Spojrzenie komisarza Muñoza zginęło gdzieś wśród półcieni wypełniających kostnicę. Dostrzegał jedynie

ciała albo jedynie kawałki ciał. Dopiero po chwili zobaczył twarz doktora Pellicera, który przyglądał mu się badawczym wzrokiem, jakby widział go po raz pierwszy.

– Tak – odpowiedział. – Zamiast psa widzę moją matkę, leżącą z głową rozłupaną od uderzenia. Uderzenia mojej pięści.

Doktor Pellicer przytaknął.

– To rzeczywiście koszmar – wymruczał.

– Powtarza się za każdym razem, gdy zasypiam.

– Zawsze w taki sam sposób?

– Z niewielkimi zmianami.

– Jakimi na przykład?

– Czasami jest tak, jakbym się budził w koszmarze. To znaczy mam świadomość tego, że śnię, ale nie mogę zrobić nic, żeby przerwać koszmar i zbudzić się naprawdę. Powtarza się aż do samego końca.

– Kiedy widzi pan swoją matkę martwą.

– Właśnie tak.

– Czy jest coś, co mógłby mi pan powiedzieć w związku ze swoją matką?

– Tak. Popełniła samobójstwo.

Lekarz zamilkł na chwilę. Potem zapytał:

– Ze znanego powodu?

– Tak. Mój ojciec ją bił. Pamiętam nawet jak.

– Jak psa.

– Tak.

– A ona...

– Pewnego dnia, kiedy wracałem z siostrami ze szkoły, znaleźliśmy ją na dole schodów, w domu. Wspięła się na balustradę i skoczyła w dół. Złamała sobie kark.

– A pański ojciec?

– Poszedł sobie, zostawił nas. Ale tak było nawet lepiej. Bił też moje siostry. I mnie. Wszyscy troje odetchnęliśmy z ulgą, kiedy zwiął. Nigdy więcej o nim nie słyszeliśmy.

– A pan i pańskie siostry...

– Poszliśmy do domu dziecka. Tam też się nam dostawało, ale nie tyle. Troszczyliśmy się o siebie nawzajem, na ile się dało, aż dorośliśmy do wieku, kiedy każde poszło w swoją stronę. Dla mnie wstąpienie do policji oznaczało spełnienie jedyne go marzenia, które pamiętałem z czasów, gdy byłem dzieckiem. Zawsze chciałem nosić mundur i pistolet. Jak pan widzi, doktorze, jestem typowym przypadkiem zgorzknienia.

– Nie powiedziałbym, komisarzu.

– Ale to prawda. Proboszcz naszej parafii nie zgodził się, żebyśmy pochowali matkę na cmentarzu, ponieważ samobójców nie wolno chować w poświęconej ziemi. Musieliśmy ją zostawić w miejscu takim jak to, i przypuszczam, że jakiś lekarz, taki jak pan, pociął ją na kawałki... Przy okazji, co się robi z całą tą rzeźnią? Po przeprowadzeniu ekspertyz, rzecz jasna.

Lekarz pomyślał o Hadalym. Przełknął ślinę.

– Cóż, sądzę, że nie muszę panu odpowiadać. Nauka ma swoje racje, religia ma ich jeszcze więcej. Z tego względu powiem panu, że też mam powody, by nie czuć wielkiej sympatii dla naszej Matki Kościoła. Ja również jestem klasycznym przypadkiem zgorzknienia.

Komisarz Muñoz uśmiechnął się po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy. Doktor Pellicer uczcił to, zapalając papierosa. Milczeli przez dłuższą chwilę, otoczeni dyskretną opieką zmarłych. W końcu policjant zdecydował się odezwać:

– Nie mogę prowadzić dalej śledztwa w sprawie zbrodni w pensjonacie Capell. Jestem obserwowany, mam kreta w komisariacie.

– Mówi pan poważnie? – spytał lekarz bez cienia ironii.

– Sirga, funkcjonariusz, który towarzyszył mi tamtego dnia w pensjonacie. To kret FAI.

– Jest pan tego pewien?

– Chodzi na kurwy. Ze swoją pensją nie mógłby sobie na to pozwolić. A że nie jest zbyt bystry, nie umie ukryć, że zarabia dodatkową forszę w innym miejscu.

– Rozumiem, ale przecież...

– Ma pan rację, to jeszcze nic nie znaczy. Ale zacząłem go podejrzewać.

– I co?...

– Podejrzenia się potwierdziły. Wystawiłem człowieka, żeby go śledził, i wyszło parę nader interesujących rzeczy. Nie tylko o Sirdze, ale też w związku z naszymi przyjaciółmi z pensjonatu Capell.

Doktor Pellicer otworzył szeroko swoje królicze oczy ukryte za okularami.

– To maryści – oświadczył komisarz Muñoz. – Negocjują właśnie z FAI pozwolenie na wyjazd z Hiszpanii do Francji. Tamtego dnia, tuż przed bombardowaniem, zorganizowali spotkanie w jednym z barów w centrum miasta. Byli na nim wszyscy z pensjonatu Capell, włącznie z bratankiem burmistrza Palmy. Z FAI pojawił się tam cały oddział grubych ryb z Wydziału Bezpieczeństwa. Wszyscy jak jeden mąż, prawdziwa drużyna skurwysynów. Potem dołączył do nich Manuel Escorza, Kulawiec od Świętego Eliasza, jak na niego mówią, który jest najgrubszą rybą i największym skurwysynem ze wszystkich.

– Ten człowiek pojawia się w pana koszmarze.

– Między innymi, owszem. Wystarczy, że powiem, że Escorza przyszedł na spotkanie w towarzystwie Sirgi.

– Teraz rozumiem.

– To jeszcze nie koniec. Wzięli zakładnika jako gwarancję, a jest nim nikt inny jak ten młody pieprzony Majorkanin. Sirga z drugim najemnym zbirem wzięli go jako więźnia.

– Dokąd?

– Nie wiem. Mój człowiek widział, jak wychodzili z baru, ale zaczęło się bombardowanie i nie mógł iść za nimi.

Doktor Pellicer pomyślał, że kiedy deszcz bomb spadał na Barcelonę, Hadaly kłusował z wdziękiem w grocie pod domem sędziego Carbonissy. Potem popełnili grzech pychy i wypuścili konia na ulicę, gdzie wydarzył się incydent w kościele Betlejem.

– Jakkolwiek by było – kontynuował komisarz – nie ma wątpliwości co do tego, że Sirga poinformował już Escorzę albo Aurelego Fernándeza, albo któregokolwiek z tych chujów, że patrzyłem przez palce na to, że maryści siedzą w pensjonacie. Dlatego moje nazwisko jest już na pewno na czarnej liście kolaborantów i zdrajców w Wydziale. Nie mogę prowadzić dalej śledztwa.

– I to sprawia, że ma pan koszmary i że nie może pan spać? – zauważył lekarz.

– Nie – odpowiedział komisarz. – To, co nie daje mi spać, to myśl, że Sirga z pomocą trzech czy czterech opryszków wsadzi mnie do samochodu z zawiązanymi oczami, a następnego dnia znajdą mnie na drodze Arrabassada z przestrelonymi plecami i głową. Przyznaję, że tego rodzaju myśli trochę mnie niepokoją. A szkoda, bo chciałbym dowiedzieć się więcej o pańskim wampirze, ale widać nie tym razem.

Na twarzy doktora Pellicera pojawił się smutny uśmiech. Rozumiał dobrze obawy policjanta, ale wolałby, żeby ten z niego nie kpił.

– Osobiście uważam – dodał komisarz Muñoz – że brata Gendrau zlikwidowała FAI. Tylko po to, żeby dać do zrozumienia marystom, że negocjacje z nimi to nie żarty, rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć? Dzieciaka załatwili w ramach napiwku. Oto, jacy są hojni. Mam tylko nadzieję, że nie stoi za tym Sirga.

Doktor Pellicer zgasił papierosa butem. Doceniał szczerłość, z jaką komisarz prowadził z nim rozmowę, i uznał, że wypada mu ją teraz odwzajemnić.

– Komisarzu – zaczął – jedynym pozytywnym rezultatem wojny jest właśnie to, że wypycha na powierzchnię wszystko, co wcześniej krążyło w ukryciu, przy dnie. I to, co dobre, i to, co złe.

– Nie wiem, co miałbym panu powiedzieć... – odpowiedział roztargniony policjant.

– Zakładam – kontynuował lekarz – że nic pan nie słyszał o człowieku, którego znaleziono martwego w kościele Betlejem zaraz po bombardowaniu. Mówi się, że nie zabiła go bomba, ale koń, który wszedł do świątyni, i nikt nie wie, skąd się tam wziął.

Jedyną odpowiedzią, jakiej udzielił komisarz Muñoz, było uniesienie brwi.

Siostra Concepció usłyszała krzyki, dobiegały do niej

już przytłumione, ale przebijała przez nie rozpacz tak wyraźna i bezmierna, że aż ścierpła jej skóra. W pierwszej chwili zamarła w bezruchu na środku celi, z rękami skrzyżowanymi na piersi, później jednak usłyszała bieganinę na korytarzu i postanowiła, chociaż nie było jej wolno, zaryzykować i wyjrzeć na zewnątrz bez pytania o pozwolenie. Uchyliła drzwi i zobaczyła plecy chudziutkiej siostry Anunciació, która podtrzymując habit obydwoma rękami, żeby nie utrudniał jej biegu, gnała przejęta w dół schodami prowadzącymi do refektarza, skąd jak się zdawało, dochodziły krzyki.

Nie zastanawiając się wiele, siostra Concepció zrobiła to samo. Biegnąc schodami w dół, zobaczyła trzy inne siostry, które pędziły przez korytarz refektarza w kierunku wyjścia prowadzącego do ogrodu. To właśnie stamtąd dobiegała wrzawa. Ale czy podniesiony głos dochodzący z zewnątrz należał do którejś z sióstr? Tego nie była pewna, ponieważ tak bardzo zawodził, że nie dawał się rozpoznać. Co się mogło wydarzyć? Czuła, jak z każdą chwilą serce bije jej coraz szybciej, choć co dziwne, uspokoiła się nieco, kiedy wyszła na zewnątrz i zobaczyła, że jest wczesny poranek, a słońce dopiero wschodzi. Zamknięta w celi zaczynała tracić poczucie czasu i niekiedy już nie wiedziała, czy jest dzień czy noc. Z przyjemnością stwierdziła, że teraz nie trwa ani dzień, ani noc, ponieważ noc właśnie się kończyła, ale dzień

jeszcze się całkiem nie zaczął. Chłodne powietrze – choć niezbyt jeszcze zimne – wywierało na nią ożywczy wpływ. Zatrzymała się na chwilę, by wciągnąć je głęboko do płuc, i poczuła w nim coś jeszcze, rozrzedzoną odświeżającą rześkość wody ze studni. Cała udręka, jaką cierpiała nad wersami *Stabat Mater*, rozviała się w ciągu kilku sekund za sprawą dobroczynnego działania świeżego powietrza, dzięki któremu poczuła, że wraca do życia. Niespodziewanie rozległ się kolejny krzyk pełen rozpacz:

– Martwe! Martwe!

Teraz, kiedy wreszcie zrozumiała, co woła głos, wnętrzości skrzyły jej się na jego dźwięk. Kto jest martwy? Pobiegła w stronę palmy i w słabym świetle poranka zobaczyła grupę sióstr stłoczonych wokół zagrody dla świń. Podeszła bliżej i stwierdziła, że krzyki zdawały się coraz bardziej chrapliwe i nierówne, jakby ktoś, kto je wydawał, zaczynał tracić głos. Parę kroków od tłumku zakonnicy rozpoznała siostrę Anunciació, małe i tęgie siostry Benedicció, Dormició i Visitació, stulatki Ascensió i Presentació oraz jeszcze kilka innych, które wznosiły ręce ku niebu, lamentowały i zawodziły. Dostrzegła również matkę przełożoną, sztywną, jakby ją ktoś wykuł w kamieniu, a trochę dalej biskupa Perugorrié o nieodgadnionym wyrazie twarzy, zatopionego w krążących gdzieś daleko myślach. Obydwoje wyglądali

jak gargulce i to podobieństwo ścisnęło jeszcze bardziej serce siostry Concepció.

Tym, co całkowicie odebrało jej mowę, było jednak odkrycie, że krzyki nie pochodziły od nikogo innego, jak od siostry Encarnació, znajdującej się w samym środku koła uformowanego przez zakonnice. Stała ze zmienioną twarzą, ręce drżały jej nerwowo, a oczy zasnuwała mgiełka szaleństwa, jakby zobaczyła przed sobą jakiegoś potwora. Miotła się konwulsyjnie, grożąc nie wiadomo komu, a siostry przytrzymywały ją wyciągniętymi rękami, potrząsając różańcami i krzyżykami przed twarzą nieszczęsnej zakonnicy.

– Martwe! Martwe! – powtarzała raz za razem. Jej głos stał się nagle gardłowy i przygaszony.

– Opętało ją! – zagdakała siostra Benedicció, potrząsając fałdami tłuszczu na swoim okrągłutkim ciele.

– Szatan w nią wszedł! – piszczała cieniutkim głosem mała mniszka, którą zwano Il·luminació.

– Szatan, Szatan! – wśród zakonnice podniosły się krzyki, a krucyfiksy latały w górę i w dół, jak w jakimś obłąkańczym tańcu.

– Maaartwe! Maaartwe! – jęczała siostra Encarnació, nieobecna, wskazując palcami cienkimi jak pędy winorośli zagrodę dla świań.

Nowicjuszka cofnęła się i zatrzymała kilka kroków od chaotycznego zbiegowiska. Pomyślała, że to, co się dzieje

z siostrą Encarnació, nie ma nic wspólnego z opętaniem diabelskim i że to raczej o atak nerwowy, taki jak ten, który widziała kiedyś u swojej ciotki Enriquety, jednej z sióstr ojca, kiedy pokłócili się w salonie o coś związanego ze spadkiem po dziadkach. Wówczas ciotka podrapała sobie twarz paznokciami i rzuciła o podłogę porcelanowym czajniczkiem na herbatę, rozbijając go w drobny mak. Wspomnienie ciotki sprawiło, że siostra Encarnació nie wydawała się jej już tak przerażająca jak wcześniej, a przynajmniej nie tak bardzo, jak reszcie mniszek, które całkowicie poddały się hysterii. Popatrzyła jeszcze raz na matkę przełożoną, ale ta wciąż trwała wyniosła i nieobecna, jakby znajdowała się na innej planecie, a siostra Concepció obserwowała ją przez teleskop. Natomiast Jego Ekscelencja przyglądał się nowicjusze swoim charakterystycznym spojrzeniem, które zawsze wydawało się zapowiadać jakieś potworne nieszczęście. Przestraszona i zagubiona siostra Concepció spuściła oczy, nie wiedząc, w którą stronę patrzeć.

– Szatan, szatan! – wołały wszystkie mniszki, niezależnie od wieku i tuszy, ogarnięte amokiem.

– Maaartwe! – upierała się przy swoim oszołomiona siostra Encarnació.

Siostra Concepció zebrała całą siłę woli i postanowiła rzucić okiem na chlewik. Zbliżyła się ostrożnie i wsunęła powoli głowę, jakby wchodziła do

pokoju ciężko chorej osoby. Najpierw zobaczyła koryta, a w nich jedynie paszę z otrąb, którą każdego ranka, jeszcze przed modłami, przynosiła siostra Encarnació, by nakarmić dwa wieprzki. Sprowadził je do klasztoru Manuel Escorza, żeby zimą mogły je ubić. Zadanie zabicia zwierząt miało zostać powierzone Sirdze, a siostry już wiedziały, co zrobić z mięsem i jak przygotować z niego wędliny. Siostra Concepció nigdy jeszcze nie ubrudziła sobie rąk przy świniobiciu, ale siostra Encarnació już jej zapowiedziała, że kiedy przyjdzie czas, ona sama nauczy ją wszystkiego, co potrzebne. Jak ciąć, mleć, mieszać, nadziewać i zszywać.

Weszła do chlewu ostrożnie, ponieważ słabe światło poranka nie zdołało jeszcze rozjaśnić wnętrza, ponadto podłoga była śliska od pokrywającej ją słomy i zwierzęcych odchodów. Zdziwiło ją, że nie czuć żadnego zapachu ani nie słyszać chrumkania: świnie zachowywały się wyjątkowo bezgłośnie. W przeciwieństwie do mniszek, z zewnątrz bowiem wciąż dobiegały krzyki i odgłosy zamieszania, które urządziły wokół siostry Encarnació.

Nowicjuszka poczekała, aż jej wzrok przywyknie do półmroku, i wtedy dostrzegła, że nie tylko słoma i ekskrementy walają się na klepisku. Wszędzie było pełno ciemnych, gęstych kałuż uformowanych z mieszanki jakichś odpadów i krwi. Również ściany były pokryte

plamami, a jakaś ciecz spływała z nich aż do ziemi, tworząc kształty wyglądające niczym jakieś makabryczne pismo.

Dreszcz przebiegł po plecach dziewczynki, kiedy w końcu je zobaczyła. Obydwa wieprzki leżały na słomie, z wykręconymi kończynami i szklanymi oczami. Martwe, dokładnie tak, jak to niestrudzenie powtarzała siostra Encarnació głosem zdartym od krzyku. Karki i brzuchy miały poszarpane na strzępy, jakby dopadło je jakieś dzikie zwierzę, zdolne przesadzić pięciometrowe ogrodzenie klasztoru i dostać się do chlewu, by zaspokoić głód i pragnienie.

– Ej. Ej.

– Hm?

– Obudź się. Otwórz oczy. Ej.

– Hm? Gdzie...?

– Tu jestem. Otwieraj oczy.

– Gdzie... jestem...?

– W celi. Obudź się, księżulku. Mam wiadomość, która na pewno cię ucieszy.

Brat Pau Darder przetarł oczy i je otworzył. Pierwszym, co zobaczył, była dziobata twarz Sirgi siedzącego obok niego na sienniku. Dalej, w jednym z kątów celi, stał nocnik, obok, przy zakratowanej ścianie, tkwił ogarek przyklejony do podłogi. Obrazu dopełniał garnek z ciecierzycą i drugi, z wodą, obydwie teraz puste.

Spał snem bez snów i przebudzenie w tej norze oraz widok odrażającej gęby Sirgi tak blisko własnej twarzy sprawiły, że poczuł się najnieszczęśliwszym z ludzi.

– Jestem głodny. Chce mi się pić – powiedział szeptem, niczym wracający do przytomności chory.

To rozśmieszyło Sirgę.

– Przykro mi, księżulku, obawiam się, że zapomniałem przynieść ci podwieczorek. Mam nadzieję, że przynajmniej śpisz wygodnie, bo na łóżko chyba nie możesz narzekać, co?

Brat Darder ścisnął medalik ze świętym Michałem, który chował w prawej pięści.

– Oczywiście przyszedłeś tylko po to, by ze mnie kpić – prychnął, podnosząc się z siennika.

– Nie – odpowiedział Sirga – już mówiłem, że przyniosłem ci wiadomość, która powinna cię ucieszyć. Twój stryjek, ten, co był burmistrzem Palmy, nie żyje.

Poczuł, jak wiotczeje mu całe ciało. W głowie usłyszał głos: „Emili przyniesie wstyd tej rodzinie”.

– Rozstrzelali go – dodał Sirga. – Zrobili to faszyści, czyli twoi. Gratulacje, księżulku.

Nie mówiąc nic więcej, wstał z siennika, podszedł do metalowych drzwi, otworzył je i zamykając za sobą, trzasnął nimi z taką siłą, że w pustym pomieszczeniu zadudniło.

– Czeka! – zawołał brat Darder, ale Sirga już go nie

słuchał. Nikt go nie słuchał.

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po celi, z każdym krokiem coraz szybciej. Próbował sobie przypomnieć stryja, ale do głowy przychodziła mu tylko dziwaczna postać wymodelowana jakby z lodu, przezroczysta i połyskująca, pozbawiona kolorów, zapachu i głosu. Postać martwego stryja Emilego. Zamordowanego, tak jak brat Gendrau. Jego obydwaj ojcowie, obydwaj zabici, jeden przez jedną stronę, a drugi przez drugą. I jego rodzony ojciec, nieżyjący już od dawna, ale nie z przyczyny wojny, lecz egzystencji samej w sobie. Pionki zdjęte z szachownicy, laleczki niepotrzebne już w grze, którą Bóg Ojciec Stworzyciel urozmaica sobie czas.

A jego matka? Czy jeszcze żyje? Tak, to nawet dość prawdopodobne, koniec końców pośród największego chaosu prości ludzie mają zawsze największe szanse na przeżycie, a to dlatego, że najlepiej dostosowują się do każdej niedorzeczności i do braku sensu. „Jeśli Bóg tak chce...” – słyszał, jak szepce mu bardzo cicho prosto do ucha.

Ojciec Darder musiał przyznać, że oddałaby wszystko, by jeszcze raz usłyszeć z ust matki te słowa pełne rezygnacji, rezygnacji niemal zwierzęcej, które w innych czasach tak bardzo go drażniły. Tak, oddałby to, czego nie ma, by znaleźć się przy matce, uścisnąć ją i powiedzieć,

że też żyje, że będzie ją chronił i nie pozwoli, by stało się jej coś złego. Że jest już człowiekiem zdolnym samodzielnie podejmować decyzje i żaden opiekun nie musi czuwać nad jego przyszłością. On sam zajmie się sobą oraz swoją matką i nie zmieni postanowienia, choćby nawet świat wokół niego postanowił doprowadzić się do upadku i przeobrazić w obojętny, anonimowy krajobraz wypełniony gruzem i ruinami. „Jeśli Bóg tak chce...” – zapiszczałaaby jego pękata matka wiecznie niepewnym głosem.

Ale brat Darder nie wiedziałaby, co jej na to odpowiedzieć, ponieważ miał okazję zrozumieć, że Boże chęci nie mają większego znaczenia, niż truchło jakiegoś szczura ukradzione przez innego, żeby nie musieć się nim dzielić.

Wyjrzał przez okno i popatrzył na śmieci zebrane w stosy na dole, na ulicy. Był głodny i chciało mu się pić. Musiał się stąd wydostać.

– Już mogą panowie wejść. Don Aureli czeka na panów w gabinecie.

Sekretarka, dziewczyna o czerwonej twarzy, w wieku nie więcej niż dwudziestu pięciu lat, uśmiechnęła się do braci Lacunzy i Plany oraz do doradcy Émile’a Aragou, który trzymał na kolanach torbę z brązowej skóry i ścisnął ją obydwiema rękami. Trzej zakonnicy podnieśli się ze skajowych foteli i ruszyli za sekretarką przez korytarz

siedziby Wydziału Bezpieczeństwa i Oddziałów Milicji Robotniczej należącego do katalońskiej Generalitat. Dziewczyna posuwała się lekkim krokiem, jakby była baletnicą przygotowującą się do wykonania figury tanecznej. Kiedy stanęli przed drzwiami gabinetu, usłużnie zastukała w nie knykciami, a następnie delikatnie otworzyła.

– Dzień dobry i zapraszam, panowie – zawołał energicznie Aureli Fernández, podchodząc jednocześnie do trzech marystów i jowialnie ściskając im dłonie.

– To prawdziwa przyjemność widzieć panów ponownie – dodał kpiąco inny głos, dobiegający z głębi gabinetu. Wszyscy trzej rozpoznali go natychmiast: należał do Gila Porteli, rozpartego wygodnie w fotelu obitym beżowym aksamitem i palącego cygaro.

– Przykro mi, że nie mogę powiedzieć tego samego – odpowiedział wyzywająco brat Lacunza. Gil Portela otaksował go tylko wzrokiem z góry na dół, jakby brał z niego miarę.

Aureli Fernández uznał za konieczne wtrącić się do rozmowy.

– Niech się panowie nie martwią – powiedział, biorąc brata Lacunzę pod ramię pojednawczym gestem. – Wiem, że mieliście panowie... hmm... gorącą dyskusję podczas spotkania w Tostadero, ale teraz wszystko już pójdzie z górki.

– Nasi braciszczowie są bardzo zabawni – wtrącił się Gil Portela pełen niechęci.

– Nie nazwałbym tego, co wtedy zaszło, po prostu gorącą dyskusją – odpowiedział brat Lacunza, nie zwracając uwagi na Gila Portelę. I natychmiast dodał: – Co mogą nam panowie powiedzieć o bracie Darderze?

Aureli Fernández i Gil Portela wymienili szybkie spojrzenia.

– Znajduje się w bezpiecznym miejscu, cały i zdrowy – odpowiedział Fernández z pozorowaną obojętnością. – Zaraz o wszystkim pomówimy... Proszę usiąść.

Wskazał na sofę obitą tym samym beżowym aksamitem co fotel. Brat Lacunza pomyślał, że pomieszczenie umeblowano z przepychem równie dużym jak brak gustu, ale z kolei Aureli Fernández (don Aureli, jak go nazywała jego sekretarka) okazał się człowiekiem z natury przyjaznym, emanującym serdecznością, która zdawała się szczerą. Był dobrze ubrany, uśmiechał się chętnie i uprzejmie, a wszystkie jego gesty wskazywały na ugodowy charakter, promieniujący pewnością i zaufaniem. Począł, aż trzej maryści rozsiądą się wygodnie na sofie, zanim sam usiadł w skórzanym fotelu umieszczonym za wyjątkowo ogromnym biurkiem. Brat Lacunza zwrócił uwagę na dwie flagi ustawione na lewo od don Aurelego, jedna obok drugiej: senyerę[9] i czerwono-czarny sztandar. Aureli Fernández przebierał przez chwilę

palcami po biurku, a potem zaczął mówić:

– Sądzę, że możemy sobie darować wstępy. Panowie Escorza i Ordaz poinformowali mnie o wydarzeniach podczas spotkania w Tostadero oraz o warunkach, które tam wynegocjowano.

Starał się umniejszyć pozycję Manuela Escorzy i pokazać się przed marystami jako najwyższy zwierzchnik, z którym mogą załatwić swoje sprawy. Gil Portela obdarzył go krytycznym, ale też współczującym spojrzeniem. Tymczasem brat Plana wiercił się niespokojnie na swoim miejscu na sofie, a doradca ścisnął torbę z brązowej skóry jak rozbitek pośród oceanu. Brat Lacunza natomiast usiłował nie uronić ani jednego szczegółu z tego, co się działo.

– Z przyjemnością informuję panów – kontynuował Aureli Fernández – że Komitet Bezpieczeństwa FAI kilka dni temu przesłał mi oficjalną zgodę potwierdzającą przyjęcie waszej oferty.

Uśmiechnął się i rozłożył ręce jak czarodziej, który właśnie wyciągnął królika z kapelusza.

– Wspaniała wiadomość – wymruczał brat Lacunza.

– Och, nie muszą mi panowie dziękować – odpowiedział Aureli Fernández, przekrzywiając lekko głowę. – Ta sprawa ma wyjątkowe znaczenie dla każdej ze stron, jak panowie rozumieją...

– A pewnie – dorzucił Gil Portela ze swojego fotela,

buchając dookoła dymem. – Zwłaszcza dla was, braciszku. A jak podróż Francuzika, udała się? Byłoby lepiej, żeby wrócił z forszą. Nie myślcie sobie, że załatwienie mu wolnego przejścia przez Jonquerę, tak żeby nie zdarli z niego skóry, było łatwe...

Mówił prawdę. Rzeczywiście patrole z najwyższym trudem pojmowały, że duchowny ma pozwolenie na przejście przez granicę i wyjazd do Francji. Sądziło, że musiało być sfałszowane. Gil Portela musiał czuwać nad każdym ruchem doradcy Aragou, aby go nie rozstrzelano w żadnym z punktów kontrolnych.

– Łagodniejszym tonem, proszę – napomniał go Aureli Fernández, lecz Portela zdawał się zadowolony z rozwoju wypadków. – Jeśli nie mają panowie nic przeciw temu, przejdźmy teraz do szczegółów. Umówiona kwota to dwieście tysięcy franków francuskich. Czy zdołacie panowie ją uiścić?

Wszystkie spojrzenia skierowały się na doradcę, ten zaś, siedząc na samym skraju sofy, w jednej chwili skurczył się w sobie.

– Pie... pieniądze są, są tutaj – wydukał, podnosząc torbę z brązowej skóry trzęsącymi się rękami. – Wszystkie.

– Sprawdźmy – zawołał Gil Portela, wstając i wyciągając ręce po torbę.

– Jeszcze nie teraz – uciął brat Lacunza i chwycił za

ucha torby. – Najpierw chcemy zwrotu zakładnika. Gdzie jest brat Darder?

– Wydaje mi się, braciszku, że nie zrozumieliście, jak się załatwia takie sprawy – wycodził wściekły Gil Portela.

– Jeśli zamierza pan mierzyć do nas z pistoletu, muszę pana uprzedzić, że nie robi to na nas większego wrażenia. Już się przyzwyczailiśmy – rzucił nieustraszony brat Lacunza.

Gil Portela wyjął z ust cygaro i wysunął się do przodu, jakby zamierzał wstać.

– Mam już powyżej uszy tego głędzenia! – wybuchnął.

– Starczy – rozkazał Aureli Fernández i Gil Portela usiadł z niechęcią. – Brat Darder dołączy do panów w dniu ewakuacji. Cały i zdrowy, jak powiedziałem wcześniej. Ale dopiero w dniu ewakuacji, nie wcześniej. A teraz proszę przekazać nam pieniądze, panie...

– Aragou – dokończył zagadnięty marysta.

– Otóż to. Bardzo proszę, niech pan łaskawie przekaże torbę panu Gilowi Porteli, aby mógł sprawdzić jej zawartość.

– Niech się panowie tak nie spieszą – wtrącił się brat Lacunza. – Połowa teraz, połowa w dniu ewakuacji. Skoro nie mamy zakładnika, nie ma sensu, żebyśmy płacili teraz całą sumę.

Aureli Fernández zeszywniał na swoim miejscu za

biurkiem. Brat Plana zsiniał. A Gil Portela machnął pogardliwie ręką.

– Dwie trzecie teraz i reszta w dniu wyjazdu – odpowiedział w końcu Aureli Fernández, starając się nie tracić pewności siebie.

– Połowa i połowa – naciskał brat Lacunza.

– Nie radziłbym wam zbyt się upierać, braciszku – wtrącił Gil Portela z udawaną obojętnością. – Szczerze mówiąc, to wy macie więcej do stracenia, nie my.

Doradca przyciskał do siebie torbę z brązowej skóry jak dziecko tulące zabawkę. Brat Plana chwycił brata Lacunzę za ramię, jakby prosząc go, by ustąpił.

– Pan Gil Portela ma rację – potwierdził Aureli Fernández. – Panowie...

Brat Lacunza rozejrzał się wkoło i dostrzegł w oczach doradcy strach, a w spojrzeniu brata Plana niepokój.

– Zgoda, dwie trzecie teraz – ustąpił.

– Tak jest dużo lepiej. – Aureli Fernández ucieszył się i odetchnął. – Torbę proszę.

– Chwileczkę – przerwał znów marysta. – Bracie Émile’u, otwórzcie, proszę torbę i sami podzielcie pieniądze.

– A cóż to ma znaczyć? – zniecierpliwiał się Aureli Fernández.

Gil Portela prychnął, jakby przestało go to wszystko

obchodzić.

– Zróbcie to, proszę – polecił brat Lacunza.

Doradca otworzył zapięcia torby i zamek błyskawiczny, włożył rękę do środka i zaczął wyciągać pliki banknotów powiązanych gumkami. Poślinił palec wskazujący i kciuk i przeliczył pieniądze z biegłością doświadczonego bankiera. Podczas tej czynności nie podniósł głowy ani razu. Skończywszy, odłożył część banknotów, resztę natomiast schował z powrotem do torby i oddał ją w ręce brata Lacunzy. Ten zaś wstał i ruszył w stronę fotela Gila Porteli, któremu ją przekazał. Funkcjonariusz chwycił torbę obydwoma rękami, nie odrywając spojrzenia od kamiennej twarzy marysty.

– Niech pan sprawdzi, czy wszystko jest, jeśli ma pan ochotę – powiedział brat Lacunza.

– Nie ma potrzeby – stwierdził Aureli Fernández. – A pan niech usiądzie, proszę.

Brat Lacunza usłuchał. Kiedy już siedział, zwrócił się do doradcy:

– Czy coś jeszcze w związku z pieniędzmi, bracie?

– Tak – powiedział wystraszony doradca – pozostaje kwestia kontroli bankowej...

– Tym się panowie nie martwcie – uspokoił ich Aureli Fernández z ożywieniem. Zwrócił się do Gila Porteli: – Będziemy musieli zadzwonić do Ministerstwa, żeby załatwili wszystko najszybciej, jak to tylko możliwe,

dobrze?

– Mam mówić z Tarradellase?

Aureli Fernández skrzywił się z niezadowoleniem.

– Ależ nie, człowieku, gdzie tam. Radcę poinformuję sam – skłamał, ponieważ jego rozmówcą mógł być tylko Escorza. – Poza tym nie wspominaj jego nazwiska ani nie powołuj się na niego przy żadnej okazji, rozumiano?

– Zrozumiano, panie sekretarzu generalny, zrozumiano

– zakpił Gil Portela, ściskając torbę i kierując się do wyjścia. Zanim jednak wyszedł, zwrócił się do maryistów:

– Widzicie, braciszku, wszystko idzie jak po maśle.

Wychodząc, trzasnął drzwiami, zostawiając za sobą smugi dymu wiszące w powietrzu. Aureli Fernández odzyskał swój krzepiący uśmiech i rzekł:

– Proszę, niech panowie wybaczą mu maniery. Pan Gil Portela jest odrobinę porywczy, ale to dobry towarzysz.

– Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości – zgodził się brat Lacunza, który poczuł się swobodniej. – Czy mogę zapytać, jak zamierzają panowie zorganizować ewakuację?

Aureli Fernández znów zabębnił palcami o biurko, wystukując rytm jakiejś melodii.

– To nie jest panów problem – powiedział. – Całą logistyką zajmiemy się tutaj, w Wydziale Bezpieczeństwa. Potrzebujemy tylko, żebyście nam panowie powiedzieli, ilu panów w końcu jest, żebyśmy mogli obliczyć, ile

potrzeba nam ciężarówek, ile zapasów wody, jedzenia i tak dalej.

– Rozesłaliśmy zawiadomienia, żeby bracia mogli zdecydować, czy przyłączają się do wyjazdu czy nie. To niełatwe, ponieważ nasze zgromadzenie jest bardzo rozproszone i nie możemy zlokalizować niektórych osób. Ale, niezależnie od wszystkiego, za dwa dni od dzisiaj zamkniemy listę wyjeżdżających i podamy panu dokładną liczbę.

– Doskonale. W takim razie my, na podstawie informacji dochodzących z frontu, ustalimy najszybszą i najbezpieczniejszą trasę do Jonquery.

– Kiedy będą mogli wyjechać uczniowie i seminarzyści z Casa de les Avellanes? – zapytał doradca, któremu udało się odzyskać jaką taką równowagę ducha. – Znajdują się w pilnej potrzebie.

– Tak szybko, jak tylko rozwiążemy sprawę banków, sądzę, że za jakieś trzy, cztery dni, licząc od dzisiaj. W tym czasie towarzysz Gil Portela przygotowuje w trybie pilnym pozwolenia na wyjazd.

W gabinecie zapadła cisza, jakby każdy z czterech mężczyzn zagłębił się we własnych myślach. Brat Lacunza nie potrafił zapanować nad stopami, którymi bez przerwy ruszał, okazując zniecierpliwienie, doradca wbił spojrzenie w sztandar anarchistów, a brat Plana siedział z zamkniętymi ustami, niespodziewanie pobladył.

W końcu Aureli Fernández klasnął, uznając tym samym spotkanie za zakończone.

– Bardzo dobrze, panowie, wydaje się, że chwilowo nie mamy już o czym mówić...? Pozostaniemy w kontakcie przez najbliższe dni i postaramy się przeprowadzić wszystko tak szybko, jak się da. – Zamilkł na chwilę, wbił oczy w brata Lacunę i dodał: – Nie muszą się panowie niczego obawiać, wszystko będzie dobrze. Macie panowie na to moje słowo.

29 września 1936

Rozkaz Manuela Escorzy ze słórb bezpieczeństwa CNT-FAI

Akcja miała na celu przeprowadzenie rewizji i zatszymania w domu pszy ulicy Valencia nr 225 na podstawie doniesienia że sie tam ukrywają karliści.

Zatszymaliśmy właściciela domu adwokata Joaquin de bruguera de Sarriera, lat 52, zatszymaliśmy tesz innych kturzy sie ukrywali, Roberto Llanza de Bruguera, lat 17, adwokat Jose Benito de alas de Mateo, lat 52, adwokat Francisco Javier de alas, lat 55, ktury jest Markizem de Dou. O nim nasze patrole powiedziały że go śledziły od kąta uciek ze swojego domu pszy ulicy Baja de San Pedro nr 29 i 31 ktury został zajenty ubiegłego miesionca Lipca.

Nakazuje podrurz na cmentasz de moncada 7 zatszymanyh z koszar pszy San Elias. Spowrotem zabieżemy tych 4 do Fabryki cementu.

Manuel Escorza przeczytał ponownie spisany własnoręcznie nakaz aresztowania i rewizji i właśnie miał przybić pod nim swoją pieczętą. W tym momencie ktoś zastukał palcami w szybę drzwi prowadzących do gabinetu.

– Proszę – zawołał rozkojarzony.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Sirga z wyrazem zaaferowania na twarzy wyglądającej jak podziobana przez ptaki.

– Za waszym pozwoleniem, towarzyszu. – Zatrzymał się. – Mamy wiadomość z klasztoru. Od matki przełożonej.

– Masz ci los! – westchnął Manuel Escorza, odkładając pióro na biurko. – Co tym razem gryzie moją siostrzyczkę?

– W klasztorze miały miejsce dziwne zdarzenia. Matka przełożona prosi o spotkanie z wami, towarzyszu.

– Znowu? Ale co się stało?

– Chodzi o świnię, towarzyszu. Te dwa wieprzki, które kazaliście zawieźć do klasztoru. Dziś rano znaleziono je martwe. Jak się zdaje, zaatakowało je jakieś zwierzę. Chyba dzikie.

Oczy Manuela Escorzy pociemniały.

– To, co mówisz, Sirga, nie ma żadnego sensu.

– To samo ja pomyślałem, towarzyszu, ale matka przełożona zapewniała, że coś je zagryzło. Znalazły je

w zagrodzie, wykrwawione i z ranami na szyjach i łbach.

– Co z biskupem?

– Zapytałem. Jest cały i zdrowy, towarzyszu.

Escorza odetchnął.

– Zasadniczą sprawą jest dla nas dołożenie wszelkich starań, aby zapewnić bezpieczeństwo biskupowi. To rozkazy z samej góry. Chcą go wymienić na jakąś grubą rybę republikańską, więc jeśli coś mu się przytrafi, odczujemy to na własnej skórze aż za dobrze.

– Tak, towarzyszu. Pamiętam o tym.

Escorza kiwnął głową w sposób wskazujący na to, że myślenie sprawia mu niewymowny trud. W końcu odezwał się jakby sam do siebie:

– Nie ma takiej możliwości, żeby ktoś wszedł do klasztoru. To przecież bastion. Ktoś musiał być w środku. I chyba domyślał się kto.

– Brawo, towarzyszu – powiedział Sirga lizusowskim tonem.

– Powiedz matce przełożonej, że przyjdę się z nią zobaczyć dziś w nocy, teraz mamy robotę. Masz – wyciągnął w stronę Sirgi nakaz aresztowania – daj to Aurelemu Fernándezowi, niech go natychmiast uruchomi.

Siostra Concepció uznała, że znalazła formę kompozycji, która być może pozwoliłaby jej stworzyć przynajmniej osnowę dla *Stabat Mater*. Zlecenie biskupa Perugorrii stało się jej obsesją, było dla niej brzemieniem

zbyt ciężkim, dręczącym umysł i umartwiającym ciało jak włosiennica. A wszystko zaczęło iść jeszcze gorzej od tamtego momentu, kiedy znaleziono dwa martwe wieprzki i matka przełożona ukarała ją za opuszczenie celi bez pozwolenia. Teraz nie mogła z niej wychodzić, aż otrzyma nowy rozkaz, a pozostałe siostry miały zakaz wchodzenia do niej i rozmawiania z nią. Kiedy zostawiały jedzenie pod drzwiami, zawiadamiały nowicjuszkę kilkoma stuknięciami w drewno. Nic więcej. Trwało to już półtora dnia. Całkowita izolacja, w której towarzyszyły jej wyłącznie szelesty od czasu do czasu otaczające ją ze wszystkich stron, wzmagała tylko smutek spowodowany powierzonym jej zadaniem. Często przychodziła jej na myśl święta Eulalia pasąca swoje gąski wśród drzew Desert de Sarrià, które na początku były cyprysami, ale potem anioł zamienił je w palmy na znak, że dziewczynka została wybrana przez niebiosy. Wybrana na męki.

Im bardziej starała się skoncentrować na pracy, tym bardziej czuła się zagubiona, do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, czy przypadek nie ułatwiłby jej wymyślenia przynajmniej początku. Rozważała możliwość skomponowania muzyki do *Stabat Mater* w tonacji cis-moll – na podstawie sonaty *Księżycowej*. Miała świadomość, że byłby to wybór dość niezwykły, lecz właśnie z tego powodu jednocześnie pociągał ją i budził tym większe wątpliwości. Zastanawiała się także nad

kompozycją w tonacji durowej, którą Schubert – jak pamiętała z lekcji mistrza Milleta – opisywał jako najodpowiedniejszą do wyrażania młodzieńczej radości i wiary w Boga, czego, jak zakładała, spodziewał się po niej Jego Ekscelencja. Ale jaką to młodzieńczą radość mogłaby odczuwać, a tym bardziej zawrzeć w swoim utworze, skoro pozostaje zamknięta i odcięta od ludzi, jakby była odizolowana w twierdzy?

Ponieważ nie czuła się na siłach samodzielnie dokonać wyboru, postanowiła ponownie nie zastosować się do poleceń matki przełożonej. Miała zakaz opuszczania celi, ale co dziwne, zostawiono jej klucz, tak jakby matka przełożona chciała ją poddać próbie. Teraz siostra Concepció zdecydowała wykorzystać tę próbę na swoją korzyść. Pójdzie do sali kapitulnej i skorzysta ze sposobu z wazami. Jeśli wyjmie fasolę, użyje gamy cis-moll, a jeśli migdał – gamy durowej. Kiedy już rozwiąże pierwszy dylemat, być może uda się jej odkryć nic, a ta z kolei pozwoli jej stworzyć osnowę, w której ramy ujmie słowa Jacopone da Todi.

Odczekała, aż mniszki skończą odmawiać komplety, i około jedenastej, kiedy cały klasztor już spał, otworzyła drzwi i wysunęła się po cichu na korytarz. Po omacku zeszała po schodach, przeszła przez refektarz, przez wyjście dostała się do ogrodu i stamtąd pospieszyła w kierunku wirydarza. Przechodząc obok zagrody dla

święń, poczuła przebiegający jej po plecach dreszcz i wspomnienie mdłości. Na zewnątrz świecił księżyc w pełni i noc była jasna i przyjemna, jakby wojna skończyła się już dawno temu. Przechadzające się leniwie po wirydarzu koty odwróciły się na chwilę, by popatrzeć na siostrę Concepció obojętnym wzrokiem.

Wielkie drzwi wejściowe do kapitułarza zamykały się na klucz, ale bez najmniejszej trudności można było wsunąć chudą i bladą rękę pomiędzy listwy żaluzji w oknie wychodzącym na wirydarz i wyciągnąć zasuwę palcami. Dziewczynka wdrapała się na parapet, wskoczyła do środka i dokładnie zamknęła za sobą okno. Promienie księżyca wpadające przez żaluzję pozwoliły jej przyzwyczaić wzrok do ciemności: wielki stół na środku pomieszczenia przypominał wyglądem śpiące zwierzę. Ominęła go i podeszła prosto do oszklonej gabloty, gdzie trzymano parę waz z czarnej gliny. Otworzyła ją i wyjęła to samo naczynie co matka przełożona tamtego dnia. W środku coś było i sprawdziła palcami, czy to rzeczywiście fasola i migdał, które miały jej pomóc wybrać tonację do *Stabat Mater*.

Nagle usłyszała zgrzyt w drzwiach do sali kapitułnej. To musiała być matka przełożona, bo jedynie ona miała do niej klucze. Dziewczynka czuła, jak serce podchodzi jej do gardła, kiedy najszybciej, jak tylko umiała, wstawiała z powrotem do gabloty wazę – z migdałem i fasolą

umieszczonymi jak należy w środku – zamykała drzwiczki i miotła się w popłochu, szukając kryjówki. Ale znalazła wyłącznie jedną: pod długim, ciemnym i surowym stołem na środku sali.

Skuliła się pod nim jak pies przy rozpalonym kominku i stamtąd patrzyła, z głową niemal przy posadzce, na drzwi, które otworzyły się powoli bez najmniejszego szmeru ani skrzypnięcia, za to z wielkim dostojeństwem. Rzeczywiście weszła przez nie matka przełożona. Siostra Concepció widziała dół jej czarnego habitu okolonego fioletową taśmą oraz charakterystyczne buty, również czarne, ale nadspodziewanie małe jak na kobietę jej postury. Matka przełożona nie przyszła sama. Za nią nowicjuszka ujrzała kolejne buty, niekształtne, wyglansowane i podniesione dzięki koturnom ogromnych rozmiarów. Buty te przemieszczały się, szurając po płytkach posadzki zgodnie z rytmem wyznaczanym przez parę drewnianych kul. Siostrze Concepció, skulonej i umierającej ze strachu pod stołem, przyszło do głowy, że to mogłyby być stopy świętej Eulalii po tym, jak zakończyły się jej męczarnie; próbowała jednak uspokoić się myślą, że musiały raczej należeć do jakiegoś mężczyzny. Mężczyzny, którego nigdy w życiu nie widziała. Może to właśnie on zabił świnię ostatniej nocy?

Drobne stopy matki przełożonej i przerażające kopyta obcego przybliżyły się w ciszy do stołu. Siostra

Concepció zobaczyła, że jedno z krzesel się odsuwa, i usłyszała głos matki przełożonej.

– Usiądź, proszę – powiedziała bardzo cicho.

Słyszała, jak obcy sapie, przeprowadzając wszystkie czynności związane z siadaniem, które jak zgadywała, musiały być dla niego dość skomplikowane. Krzesło zaskrzypiało niczym łamiąca się gałąź, kiedy nareszcie ciało mężczyzny umościło się na siedzisku. Potem matka przełożona obesła stół, wysunęła następne krzesło i usiadła naprzeciw obcego. Teraz zarówno jej nóżki, jak i nożyska mężczyzny poruszały się po posadzce ledwo kilka centymetrów od głowy siostry Concepció, która mogła również widzieć jasne drewno kul opartych o brzeg stołu. Bała się, że wyda ją własny oddech, dlatego wstrzymała powietrze i starała się oddychać tylko przez nos. Nie licząc krótkich dreszczy przebiegających jej ciało z góry na dół, nowicjuszka ani trochę nie musiała się wysilać, by pozostać w bezruchu. Sparaliżował ją strach.

Milczenie trwało jeszcze przez chwilę, która wydawała się siostrze Concepció wiecznością. Wreszcie usłyszała głos:

– No i? Czego teraz ode mnie chcesz, siostrzyczko?

Tyle że w zasadzie nie był to głos, przypominał raczej zgrzytanie, jakby obcy mówił, pocierając dolnymi zębami o górne, a towarzyszył temu dźwięk podobny do bulgotania, więc zdawało się, że mężczyzna ma usta pełne

piany. Siostra Concepció nigdy nie słyszała czegoś podobnego i równie odpychającego.

– Wiesz przecież, Manuel. Chcę, żebyś go stąd zabrał. Nie może tu dłużej zostać – odpowiedziała po kilku sekundach matka przełożona, starając się prowadzić rozmowę po cichu, lecz nieskutecznie, ponieważ obcy mówił nadmiernie wysokim tonem.

Znowu nastąpiło kilka sekund ciszy. Potem znowu usłyszała zgrzytanie.

– Zawsze była z ciebie straszna nudziara, siostrzyczko – burknął, a po sali kapitulnej rozniosło się ciche echo. – O co chodzi? A może nie zrozumiałaś mnie ostatnim razem? Myślałem, że wyrażam się wystarczająco jasno.

– Proszę cię, Manuel.

– Zabiorę go, kiedy przyjdzie na to odpowiedni moment. I to ja go wybiorę. Nie ma potrzeby, żebyś dłużej nalegała.

– Ten człowiek nie jest zdrowy, Manuel. Ściągnie na nas poważne kłopoty. Tak po prawdzie, to już je ściągnął.

Siostra Concepció usłyszała odgłos przypominający pęknięcie baniek i uznała, że musi to być śmiech obcego.

– Co tym razem zrobił? – zagrział pełnym niechęci tonem. – Może Jego Ekscelencja obławuje siostrzyczki za konfesjonałem?

Drobne stopy matki przełożonej zaczęły się ruszać, jakby zyskały własne życie, i siostra Concepció musiała

się położyć, żeby nie trafiły w jej ciało. Wciągnęła zapas powietrza i próbowała odmówić zdrowaśkę w intencji, by jej nie odkryto.

– Już ci wyjaśniłam przez telefon, co się zdarzyło ze świniami. Dlatego prosiłam, żebyś przyjechał. Wiesz, że staram ci się nie naprzykrzać.

– Chcesz powiedzieć, że nasz ksiądz biskup załatwił gołymi zębami dwa tłuste wieprzki, siostrzyczko? – Intonacja wskazywała, że obcego coraz bardziej ta rozmowa bawiła.

– Możesz sobie kpić, ile zechcesz, ale nie znajduję lepszego wyjaśnienia. Nie znalazłyśmy żadnych śladów zwierzęcia, a przecież to niemożliwe, żeby ktoś z zewnątrz wszedł do klasztoru.

– Macie teraz post? Może któraś z siostrzyczek nie najadła się przy kolacji...

– Poza tym – mówiła matka przełożona, nie zwracając uwagi na kpiny – jest jeszcze problem nowicjuszki, o którym już ci mówiłam. Musiałam zakazać jej rozmów i wychodzenia z celi. Ale na wszelki wypadek kazałam jej zostawić klucz, w razie gdyby musiała uciekać. On ciągle za nią chodzi i nawet się z tym nie kryje, to jakaś obsesja.

Siostra Concepció musiała przygryźć sobie policzki, żeby nie krzyknąć. Mężczyzna zaczął ordynarnie rechotać.

– Boję się, Manuel. Coś się stanie, jestem tego pewna. Proszę cię, nawet więcej, błagam raz jeszcze, zabierz tego

człowieka. Proszę.

Głos obcego stał się poważny.

– Chyba zapominasz, że w tych warunkach nie za bardzo masz prawo o cokolwiek prosić, siostrzyczko. Ani nawet błagać. Ty i te twoje fanatyczki nawet nie istniejecie. Pragnęłyście życia w zamknięciu i poświęcenia? No to je macie.

– Tak naprawdę – odpowiedziała matka przełożona ze źle ukrywaną wściekłością, jakiej siostra Concepció nigdy u niej nie słyszała – bez trudu można by było powiadomić całe miasto o tym, że tu jesteśmy. Że wielki Manuel Escorza zdradził swoje rewolucyjne ideały, aby ukryć biskupa Barcelony w klasztorze swojej siostry mniszki.

Cisza.

– Uważaj, co mówisz, siostrzyczko – wycedził obcy. – Nie kosztowałoby mnie wiele wysiłku przysłać wam tu chętnego do zabawy oddziału milicji. Wszystkie skończyłybyście jak te wasze mumie, co to je macie pochowane nie wiem gdzie, ale najpierw czekałaby was długa i niezbyt przyjemna rozrywka. Wliczając ciebie, biskupa i tę dziewczynę, którą musiałaś zamknąć w celi.

Znowu cisza. Nowicjuszka czuła wielkie, gorące łzy spływające jej po policzkach. Teraz już w ogóle nie oddychała i zaczęła mieć wrażenie, że piersi palą się jej od środka.

– Zrobimy co innego – dodał mężczyzna, skrzypiąc niczym paznokcie drapiące po tablicy. – Już ci powiedziałem, że nie wezmę biskupa, ale też nie chcę, żeby ktoś was powybił. Na razie. To, co mogę zrobić, to dać wam ochronę. Przyślę wam ni mniej, ni więcej, tylko naszą katalońską policję. Ostatecznie po coś jest pod moimi rozkazami. Jak ci się to podoba, siostrzyczko?

Matka przełożona nie odpowiedziała.

– Poza tym w ten sposób wyjaśnimy, co stało się ze świniami. Nie możesz na mnie narzekać, co? Chodź, pomóż mi wstać, siostrzyczko. Mam dużo rzeczy do zrobienia, a wojna nie będzie czekać.

Siostra Concepció wstrzymywała oddech dopóty, dopóki nie usłyszała klucza przekręcającego się w zamku. Wypuściła długo wstrzymywane powietrze i zaczęła łapać oddech wielkimi haustami, jak rozbitek walczący na granicy życia i śmierci.

– Założenie – tłumaczył ostrożnie sędzia Miquel Carbonissa – polega na wykorzystaniu cyklu, któremu podlega sama natura. Nieustannie z martwych ciał powstają nowe, żywe ciała. Ziemię użyźnia nawóz, którego dostarczają jej truchła zwierząt i ludzi, a także resztki drzew i innych roślin. Niech pan zakopie zwłoki, wysieje na nich ziarno i zaraz pan zobaczy, jak wyrasta na nich drzewo. W pewnym sensie to to samo, co my zrobiliśmy z Hadalym.

Słowa prawnika odbijały się od ścian groty i ginęły gdzieś, zmieszane z wilgocią pod naturalnym sklepieniem pomieszczenia. Gdy sędzia mówił, twarz słuchającego go komisarza Gregoriego Muñoza wyrażała czyste osłupienie i doktor Humbert Pellicer przyglądał się obydwu mężczyznom z pewnym zniecierpliwieniem. W odległości kilku kroków od nich, oświetlony blaskiem lampek, wyniosły i obojętny, stał wielki czarny koń.

– Tak naprawdę – wtrącił się doktor – sędzia zebrał tylko szczątki ludzkie i tchnął w nie oddech za pomocą maszyny elektrycznej. Oto życie, i to właśnie życie jest zwycięzcą w naszym eksperymencie.

– Życie... – powtórzył szeptem komisarz, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Patrzył zdumiony na zwierzę i nie miał odwagi, by się do niego zbliżyć.

– Niech się pan przekona na własne oczy – odezwał się zdecydowanie lekarz. – Szanowny sędzio, czy byłby pan tak dobry...

Sędzia Carbonissa podszedł do Hadaly'ego, wymacał ręką przełącznik na grzbiecie i go nacisnął. Oczy zwierzęcia natychmiast zabłyśły, koń stanął dęba i zaczął przebierać nogami. Ruszył zaraz powoli w stronę końca groty, ale niespodziewanie zmienił zamiar, skręcił i wrócił w pobliże sędziego. Posłusznie opuścił łeb i pozwolił, by człowiek go pogłaskał.

– Oto i ono! – zawołał doktor Pellicer z triumfalnym

uśmiechem, zwracając się do policjanta. – Czy to nie prawdziwy cud?

Komisarz Muñoz od oszołomienia przeszedł w zakłopotanie.

– Można wiedzieć, skąd się wzięła ta bestia? – zapytał z pewną dozą irytacji, którą zasłużył na karcące spojrzenie sędziego Carbonissy.

– No cóż, długo by opowiadać – odpowiedział doktor Pellicer, najwyraźniej oczarowany życiem. – Powiedzmy, że nasz przyjaciel, sędzia Carbonissa, wiele czasu poświęcił na studiowanie automatów i już od dawna rozważał pomysł zbudowania czegoś, co by wykraczało dużo dalej poza proste sztuczki mechaniczne i zawierało w swojej konstrukcji tkankę organiczną. Mnie zaś, jak pan już wie, zawód zobowiązuje do codziennego obcowania ze śmiercią, co wraz z upływem czasu zwykle budzi wstręt nawet u osób obdarzonych największym hartem ducha. Uznałem, że wniesienie skromnej pomocy do projektu sędziego Carbonissy będzie dobrym sposobem na zrównoważenie mojego nie najlepszego stanu...

– Ale przecież to potwór! – powtórzył Muñoz, wskazując konia palcem.

– Widzę, że bardzo pana niepokoi sama idea stworzenia monstrum – odpowiedział nauczycielskim tonem doktor Pellicer. – Jest to do pewnego stopnia zrozumiałe, ale naszym celem nie było naśladowanie

natury, lecz jej poprawienie. To się nazywa nauka, komisarzu. Praktyczne zastosowanie rozumowania to znak, że ludzkość zdolna jest do postępu. Niemniej z pewnością nasz przyjaciel sędzia będzie chciał dodać co nieco do tego wyjaśnienia.

Sędzia Carbonissa uśmiechnął się lekko.

– Nie zanudzajmy komisarza naszymi drobnymi rozważaniami, doktorze – powiedział z pewną uległością. – Pan zawiera całkowicie postępowi i nauce, niemal je pan sakralizuje, jakby były nową religią. Ja natomiast twierdzę tylko, że w napięciu pomiędzy życiem a śmiercią, w przejściu między jednym a drugim, istnieją siły, które wymykają się zdolności racjonalnego pojmowania. Właściwie jest to kwestia niuansu, ale niuansu zasadniczego, ponieważ mówimy o tym, co odróżnia bezwładne ciało od ciała ożywionego. Czyli o tym, co zwykle nazywa się duszą...

Komisarz prychnął niczym rozżłoszczony kot.

– Można wiedzieć, o czym panowie mówicie? – wybuchnął. – Na razie, zgodnie z tym, co sam mi pan powiedział – zwrócił się do doktora Pellicera – pański... – zawahał się – pańskie stworzenie zabiło człowieka. Nie wydaje mi się, żeby to był wielce obiecujący początek ani dla rozwoju ludzkości, ani dla zrozumienia duszy.

Doktor Pellicer zapalił niespiesznie papierosa, którego właśnie skręcił, i skrzywił się z frasunkiem.

– To był wypadek. Miedziane taśmy, na których wyryto układ ruchów Hadaly’ego, zawierają również instrukcje dotyczące samoobrony. Tamten człowiek musiał go w jakiś sposób wystraszyć i mamy tego smutne konsekwencje.

– Smutne? Ale jak panom mogło przyjść do głowy, żeby wypuścić to stworzenie samo, i to w samym centrum miasta i w samym środku bombardowania? – dociekał komisarz.

– Właśnie o to chodziło – odpowiedział delikatnie sędzia Carbonissa, podczas gdy Hadaly poruszał łbem, jakby go słuchał. – Chcieliśmy umieścić zdobycz ludzkości, dowód na wyższość życia nad śmiercią, a tym samym symbol nadziei, w scenerii przedstawiającej zniszczenie i barbarzyństwo, poprzez które nasz gatunek degraduje sam siebie. Bez wątpienia daliśmy się ponieść euforii, która ogarnęła nas po tym, jak zobaczyliśmy Hadaly’ego po raz pierwszy w ruchu, niemniej nie było naszym zamiarem wywołanie żadnego nieszczęścia. Wręcz przeciwnie.

Komisarz, blednąc coraz bardziej, wbił spojrzenie pełne nienawiści w papierosa należącego do doktora Pellicera.

– Postradaliście rozum, panowie – powiedział spokojnie. – Myślałem, że już widziałem wszystko, ale panowie to przebijacie. To całkowite szaleństwo.

– Dokładnie te słowa powiedziano Galileuszowi, kiedy obwieścił, że to Ziemia krąży wokół Słońca – przypomniał lekarz, nie przerywając palenia. – A także Paracelsusowi, gdy odkrył przyczyny syfilisu. I Servetowi, który opisał krążenie krwi przez płuca. Nie będę ukrywać, że przykro mi, że odbiera pan to w ten sposób, komisarzu. Sądziłem, że znajdziemy w panu pokrewnego ducha, ale najwyraźniej się pomyliłem.

– Wspaniale. Teraz na dodatek insynuuje mi pan, że jestem przygłupi, ponieważ nie skaczę z radości na widok doktora Frankensteina i jego garbatego pomocnika. I co zrobicie, nakażecie swojemu stworzeniu, żeby mnie też zabiło?

– Na miłość boską – westchnął doktor Pellicer z przygnębieniem.

Hadaly zarzął krótko, co zabrzmiało jak ostrzeżenie. Policjant z przestachem przypatrywał mu się kątem oka.

– Komisarzu – zaczął nieśmiało sędzia Carbonissa – nie musi się pan niczego obawiać ani z naszej strony, ani ze strony Hadaly’ego. Nie chcemy nikogo skrzywdzić. Jak już panu powiedziałem, naszym celem jest coś zupełnie odwrotnego. Mam nadzieję, że nie weźmie pan tego za nieskromność, ale sądzę, że zarówno doktora Pellicera, jak i mnie można by uznać za swego rodzaju filantropów.

– Niech pan to powie facetowi z kościoła Betlejem – odpowiedział z niechęcią komisarz. Potem przyszła mu do

głowy pewna myśl i zapytał: – Kim jesteście, panowie, masonami?

Sędzia Carbonissa i doktor Pellicer wymienili szybkie spojrzenia.

– Nie jest to rzecz, którą należałoby się teraz zajmować – powiedział lekarz. – Policja ma prawo i powinna zadawać pytania, ale to, jeśli mogę coś powiedzieć, jest nieistotne dla sprawy.

Muñoz podniósł rękę, by za chwilę pozwolić jej opaść, co miało oznaczać jego brak zainteresowania tematem.

– Komisarzu – odezwał się znów lekarz – niech pan pozwoli, że teraz ja zadam panu pytanie. Nie wydaje się panu, że prawdziwą potwornością jest nie to, co widzimy w tej jaskini, ale raczej to, co mamy na zewnątrz, na ulicach i w domach tego miasta, gdzie ludzie zabijają się nawzajem i gdzie wściekłość, nienawiść i złość zatrąły wszystkim dusze? Nie sądzi pan, że prawdziwym niebezpieczeństwem są rozszalałe bestie krążące między nami, a nie Hadaly, który jest jedynie owocem pracy dwóch ludzi chcących zbliżyć się nieco do zrozumienia tajemnicy życia?

Komisarz zamierzał odpowiedzieć, lecz się powstrzymał. Nie umiałby stwierdzić, czy rozumowanie sędziego wydawało mu się niedorzeczne, czy może raczej skłaniało go ku refleksji, ale jedno było pewne: nie miał

pojęcia, co powiedzieć.

Spojrzał na sędziego Carbonisę i doktora Pellicera i pomyślał, że może rzeczywiście ogarnęło ich szaleństwo, ale przecież nie dość, że tak naprawdę nie są niebezpieczni, to jeszcze w ich zachowaniu i sposobie wysławiania się dawało się zauważyć pewien dziwny rodzaj dobroci. I pomyślał też, że nie widział dobroci w nikim, odkąd umarła jego matka.

– Obym się nie pomylił – powiedział sam do siebie.

Rozgonił ręką papierosowy dym, odwrócił się plecami do sędziego i doktora i zrobił cztery kroki, stając naprzeciw Hadaly’ego. Koń spojrzał na niego tak, że przeszedł go dreszcz: co takiego było w tych oczach? Kto na niego spoglądał z głębi końskich źrenic, jakby prosząc o pomoc?

Pogładził pysk zwierzęcia i kiwnął głową. Następnie odwrócił się do obydwu mężczyzn i zapytał:

– Czy moglibyście panowie mi wyjaśnić, jak do tego doszliście?

– Ej. Ej.

– Hm?

– Obudź się. Otwórz oczy. Ej.

– Hm? Gdzie...?

– Tu jestem. Otwieraj oczy.

– Gdzie... jestem...?

– W celi. Obudź się, księżulku.

Brat Pau Darder przetaił oczy i je otworzył. Pierwszym, co zobaczył, była poznaczona bliznami twarz Spalonego, który patrzył na niego, stojąc obok siennika. Dalej, w jednym z kątów celi, znajdował się nocnik, obok, przy zakratowanej ścianie, tkwił ogarek przyklejony do podłogi. Zakonnik spał, ale nie pamiętał, żeby coś mu się śniło. Jakby był martwy.

– Dużo śpisz, księżulku – skarcił go szorstkim głosem Spalony.

Brat Darder zakrył oczy dłonią.

– Jestem głodny i chce mi się pić – powiedział powoli. – Kiedy śpię, przynajmniej o tym nie myślę.

Marysta uniósł trochę głowę i zobaczył, że na podłodze, obok siennika, znajdowały się dwa garnki, jeden pełen brązowawej wody, a drugi – rozgotowanej ciecierzycy. Chciał się do nich pochylić, ale poczuł nagle silne mdłości i musiał się zatrzymać w pół ruchu. Siedział na sienniku, nie mogąc się ruszyć. Było mu niedobrze i wirowało mu w głowie. Skurcz ścisnął mu żołądek, chciał zwymiotować, ale jedynie zakaszłał i z ust pociekły mu dwie strużki śliny.

– No proszę, co za przedstawienie – kpił Spalony. – Nie wstyd ci tak przyjmować gości, księżulku?

– Nie czuję się dobrze. Muszę stąd wyjść – wymruczał brat Darder, wycierając usta wierzchem dłoni.

Spalony uśmiechnął się.

– No pewnie, że tak, chłopie. Masz całkowitą rację, musisz wyjść. Ale najpierw powinieneś odzyskać siły. No, zjedz coś.

Spalony pochylił się i chwycił jedną ręką garnek z wodą, a drugą – z ciecierzycą. Bardzo powoli przesuwając je w stronę brata Dardera, dopóki nie znalazły się na wysokości jego udręczonej twarzy. Oparty plecami o ścianę zakonnik wyciągnął rękę po ciecierzycę, ale kiedy już prawie dotykał palcami garnka, Spalony odsunął go szybkim ruchem.

– Czego się spodziewasz, że podam ci jedzenie do łóżka i może jeszcze będę cię karmił? Od razu widać, że jesteś rozkapryszonym bachorem z dobrego domu, księżulku. Jeśli chcesz jedzenia, wstań i je sobie weź.

Spalony odwrócił się i zaniósł obydwie garnki na drugi koniec pomieszczenia. Ustawił je obok nocnika i rzucił okiem na jego zawartość.

– Jezu, kurwa, ja pierdolę, zgniłeś w środku czy jak, księżulku? Wiedziałeś, że srasz na zielono?

Brat Darder nie odpowiedział. Wciąż siedział na sienniku, oparty plecami o ceglana ścianę. Głowa zwisała mu na ramieniu.

– Nic nie mówisz? – zapytał Spalony, odwracając się w jego stronę. – No już, chodź. Weź sobie jedzonko.

Plamy na twarzy Spalonego ułożyły się w taki grymas, jakby patrzył prosto w słońce.

– Dlaczego mi to robisz? – zapytał ledwo słyszalnym głosem brat Darder.

Tym razem to Spalony nic nie odpowiedział. W dwóch susach znalazł się przy maryście, zamachnął się i uderzył go w twarz otwartą dłonią, tak że głowa zakonnika uderzyła o ścianę.

– Dlaczego co ci robię?! – wrzasnął wściekły. – Co to ci takiego robię, co, gówniany księżulku?

Chwycił go za ucho palcem wskazującym i kciukiem i pociągnął z taką brutalnością, że brat Darder upadł z siennika na podłogę. Leżąc, poczuł, jakby mu coś pękło wewnątrz czaszki.

– Wstawaj i idź po jedzenie! – rozkazał milicjant. – Idź po nie, do kurwy nędzy. Nie słyszysz, co do ciebie mówię?

Wczepiony jedną ręką w siennik, a drugą w ścianę, brat Darder z wielkim wysiłkiem uniósł się powoli do pozycji pionowej. Głowa mu pulsowała i czuł przeszywające ukłucia, jakby ktoś dźgał go szydłem, takie samo, jakiego używano do zszywania worków ze zbożem w magazynie jego ojca.

„Emili przyniesie wstyd tej rodzinie”.

Zrobił pierwszy krok i zachwiał się jak pijany. Przypomniał sobie szczury, które obserwował przez okno.

– Co ci, księżulku? Tak ci się przecież chciało jeść. Żarcie stoi trzy kroki od ciebie. Nie możesz zrobić trzech

kroków?

Trzy kroki. Musiało być ich więcej, bo zrobił już cztery. Do tego dręczył go potworny ból. Zrobił jeszcze jeden krok i jeszcze jeden. Jego ciałem wstrząsały dreszcze jak w gorączce. O tak, to z pewnością była gorączka.

Nagle znów znalazł się na podłodze. Stracił równowagę. Nie, to nie była zwykła utrata równowagi, to Spalony podłożył mu nogę.

– Tak to do niczego nie dojdziemy, księżulku! – wrzeszczał, stojąc nad nim. Brat Darder, gdy obrócił nieco głowę, mógł widzieć jego buty. – Czemu jesteś taki niezdarny? No już, chłopie, wstawaj i idź jeść!

Poczuł kolejne uderzenie, tym razem w kark, tak silne, że z rozmachu ucałował podłogę. Jeszcze jedna uprzejmość Spalonego – cios kantem dłoni.

– No i co się gapisz? Ruszaj się, nie mamy całego dnia, do kurwy nędzy!

W głowie mu dudniło, miał wrażenie, że zaraz mu pęknie i rozpadnie się na małe kawałeczki. Do tego teraz bolały go zęby, a w ustach czuł charakterystyczny posmak krwi. Chciał pomacać zęby językiem, ale nie mógł, zbyt go wszystko bolało.

– Lepiej będzie, jeśli się podniesiesz, księżulku, albo będę musiał naprawdę ci przyłożyć. Słyszysz?

Strach. Strach. Nie chciał, by go znowu bito. Nie

zniósłby ciosów tej bestii z przypaloną gębą. Podpierając się na dłoniach, podciągnął nogi i uklęknął. Jeszcze jeden wysiłek i udało mu się stanąć. Rozejrzał się wokół: przed nim, w odległości dwóch kroków, stały garnki. Widział też nocnik i jego nędzną zawartość, ale już nie czuł obrzydzenia, a jedynie ból i przerażenie. Nie znieś następných ciosów.

Zrobił pierwszy krok z większą pewnością, niż się spodziewał.

– Bardzo ładnie, księżulku. Już prawie jesteś. – Spalony chwycił go za ramię i mówił mu prosto do ucha.

Zatrzymał się na chwilę, ponieważ dreszcze znów zaczęły wstrząsać jego ciałem. Wziął głęboki oddech i połknął trochę krwi. Jeszcze tylko jeden krok.

Podniósł prawą nogę, ale zanim zdążył postawić ją z powrotem, poczuł, jak Spalony podcina go, uderzając kolanem w jego lewą nogę i popychając go. Uderzenie rzuciło nim o ścianę, upadając, wyciągnął wprawdzie rękę, ale nie udało mu się utrzymać równowagi i po raz kolejny się przewrócił. Leżał skulony, w pozycji niemal embrionalnej, a przed samym nosem miał garnki z wodą i ciecierzycą i nocnik.

– No i zobacz, jak pięknie doszedłeś, księżulku! Trzeba było tylko trochę cię popchnąć, co? Jedno małe popchnięcie i jesteś na miejscu. Nie jesteś głodny, księżulku? Nie chce ci się pić?

Brat Darder zakaszłał i wypluł krew. Musiał połamać sobie zęby, bo go okropnie bolały. Powoli wyprostował ciało, żeby sięgnąć po garnek z wodą. Musiał się napić, chociaż jeden łyk.

Ale nie udało mu się zrobić nawet tego. Nagle Spalony znalazł się tuż przy nim i kopniakiem przewrócił obydwa garnki i nocnik. Woda i ciecierzycyca poleciały we wszystkie strony, a z nimi zielona maź odchodów. Część spadła na ubranie i twarz brata Dardera, który spoglądał na to obojętnie.

– I coś ty najlepszego narobił, księżulku? Co za niezgraba z ciebie! – ryczał Spalony. – Zostałeś bez zarcia, co? Będziesz musiał poczekać, aż ci znowu przyniosę, ale naprawdę nie wiem, kiedy będę mógł to zrobić. Albo poczekaj, możesz przecież zjeść to, co masz, przyprawione twoim własnym gównem! A może nie lubisz jeść gówna, księżulku?

Pomyślał o szczurach.

Pomyślał o bracie Gendrau, leżącym bez życia obok chłopca. O kałuży krwi z obydwu ciał.

Nie umiałby wyjaśnić, skąd znalazł w sobie tyle siły. Był jak szmaciana laleczka, którą ktoś rusza tam i z powrotem. Jednym skokiem podniósł się z podłogi, rzucił na Spalonego i chwycił go w pasie. Milicjant nie spodziewał się tego, więc stracił równowagę i upadł na plecy.

– Skurwysynie! – wrzasnął, sięgając ręką do pasa po pistolet.

Ale nie zdążył. Brat Darder zamachnął się pięścią i z całej siły uderzył w krocze mężczyzny, który zawył i zgiął się wpół z bólu. Mimo to starał się sięgnąć po broń, lecz brat Darder chwycił go za rękę i wbił w nią zęby aż do krwi.

Spalony szarpnął się, próbując się wyrwać maryście i udało mu się podnieść na tyle, że mógł zacząć się bronić. Brat Darder jednak jakby się zwielokrotnił i był wszędzie, ruszał się we frenetycznym szale, jak podczas ataku wściekłości: oczy wyszły mu na wierzch, a usta miał pełne krwi. Rzucił się na strażnika, chwycił go jedną ręką za szyję, a drugą – z dzikością wypływającą z głębi duszy albo może z jakiegoś innego miejsca, o którego istnieniu we własnym wnętrzu do tej pory nie miał pojęcia – wymierzył kolejny cios w twarz poznaczoną plamami. A potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Coraz silniej i z coraz większą desperacją.

Obydwaj mężczyźni walczyli w milczeniu, w ciszy przerywanej jedynie odgłosami uderzeń amortyzowanych przez ciało. Spalony bronił się, uderzał brata Dardera pięściami w twarz, szyję i brzuch, wierzgając nogami, udawało mu się też czasem kopnąć go w plecy. Ale marysta znosił razy z obojętnością, jakby wreszcie stał się nieczuły na ból, i wymierzał ciosy szybko i bezwzględnie.

Bił i bił, jak jakaś maszyna, aż twarz Spalonego zamieniła się w bezkształtną, krwawą masę. W pewnej chwili usłyszał trzask łamanych kości i uśmiechnął się na myśl, że nie należały do niego.

W nagłym przeblysku zrozumiał przyjemność, jaką szcziury znajdowały w rozrywaniu na strzępy ciała zdychającego osobnika swojego gatunku.

Po jakimś czasie, kiedy Spalony znieruchomiał, a brat Darder poczuł, że zaczyna się męczyć, przestał bić. Dyszał jak przegrzany silnik starego rzęcha, ale przepełniało go uniesienie. Wtedy milicjant coś wycharczał, a to znaczyło, że jeszcze żył.

Brat Darder podniósł się z lekkością, jaka kilka minut wcześniej byłaby nie do pomyślenia, pochylił się, podłożył ręce pod plecy Spalonego i odwrócił go twarzą do podłogi. Milicjant wydawał gardłowe dźwięki i bełkotał coś od rzeczy, jak pijak w delirium. Brat Darder, wciąż sapiąc, usiadł mu na plecach i chwycił go za włosy, podniósł mu głowę. Potem, zebrawszy wszystkie siły, jakie mu jeszcze zostały, walnął nią o podłogę. Raz, potem drugi, i jeszcze raz. Przy siódmym uderzeniu usłyszał trzask pękającej czaszki podobny do odgłosu szkła upadającego na kamień. Ciałem Spalonego wstrząsnęły dwie, może trzy drgawki. I zamarło.

Brat Darder wstał i przez chwilę przyglądał się krwi wypływającej z roztrzaskanej głowy strażnika, która

mieszała się z breją z wody, ciecierzycy i gówna.

Pomyślał: „Jeśli Bóg tak chce...”.

Bóg nie uczynił nic, by temu zapobiec.

Przeszukał kieszenie milicyjnego munduru i zabrał trzydzieści peset w zmiętych banknotach oraz pęk kluczy. Otworzył drzwi więzienia, wyszedł na duszny korytarz o niskim suficie i zamknął celę, przekręcając klucz dwa razy.

6 Fragment wiersza Wiliama Blake’a *Kominiarczyk* w przekładzie Zygmunta Kubiaka.

7 Rdz 9,1, *Biblia Tysiąclecia*, Poznań–Warszawa 1980.

8 *Home dels nassos* – według katalońskiej tradycji człowiek z tyłoma nosami, ile dni ma rok. Pojawia się tylko 31 grudnia, to jest wtedy, kiedy rok ma tylko jeden, ostatni dzień, w związku z czym może być nim każdy, ponieważ ma tylko jeden nos (przyp. tłum.).

9 *Senyera* – katalońska flaga narodowa. Widnieją na niej cztery czerwone pasy na złotym tle (przyp. tłum.).

III

Stabat Mater

Pisał:

Dobrze mi tutaj.

Lubię chłód kaplicy, kiedy w środku nocy wszyscy już śpią i mogę być w niej sam i kontemplować wizerunki świętych.

Lubię zapach czystych ubrań, a kiedy rozwieszają je na tarasie przy pralni, podchodzę i wdycham powietrze przesiąknięte delikatnym zapachem mydła i łągu.

Lubię gotycką arkadę w galerii wirydarza. Jej prosty, charakterystyczny styl i elegancję.

Lubię usiąść w kącie drewnutni i czekać, aż pokażą się myszy. Bawi mnie polowanie na te gryzonie.

Dobrze mi tutaj. Chroniony przez mury, mam tu kryjówkę przed nieustającym zamętem wojny. W towarzystwie Ducha Świętego. W towarzystwie bestii.

Jestem biednym kominiarczykiem, który powstał z trumny i błądzi bez celu po mieście skąpanym we krwi.

Lubię też, gdy księżyc stoi wysoko na nocnym niebie, przechadzać się niepostrzeżenie po korytarzach pomiędzy celami, czuwając nad snem siostrzyczek.

Lubię ową dziewczynkę, która podczas bezsennych nocy, zamknięta w pokoju, usiłuje komponować muzykę sakralną. Próżny wysiłek zawsze jest piękny.

Klasztor to uporządkowany świat. Nie należy do panującego w mieście chaosu. To świat, w którym każdy

wykonuje powierzone mu zadanie, a robi to najlepiej, jak potrafi.

Łatwo by mi było przyzwycząić się do życia w miejscu takim jak to. W miejscu, gdzie mógłbym odpocząć, skryty w mroku. Gdzie dobrze by o mnie dbano.

Popełniłem czyn nierozważny.

Och, tak, to było bardzo nierozważne, ale czasami żaden wampir nie zdołałby powstrzymać pragnienia, chociażby starał się ze wszystkich sił. A wieprzki były pod ręką, spały, otulone ciepłym zapachem słomy i odchodów, na legowiskach ze skórek owoców i reszek ziemniaków.

Wystarczyło tylko ugryźć.

Z pierwszym poszło łatwo, bo zaskoczyłem go podczas najgłębszego snu. Z drugim było już gorzej, obudził go kwik pierwszego (kwiknął tylko raz, bo zaraz ukrećilem mu kark) i chciał się bronić. Świnia to dziki wojownik.

Ale ja wiem, jak sobie z nimi radzić. Minęło wiele czasu, od kiedy ostatni raz żywiłem się krwią zwierząt gospodarskich, pamiętałem jednak dobrze, co należy robić.

Zacząłem powoli zdejmować marynarkę, nie przestając wpatrywać się w oczy zwierzęcia, które obserwowało mnie, szukając najlepszego sposobu na atak.

Staliśmy tak dłuższą chwilę. Zdawało mi się, że

zdejmnowanie marynarki trwało całą wieczność.

W końcu wieprzek skoczył na mnie. Nawet nie skoczył, poleciał. Widziałem, jak spadał, ogromny, prosto na mnie.

Jednym ruchem owinąłem sobie marynarkę wokół lewej ręki i wystawiłem ją na ugryzienie wieprzka. To marynarka gruba jak żołnierski płaszcz, ale materiał jest miękki i przyjemny w dotyku.

Zwierzę wbiło kły w materiał i rozszarpało go, a zęby przebiły się do skóry i sięgnęły ciała.

Zacisnęło szczęki i gryzło z coraz większą siłą, w furii, charcząc i tocząc pianę.

Trzymałem rękę tak pewnie, jak tylko umiałem, ale niewiele brakowało, by oderwały mi ją szarpnięcia wieprzka.

Jednocześnie podniosłem drugą rękę z zaciśniętą pięścią i zebrawszy całą siłę, uderzyłem w wielki łeb.

Zobaczyłem, jak oczy wylażą mu z orbit i poczułem radość, słysząc chrupnięcie pękających kości czaszki.

Wieprzek zwolnił uścisk i puścił mnie, potem zrobił trzy czy cztery chwiejne kroki i upadł. Ciężki i znieruchomiący.

Odwinąłem z ręki marynarkę i popatrzyłem na krew spływającą z rany po ugryzieniu. Wypiłem ją łapczywie. Podeszedłem do wieprzka leżącego grzbietem w moją stronę i pochyliłem się, by sprawdzić, czy rzeczywiście

jest martwy.

Szybkim ruchem zarzuciłem sobie martwe zwierzę na plecy. W tej samej chwili dostrzegłem, że ma moją twarz.

Poczułem, jak wypełnia mnie gniew. Dopadłem do obydwu wieprzków i zacząłem je gryźć i wysysać z nich krew, aż uznałem, że mam już dość.

– Co za radość, komisarzu Muñoz.

Manuel Escorza wymówił te słowa z uprzejmością, która wydawała się niemal szczerą. Jednocześnie siedząc w fotelu w swoim gabinecie w Wydziale Bezpieczeństwa, wydawał się podobny do dziwacznej lalki, którą ktoś tam zostawił dla kawału. Siedział na środku, pomiędzy Aurelim Fernándezem i Antonim Ordazem, którzy również zajmowali miejsca na wyściełanych fotelach i nie odzywali się ani słowem. Wszyscy trzej tworzyli półokrąg. Naprzeciw, w odległości wskazującej na niezbyt przyjacielskie relacje, siedział komisarz Gregori Muñoz, który właśnie odpowiedział na pozdrowienie:

– Mnie również miło pana widzieć.

Escorza machnął niecierpliwie ręką, jakby odganiał muchę.

– Dajmy sobie spokój z mieszczańskim formalizmem.

Dla was, komisarzu, jestem towarzyszem.

– Jak pan sobie życzy, towarzyszu. To znaczy jak chcecie, towarzysz.

– Są dzisiaj z nami – wyjaśnił Escorza – towarzysz

Aureli Fernández, przewodniczący naszego Komitetu Milicji Antyfaszystowskich, oraz towarzysz Antoni Ordaz, który z nim pracuje.

– Bardzo mi miło, towarzysze – odpowiedział uprzejmie komisarz, który w każdej innej sytuacji setnie by się ubawił, słysząc podobne zdanie. Ale teraz nie było mu do śmiechu. Siedział napięty i zdenerwowany.

– Nam również – powiedział Aureli Fernández. Antoni Ordaz wymruczał pod nosem coś, czego nie dało się dosłyszeć.

Manuel Escorza zrobił długą przerwę, czekając, aż komisarz Muñoz wbije spojrzenie w podłogę. Wtedy się odezwał:

– Dziękuję, że zgodziliście się poświęcić nam chwilę swojego czasu, choć jak wszyscy dobrze wiemy, jest on niezwykle cenny. Tak naprawdę jedynym celem tego spotkania jest nawiązanie między nami bezpośrednich relacji. Zorganizowaliśmy całą serię spotkań z szefami barcelońskich komisariatów wyłącznie z tym zamiarem. Nie muszę chyba przypominać, że żyjemy w trudnych czasach, i sądzę, że potrzebujemy bliższych kontaktów pomiędzy Wydziałem i jego najbardziej wartościowymi ludźmi, którzy tak jak wy dzień w dzień pełnią służbę bezpośrednio na ulicach miasta.

– To bardzo miłe, towarzyszu – powiedział komisarz Muñoz, podnosząc wzrok.

– Przeglądałem wasze akta – Escorza otworzył trzymaną w rękach teczkę – i robią wielkie wrażenie. Na służbie ponad dwadzieścia lat, podczas których nieustannie pięliście się po szczeblach kariery. Do policji wstąpiliście jako szeregowy w roku 1914, ale już po dwóch latach dostaliście awans na kaprała, a ledwo rok później – na sierżanta. W roku 1920 objęliście stanowisko podinspektora, a po czterech latach – inspektora. W 1926 roku wygraliście konkurs na stanowisko intendenta, a w roku 1931 zostaliście wyznaczeni na komisarza przez Wydział Policji Wewnętrznej i funkcję tę sprawujecie do dzisiaj. W zasadzie w każdej chwili możecie spodziewać się awansu na wyższe stanowisko. Błyskotliwa kariera. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Gratuluję.

– Dziękuję, towarzyszu.

– Otrzymaliście nawet odznaczenia. Brązowy medal za zasługi dla policji za udział w zatrzymaniu szajki przestępczej organizującej szulerskie partie ruletki. Jej członkowie byli uzbrojeni i otworzyli ogień, ale obydwaj zabici w strzelaninie okazali się przestępcami. Żaden z policjantów nie został nawet ranny. A wszystko to dzięki waszym umiejętnościom i odwadze podczas prowadzenia akcji, komisarzu. Naraziliście własną skórę. Opłaciliście ten medal własnym potem.

– Schlebia mi pan, towarzyszu. To znaczy schlebiacie mi. Dziękuję raz jeszcze.

– Wyjątkowy człowiek, prawda? – Escorza zwrócił się z pytaniem do Fernándeza i Ordaza, którzy przytaknęli jednocześnie jak na komendę.

Muñoz przełknął ślinę. Przeczuwał, że nadciąga burza.

– To właśnie ludzi takich jak wy potrzebujemy, komisarzu – kontynuował Escorza. – To znaczy rewolucja potrzebuje. Inteligentnych i zdecydowanych. Nieprzekupnych i robotnych. Faszyci chcą nas zniszczyć, tak samo nas, jak ten kraj, ale my musimy być od nich lepsi i zniszczyć ich pierwsi. Zgadza się, komisarzu?

– Całkowicie, towarzyszu – odpowiedział bez wahania.

– Byłem tego pewien. Chciałem wam tylko zwrócić uwagę, że w każdym policyjnym rejonie musimy zachować szczególną uwagę, jeśli chodzi o nielegalne zgromadzenia. Nigdy nie wiadomo, gdzie można znaleźć buntowników przeciwko prawowitej władzy Republiki i rządu Generalitat. Podziemia, magazyny, opuszczone budynki, a nawet ruiny. Tego rodzaju rzeczy.

– Oczywiście, towarzyszu.

– Oczywiście. – Manuel Escorza zrobił kolejną pauzę, jakby usiłował sobie przypomnieć o czymś jeszcze. – Bardzo dobrze, komisarzu. To wszystko na dzisiaj. Powtarzam, że rozmowa z wami była prawdziwą przyjemnością. Oby tak dalej, komisarzu.

– Czy mogę odejść? – zapytał ze źle ukrywanym

zdumieniem.

– Wróćcie do waszego zadania, tam, gdzie jesteście potrzebni ojczyźnie – powiedział z emfazą Escorza, uśmiechając się przy tym w sposób, który zapewne miał wyrażać łagodność, ale tylko się zaślinił.

– W takim razie, towarzysze, jeśli panowie pozwolą. To znaczy za waszym...

Podniósł się z fotela, zasalutował zgodnie z regulaminem i skierował się do drzwi. Kiedy trzymał już rękę na klamce, usłyszał za swoimi plecami głos Manuela Escorzy:

– Komisarzu.

Wiedział, że nie mogło pójść aż tak dobrze.

– Tak, towarzyszu?

– Jedna sprawa, zapomniałem was o coś zapytać.

Komisarz cały zeszywniał. Zauważył, że Aureli Fernández i Antoni Ordaz przyglądali mu się ponuro.

– Chętnie odpowiem, jeśli będę mógł...

– Z pewnością – powiedział Escorza wyrozumiale. – Chodzi o sprawę podwójnego morderstwa popełnionego w jednym z pensjonatów przy ulicy Ferran. Zabito wtedy, jak mi się zdaje, chłopca i dorosłego. Kojarzycie tę sprawę, komisarzu?

– Oczywiście, towarzyszu.

– Oczywiście. Zdaje się również, że w waszym raporcie zapomnieliście zaznaczyć, że zarówno dorosły,

jak i trzej świadkowie zabezpieczenia zwłok byli duchownymi.

Skurwysyny. Sirga i wszyscy jego pokroju przemknęli jak błyskawica wśród najczarniejszych myśli komisarza.

– No i? Nie macie nic do powiedzenia? – dopytywał się Escorza.

– Zgadza się. Byli ubrani po cywilnemu i nie zauważyłem, że są duchownymi.

– Niemniej wiadomo mi, że kwestia ta została poruszona podczas rozmowy ze świadkami. Jesteście bystrzy, komisarzu, nic wam nie może umknąć.

Przygryzł górną wargę.

– Nie uważałem tej sprawy za wystarczająco ważną, żeby pisać o niej w raporcie.

– Oczywiście – odpowiedział Escorza takim tonem, jakby rozmawiał z dzieckiem – nie uważaliście jej za ważną. Jednak macie, komisarzu, świadomość, w jakim świecie żyjecie. A może się mylę?

– Nie. – Wiedział, że to już koniec. – Nie mylicie się, towarzyszu.

Stał wyprostowany, prawie na baczność. To był sąd. Prawdziwy sąd w trybie przyspieszonym. Przesunął wzrokiem po trzech mężczyznach. W oczach Aurelia Fernández dostrzegł groźbę odwetu, Antoni Ordaz spoglądał na niego z chęcią mordy, natomiast w spojrzeniu Manuela Escorzy nie umiał dojrzeć niczego.

– Każdemu może się zdarzyć, że popełni błąd, komisarzu – odezwał się powoli kaleka. – Ale w naszych czasach za błędy trzeba płacić. W przypadku waszego, nazwijmy to, potknięcia mam do wyboru dwie możliwości. Pierwsza to dopisanie zarzutu zdrady stanu do waszego nieskazitelnego życiorysu i nakazanie towarzyszom Aurelemu Fernándezowi i Antoniemu Ordazowi podjęcie odpowiednich czynności. Druga zaś to danie wam drugiej szansy i powierzenie misji specjalnej. Koniec końców dobrze wiemy, że ludzie tacy jak wy nie rodzą się na kamieniu i byłaby to wielka strata, gdybyśmy musieli... Cóż, nie trzeba wam tego chyba wyjaśniać, prawda? Pomóżcie mi wybrać, komisarzu. Która możliwość wydaje się wam lepsza?

Muñoz wciągnął głęboko powietrze przez nos i ledwo słyszalnym głosem odpowiedział:

– Powiedzcie, co mogę dla was zrobić, towarzyszu Escorza. I dla rewolucji.

Escorza obdarzył go swoim ohydny uśmiechem.

– Chodzi o niezwykle delikatną sprawę, komisarzu, w miejscu, które być może was zaskoczy. Klasztor kapucynek w Sarrià. Towarzysze Fernández i Ordaz przekażą wam szczegóły. A Sirga, chłopak z waszego komisariatu, wyjaśni wam całą resztę.

Ciągle nie wiedziała, jak zacząć. Wciąż nie mogła wybrać pomiędzy tonacją molową a durową. Wtargnięcie

matki przełożonej i obcego o imieniu Manuel do sali kapitulnej przeszkodziło jej w przeprowadzeniu próby z wazą, a w konsekwencji nie mogła powziąć żadnej decyzji. Ani fasola, ani migdał.

Ślęczała zatem dalej nad pieśnią Jacopone da Todi, która coraz bardziej przypominała niemożliwą do rozwiązania łamigłówkę. Tak naprawdę im dłużej ją studiowała i badała, tym mniej sensu w niej widziała, jakby słowa stopniowo, jedno po drugim, gasły i jakby ulatywał z nich sens. Niezrozumiałe znaczki na kawałku papieru. W końcu wracała zawsze do pierwszych wersów, jedyńych, które jeszcze przykuwały jej uwagę:

Stabat Mater dolorosa

iuxta crucem lacrimosa

dum pendeat Filius

Matka płacząca nad synem rozpiętym na krzyżu. Obraz powracał do niej raz za razem w wyobraźni, w snach i na jawie. To był jej temat, i właśnie o nim powinna opowiadać jej kompozycja. Ale jak?

Matka powiedziała jej, żeby się nie bała, nie ostrzegła jej jednak przed przerażającymi rzeczami, na jakie natknie się w życiu. Nawet tu, w klasztorze.

Kim był ów Manuel, który miał dość władzy, by decydować, czy zabrać biskupa Perugorrię z klasztoru czy też nie? I co miała na myśli matka przełożona, mówiąc, że biskup wciąż za nią chodził? Czego mógłby chcieć Jego

Ekscelencja od biednej nowicjuszki, takiej jak ona? I czego powinna się obawiać, jakiego to niebezpieczeństwa lękała się matka przełożona?

Dlaczego jej własna matka nie przyjechała jeszcze po nią i dlaczego nie odeszły razem daleko od Desert de Sarrià, gdzie trzynastoletnie dziewczynki skazywano na cierpienie i męki?

Próbowała skoncentrować się raz jeszcze na tekście *Stabat Mater*, ale potrafiła jedynie skupić uwagę na świetlistych rozbłyskach pojawiających się przed jej oczami jak fatamorgana. Musiało je spowodować wycieńczenie, albo może głód. Zdała sobie sprawę, że strach, kiedy jest wyjątkowo silny, potrafi zapanować nawet nad potrzebami ciała. Ale nie oznaczało to, tak czy siak, że nie musi jeść. Albo odpoczywać.

Podniosła się z podłogi, na której siedziała, i zauważyła, że zdrtwiałe nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Zrobiła kilka kroków i odetchnęła z ulgą, gdy poczuła, że przykry paraliż ustępuje powoli i w końcu znika. Położyła się potem na pryczy, trzeszczącej lekko pod ciężarem jej chudego ciała.

Kiedy podnosiła wzrok, z miejsca, gdzie leżała, widziała krucyfiks z zaskakującej perspektywy, która sprawiała, że Chrystus wyglądał jak gotowy do wystrzelenia pocisk. Ukrzyżowany syn i płacząca nad nim matka. Ostatnimi czasy była tak niespokojna, że nie

pamiętała nawet o wieczornej modlitwie. Przypomniła sobie, że od dzieciństwa modlitwa przynosiła jej ulgę i pociechę w chwilach przygnębienia. Ale jakich to trosk doświadczyła przed wkroczeniem do tego klasztoru pełnego ciemności? Pomyślała, że niezależnie od wszystkiego żaden moment nie jest zły, by prosić o odwagę Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego. Trzy osoby w jednej, tak jak zawsze tłumaczyła jej matka, choć ona nigdy do końca nie zrozumiała, co by to miało znaczyć. Jak trzy osoby mogłyby się znaleźć w jednej? Niemniej, nie zmieniając pozycji, tak jak leżała, zrobiła znak krzyża na czole, ustach i piersi i bezgłośnie, poruszając samymi ustami, zaczęła recytować:

Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
święć się imię Twoje,
przyjdź królestwo Twoje...

Przerwała. Usłyszała dźwięk, którego nie umiała rozpoznać, krótki, ledwo słyszalny szelest, jakby ktoś znajdujący się bardzo daleko próbował coś jej powiedzieć. Czyżby niewyraźne szmery towarzyszące jej przez cały czas były głosami i chciały z nią porozmawiać? Czy też może były to tylko wytwory jej skołowanej wyobraźni? Poczula, że teraz naprawdę potrzebuje pociechy, jaką daje modlitwa, i zacisnęła mocno powieki, tak jak to robiła, kiedy była mała i bała się, że pod jej łóżkiem chowa się człowiek z workiem. Recytowała

dalej:

Bądź wola Twoja
jako w niebie, tak i na ziemi.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

Znowu przeszkodził jej jakiś hałas, ale tym razem nie był to żaden szmer, ale wyraźny i czysty odgłos pukania do drzwi celi. Usłyszała, że ktoś stawia coś na podłodze, a następnie, że oddała się korytarzem, szurając stopami. Dostała jedzenie. Pomyślała, że na razie ojczenasz przyniosło pierwszy i natychmiastowy efekt. Rozbawiła ją ta myśl.

Wstała z pryczy, podeszła do drzwi i otworzyła je, przekręciwszy najpierw klucz w zamku. Popatrzyła na podłogę, ale nie było tam ani tacy z posiłkiem, ani dzbanka z wodą. Zamiast tego zobaczyła wielkie, czarne buty, a ponad butami – sutannę. Na samym zaś szczycie sutanny, powyżej białej koloratki, ujrzała głowę biskupa Perugorrii, który przyglądał się jej wodnistymi oczami, uśmiechając się krzywo.

Zamarła w drzwiach, niema, jakby skamieniała pod wpływem jakiejś niezwykle potężnej trucizny. Biskup odezwał się słodkim głosem:

– Moja droga, zastanawiałam się, czy może znajdziesz chwilę, żeby ze mną porozmawiać.

– Chcecie mi powiedzieć, że braciszek uciekł z celi po tym, jak załatwił milicjanta gołymi rękami? To mi

chcecie powiedzieć?

Manuel Escorza wstał od stołu i pomagając sobie kulami, podszedł do Sirgi tak blisko, że prawie go dotykał. Z tej odległości Sirga mógł widzieć banieczki piany rozpryskujące się Escorzy w ustach, kiedy mówił. Kątem oka dostrzegał również Aurelego Fernándeza, wyglądającego, jakby ktoś go spoliczkował, i Gila Portelę o wyrazie twarzy człowieka, który połknął gówno. Podrapał się w szczękę i po prostu odpowiedział:

– Dokładnie to, towarzyszu.

Manuel Escorza zmierzył go spojrzeniem z góry na dół, a oczy miał szeroko otwarte, jakby w jego gabinecie pojawiła się niespodziewanie jadowita żaba. Stał tak dłuższą chwilę, aż nagle roześmiał się prostackim i głośnym śmiechem. Potem wrócił do swojego fotela, skrzypiąc koturnami butów po posadzce, i zwałił się na niego jak kamień.

– Do chuja pana – prychnął.

– Kiedy, mówisz, znalazłeś zwłoki Spalonego? – zapytał Aureli Fernández z równie gorzkim wyrazem twarzy jak wcześniej.

– Najwyżej godzinę temu, towarzyszu Fernández. Tyle dokładnie czasu potrzebowałem, żeby zawiadomić oddział straży i rozkazać funkcjonariuszom, żeby przyszli zabrać ciało i pozbyli się go. Potem natychmiast przyszedłem poinformować was o wszystkim.

– A od jak dawna był martwy? – zapytał go Gil Portela ze zwykłą sobie niechęcią.

– Nie wiem, nie dotykałem go, ja... – Sirga włożył ręce w rudą czuprynę i zaczął drapać się w głowę. – Od wczorajszego wieczora, tak sędzę, bo wtedy wypadła jego kolej na służbie. Moja zaczynała się dzisiaj rano. I kiedy przyszedłem, znalazłem go tam, na podłodze.

– Z roztrzaskaną głową – powiedział Gil Portela.

– Z roztrzaskaną głową – potwierdził Sirga.

Aureli Fernández i Gil Portela wymienili spojrzenia. Fernández odezwał się:

– Trudno uwierzyć, że ktoś taki jak ten braciszek mógłby zrobić coś podobnego. W Tostadero ze strachu srał pod siebie.

– A Spalony nie miał zbyt wielu przyjaciół – dodał Gil Portela. – Był piekielnie zawzięty i nosił w sobie zbyt wiele urazy. Na pewno niejednen człowiek poprzysiągł mu to i owo.

– Ale kto by mógł to zrobić, jeśli nie on? – zapytał głupkowato Sirga. – Tylko on i ja mieliśmy klucz, tylko Spalony i ja wiedzieliśmy, że siedzi tam braciszek...

Zaległa głucha cisza. Aureli Fernández znów spojrzał na Gila Portelę, który spytał:

– Może ty?

Sirga zaczął gestykulować rękami, jakby dotknął przewodu elektrycznego.

– Ja?! Jak wam to mogło przyjść do głowy? – Na próżno szukał wzrokiem spojrzenia pozostałych trzech mężczyzn, wszyscy go unikali. – Jak możecie tak myśleć? Przecież ja... To jakaś bzdura! Bzdura! Powiedzcie, że tak nie myślicie!

Niewiele brakowało, a wybuchnąłby płaczem. Manuel Escorza wciągnął ostentacyjnie powietrze nosem, aż chrapnął, i powiedział:

– Zostawcie to, z pustego i Salomon... – Rozłożył ręce. – Pomyślmy, jak to naprawić. Fernández, jakieś wieści z Balaguera?

– Wszystko poszło dobrze. Wczoraj wyjechały autokary, żeby zabrać pierwszą grupę braciszków oraz samochód z Ordazem od nas i tym Lacunzą z ich strony. Z nimi pojechał też brat Plana, który zobowiązał się informować nas o wszystkim. Kiedy dotarli do klasztoru Bellpuig de les Avellanes, czekali już tam na nich seminarzyści, ustawieni w takim porządku, jakby się wybierali na procesję. Najtrudniej było zebrać nauczycieli, którzy poukrywali się w górach, ale wieśniacy rozpuścili wieści i ostatecznie pojawili się wszyscy.

– Ilu wyjechało? – zapytał Manuel Escorza, nie odwracając się nawet.

– Tylko seminarzyści – odpowiedział Gil Portela. – Tak jak ich prosiliśmy, ludzie z komitetu w Puigcerdà byli

wyjątkowo upierdliwi i pozwolili przejechać wyłącznie dzieciom. Ordaz zrobił mały teatr, że niby chce, żeby przepuścili całą grupę. Ale teraz wszyscy pełnoletni jadą autokarami do Barcelony z obietnicą, że będą mogli się zabrać z drugą turą ewakuacji. Z tego, co wiem, Lacunza jest tak wściekły, że bez kija nie podchodzi, ale i tak robi, co mu każemy. Jakkolwiek by było, chce przekroczyć granicę.

– Domyślam się – mruknął Manuel Escorza. – A co z Francuzem? Jak się miewa?

– Zatrzymany w Świętym Eliaszu – odparł Aureli Fernández. – Jak tylko Lacunza i Plana wyruszyli do Balagueru, wysłaliśmy do pensjonatu Capell patrol z nakazem rewizji i aresztowania. Mamy już brakujące pieniądze.

– To dlaczego jeszcze ich nie widziałem? – wrzasnął Manuel Escorza. – Przynieś mi je natychmiast. A Francuza zabierzcie na Arrabassadę i wlepcie mu kulkę w tył głowy. – Zawahał się. – Albo nie, wsadźcie go do La Model[10]. Może będziemy mogli wziąć za niego okup, jak już pozbędziemy się tych karaluchów.

Na twarzy Aurelego Fernándeza pojawił się wyraz dezaprobaty.

– Posłuchajcie, towarzyszu, cały czas nie sądzę, żeby trzeba było...

Przerwał mu Gil Portela:

– Baba z wozu, koniom lżej – powiedział, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Otóż to – przytaknął Manuel Escorza. – Poza tym zabójstwo Spalonego przyspieszyło sprawę. Zorganizujcie wcześniej drugą turę ewakuacji i zbierzcie wszystkich marystów, włączając tych, którzy jadą z Ordazem, w klasztorze kapucynek. Skoro mamy już pieniądze, lepiej będzie, jeśli skończymy z tym najszybciej, jak się da. Przy okazji na dobre zamkniemy siostrzyczkom klasztor, straciłem już cierpliwość. – Zamilkł na chwilę, być może po to, żeby pomyśleć o siostrze, a może po to, żeby odkaszląć. – Biskupa ukryjemy gdzie indziej, zastanowię się jeszcze gdzie. Im mniej kłopotów, tym lepiej, rozumiano?

– Zrozumiano – przytaknął Gil Portela z uśmiechem wyrażającym satysfakcję.

– Towarzyszu, posłuchajcie mnie, proszę – włączył się Aureli Fernández. – Naprawdę sądzicie, że trzeba...

– Zrozumiano? – powtórzył niezadowolony Manuel Escorza.

Fernández umilkł jak nożem uciął. Po chwili odezwał się:

– Zrozumiano, do chuja, rozumiano.

– Załatwcie wszystko i znajdźcie tego braciszka, co to nam uciekł. – Manuel Escorza wydawał kolejne rozkazy. – Doprowadźcie mi go do Świętego Eliasza i niech chłopcy

zrobią z nim, co chcą. Jeśli chodzi o ciebie...

Sirga trząsał się już od pewnej chwili. Manuel Escorza zmierzył go takim samym spojrzeniem jak wcześniej, przyglądając mu się z szeroko otwartymi oczami. Potem uśmiechnął się i powiedział:

– Ty masz do wykonania misję razem ze swoim komisarzem.

– To pułapka – powiedział komisarz Muñoz, odganiając od twarzy dym wydmuchiwany przez doktora Pellicera. – Zajęli klasztor kapucynek ze wszystkimi mniszkami w środku i wysyłają mnie tam, żebym zbadał nie wiem co w związku z jakimiś wieprzkami, które znaleźli zabite w niezbyt ładny sposób. Do tego zmuszają mnie, żebym tam poszedł z tym kretem Sirgą, który – jak przypuszczam – dostał odpowiednie rozkazy, żeby mnie załatwić. Wspaniała perspektywa, nie uważacie, panowie?

Znajdowali się w bibliotece domu sędziego Carbonissy, który zdążył już wyjąć swoje małe kieliszeczki i butelkę armaniaku. On sam i doktor Pellicer siedzieli wygodnie rozparci w fotelach obitych gutaperką, podczas gdy komisarz Muñoz mówił, przechadzając się powoli tam i z powrotem pomiędzy wysokimi regałami pełnymi książek, z rękami w kieszeniach spodni i poważnym wyrazem twarzy. Okna były przesłonięte ciężkimi zasłonami z aksamitu; za nimi dudniły grzmoty

jednej z ostatnich burz tego lata. „Lata, które było ciepłe – pomyślał komisarz Muñoz – z czystym niebem, pełne słonecznego światła rozbłyskującego z przepychem na ruinach bombardowanych domów i ciałach rozrzuconych po ulicach Barcelony”.

Jedna ze spraw wspomnianych przez komisarza wyrwała sędziego Carbonissę z zamyślenia, które czasami wydawało się jego drugą naturą. Przechylny do przodu zapytał:

– Czy wie pan, komisarzu, jak właściwie zostały zabite te zwierzęta?

– Proszę? – odpowiedział policjant, niepewny, czy dobrze zrozumiał pytanie.

– Wieprzki. Pytałem pana, czy zna pan szczegóły sprawy.

– Zdaje się, że zostały zaatakowane przez jakieś zwierzę. Znaleźli je w zagrodzie zagryzione na śmierć.

– Zagryzione. To interesujące... – powiedział z zadumą sędziego Carbonissa.

– Interesujące? Nie wiem, co by pan chciał, żebym mu powiedział. Wymówka równie dobra, jak każda inna, żeby wysłać mnie do klasztoru. Na pewno sam Escorza kazał je zabić, kto to może wiedzieć.

– W traktacie *De masticatione mortuorum* – powiedział sędzia, zwracając się do doktora Pellicera i udając, że nie słyszał tego, co powiedział komisarz –

Rehrius pisze, że w jednej ze wsi na Węgrzech, zwanej Kisilovą, pewnego dnia pojawił się niejaki Blagojević, pochowany ponad dwa miesiące wcześniej. Jego żona zeznała, że jej zmarły mąż przyszedł do domu i poprosił, aby dała mu buty, co tak ją przerażyło, że niedługo po tym zdarzeniu opuściła wioskę i już nigdy do niej nie wróciła. Blagojević objawiał się dalej mieszkańcom wsi Kisilova, a właściwie nie im, tylko ich zwierzętom gospodarskim. Nocami napadał na zagrody przy gospodarstwach i zabijał świnie, dusząc je gołymi rękami oraz rozgryzając im karki, a gdy już były martwe, wypijał z nich krew. W końcu proboszcz parafii wraz z urzędnikiem cesarskim kazali ekshumować zwłoki Blagojevicia, przebić mu piersi dobrze naostrzonym kołkiem i spalić na stosie, aż zostanie z niego sam popiół...

Komisarz Muñoz uniósł brwi.

– Na miłość boską – westchnął. – Mówię wam, że FAI postanowiła mnie zlikwidować, a pan wyjeżdża mi tu ze swoimi bajkami o wampirach?

Sędzia Carbonissa odwrócił się i spojrzał na komisarza, jakby ten właśnie wszedł. Doktor Pellicer powiedział:

– Nasz szanowny sędzia grzeszy czasami nadmiarem erudycji, komisarzu. – Sędzia wymruczał coś wypijając swój kieliszek armaniaku. – Jakkolwiek by było, biorąc również pod uwagę okoliczności zdarzenia, sędzia

wskazuje na pewną hipotezę, której nie powinien pan odrzucać bez zastanowienia. Proszę sobie przypomnieć, co panu mówiłem o zaburzeniach wampirycznych.

Komisarz potakiwał głową.

– Doskonale o tym pamiętam, doktorze, ale mam wrażenie, że nie zrozumieliście mnie panowie. To, o co się teraz martwię...

– To pańskie życie – dokończył lekarz. – Cóż, jest to całkowicie zrozumiałe. Czy uważa pan, komisarzu, że moglibyśmy panu w jakiś sposób pomóc? Jeśli tak, proszę nie wątpić w naszą gotowość. A może Hadaly mógłby się jakoś przydać?

Policjant zacisnął usta, a potem się uśmiechnął. W rzeczy samej, ci dwaj nie mogli mu się przydać w żaden sposób.

– Dziękuję panu, doktorze, ale szczerze mówiąc, nie wiem, jak w sytuacji takiej jak moja mógłby mi pomóc mechaniczny koń. Jakoś sobie poradzę...

– Mechaniczny, ale z organicznymi elementami – doprecyzował sędzia Carbonissa. – To pierwsza zasada życia, która...

– Tak, wszystko jedno – zniecierpliwził się komisarz. – Nie przyszedłem spotkać się z panami z tego powodu, ale żeby zostawić panom pewną rzecz, którą chciałbym, żebyście panowie przechowali.

Wyciągnął rękę z kieszeni. W dłoni trzymał coś

małego. Bączka. Podszedł do ustawionego na środku stolika i położył zabawkę obok kieliszków z alkoholem.

– Należał do chłopca z pensjonatu Capell – wyjaśnił.

– Na wszelki wypadek... No wiecie panowie, gdybym z tego nie wyszedł.

– *Memento mori*, co? – zapytał lekarz.

Komisarz próbował się uśmiechnąć.

– Tak, chyba tak – przyznał.

– To dla nas zaszczyt, że obdarza nas pan zaufaniem, komisarzu. Sędzia Carbonissa i ja również jesteśmy panu szczerze wdzięczni.

– Nie ma potrzeby – odpowiedział sucho policjant. – Właściwie nie wiem, do kogo mógłbym z tym pójść. Jeśli mnie zabiją, być może panom uda się pewnego dnia wyjaśnić, kto to zrobił. Szczerze mówiąc, nie mogę przestać o tym myśleć...

– Manducus... – wymruczał zaabsorbowany własnym kieliszkiem sędzia Carbonissa. Przerwał jednak i nie skończył już zdania.

Komisarz westchnął i schował ręce z powrotem do kieszeni. Rozbłysk oświetlił okna biblioteki, jakby ktoś włączył reflektor o wielkiej mocy. Natychmiast rozległ się potężny grzmot, a gwałtowna ulewa zaczęła chłostać szyby.

Znów ten sam ból brzucha.

– Dlaczego nie śpiewasz, moja droga? Robisz to

bardzo dobrze. Zaśpiewaj jeszcze, proszę.

Czuła ból w brzuchu, ciężkim, jakby miała w środku cegłę, jakby połknęła płytę posadzki i jakby ta jej ciążyła, uciskając ją teraz w dolnej części ciała. Czuła ten ucisk oraz zimno panujące w piwniczce, wilgotne, jakby zjełczałe, o stęchłym zapachu. Czuła też strach. Panicznie się bała. Drżała i nie miała pojęcia, co było przyczyną drżenia: zimno czy strach.

– Zaśpiewaj mi, moja droga. Tak ładnie śpiewałaś przed chwilą, dlaczego przestałaś? Śpiewaj dalej.

Rozejrzała się dokoła, wszędzie stały półki wypełnione produktami spożywczymi. Tu słonina, a tam znów masło, trochę dalej słoje z konfiturami – ze śliwek, brzoskwiń i czereśni – i drażek, z którego zwisały haki z nabitymi na nie wędzonymi dorszami. Siostra Concepció stała w samym rogu piwniczki, tam gdzie sufit był najniższy, a we wklęsłej ścianie znajdowała się nisza z posągami świętego Gauderyka, opiekuna rolników, ustawiona tam, by chronił zgromadzone zapasy. Naprzeciw niej, ubrany w strój do kostek niczym ogromna zjawa, siedział na beczce z solonymi śledziami Jego Ekscelencja Gabriel Perugorría. Na lewo od niego jedne schodki prowadziły w dół, do studni, a drugie, obok, wiodły w górę, na dziedziniec: ustawił się dokładnie na środku przejścia, żeby uniemożliwić jej ucieczkę dokądkolwiek. Patrzył na nią tym swoim spojrzeniem pełnym łez i prosił raz za

razem, żeby zaśpiewała. W końcu, zebrawszy z trudem całą odwagę, jaką jeszcze umiała z siebie wyłuskać, nowicjuszka zdołała zaintonować *Pie Jesu Domine* Faurégo, ale natychmiast poczuła, jak strach ściska jej gardło, jakby chwyciła ją dłoń o długich, zakrzywionych palcach, i musiała zamilknąć. A biskup wpatrywał się w nią uważnie i nie przestawał naciskać:

– Śpiewaj, słodkie stworzenie. Śpiewaj ku chwale naszej chrześcijańskiej wiary, przez którą Pan nasz Bóg Ojciec dał nam poznać, czym jest uniesienie i chwała. Śpiewaj, moja droga.

Przyszły jej na myśl radości[11] świętego Gauderyka, które jej matka zwykła śpiewać mniej więcej o tej porze roku, kiedy kończyło się lato, a ona musiała wracać do szkoły. Matka mawiała, że nauczyła się radości, kiedy była małą dziewczynką, taką, jaką ona jest teraz. Miały piękną melodię i pamiętała nawet początek:

*Legítim i antic Patró
de la nostra pagesia,
sant Galderic cada dia
vetlla el fruit i la llavor...*

Znów jednak musiała przerwać: bolał ją brzuch, miała ściśnięte gardło, głos, teraz ledwie słyszalny, zaczął się jej łamać. Do tego wezbrała w niej bezbrzeżna tęsknota za słodkim śpiewem matki. Dlaczego jeszcze po nią nie przyjechała? Nagle poczuła, że z oczu pociekły jej łzy,

wielkie i gorące jak krople dobrotycznego deszczu, i zaczęła głośno łkać, niczym mała dziewczynka, która zgubiła zabawkę. Oparła się plecami o pobieloną ścianę i pozwoliła, by jej ciało osunęło się aż na podłogę. Usiadła i dalej płakała, a im dłużej to trwało, tym bardziej oczy napełniały się jej łzami. Pomyślała, że lubi płakać, ponieważ czuła się wtedy tak, jakby zaraz miała przyjść jej matka, by objąć ją z czułością i uspokoić, i powiedzieć, że nie trzeba się bać.

– Można wiedzieć, co to ma znaczyć? To jest twoja wiara, dziecino? W taki to sposób wynosisz ku chwale swoją mękę?

Głos biskupa odbijał się echem od ścian piwniczki i zwielokrotniony docierał do uszu siostry Concepció. Podniosła głowę i zobaczyła, że podniósł się z beczki i teraz stoi przed nią, gestykułując jak kukiełka z jarmarku. Przestała płakać tak nagle, jak zaczęła. Biskup również się uspokoił i teraz wysuwał ku niej sękatą dłoń z nieodgadnionym uśmiechem na twarzy:

– Podnieś się, moja droga. Jest coś, co jednak możesz zrobić. Coś, co powinnaś zrobić dla mnie i ku chwale swojej zmarłej matki.

– Czy to Barcelona?

Brat Darder szedł, powtarzając wciąż to samo pytanie. Zamroczone i oszołomione włókł się na chwiejnych nogach pomiędzy ruinami przez okolice, której nie

rozpoznawał. Po wyjściu z więzienia znalazł się na opuszczonej drodze, gdzie nie było niczego oprócz czterech rozwalających się chałup i paska ziemi, piachu i żwiru, łączącego się z nieużytkiem pełnym śmieci i chwastów. Niebo, gęsto zasnuwane chmurami, miało brudną barwę.

Wybrał zejście w kierunku przeciwnym do nieużytku i ruszył. Po chwili dotarł do niskich, małych i ledwo trzymających się chałup. Nigdzie nie było żywej duszy, a domy wyglądały na opuszczone. Nie widział też żadnych znaków, które wskazywałyby na to, gdzie właściwie jest. „Może wywieźli mnie za miasto” – pomyślał. Wtedy zobaczył jakiegoś człowieka wspinającego się na rowerze pod górę. Przyspieszył kroku, by wyjść mu naprzeciw, i kiedy byli już na tej samej wysokości, zadał mu pytanie:

– Czy to Barcelona?

Rowerzysta odwrócił się, spojrzał na niego z pogardą i zaczął ostro pedałowac. Oddalił się w mgnieniu oka. Brat Darder stał na samym środku zbrocza, dysząc z trudem i spoglądając za malejącą figurką cyklisty.

Zabił człowieka.

W całym ciele czuł ciosy Spalonego, a żołądek skręcał mu się w bolesnych skurczach. Był głodny, spragniony i wyczerpany.

Przez dłuższą chwilę błądził po wyludnionych ulicach, aż dojrzał z daleka otwarty garaż, a w nim poruszające się

postacie ludzkie. Podszedł bliżej i zobaczył trzech mężczyzn w czapkach, pracujących nad silnikiem zainstalowanym na czymś w rodzaju tokarki. Kiedy zdali sobie sprawę z jego obecności, spojrzeli na niego z wrogością.

– Czy to Barcelona? – zapytał.

– Spadaj stąd, głupku – odpowiedział jeden z nich.

Odwrócił się i ruszył dalej. Zabił człowieka. Nogi niemal odmawiały mu posłuszeństwa, jakby były wypełnione rdzą i ołowiem.

Przypomniał sobie o czymś i zawrócił, żeby powiedzieć o tym mężczyznom w garażu. Wydawało mu się, że to szalenie ważne.

Nagle ogarnęła go ciemność, nie słyszał nawet stukotu głowy uderzającej o chodnik.

Kiedy odzyskał przytomność, wszystko rozmazywało mu się przed oczami, a usta miał pełne jakieś półpłynnej masy. Przeraziło go to, ale szybko sobie uświadomił, że to nic innego, jak jego własna ślina. Stopniowo też wracał mu wzrok i oczy zaczęły rozróżniać pojedyncze kształty.

– Czy to Barcelona?

Tak, to była Barcelona. Bez trudu rozpoznał miejsce na rogu placu Universitat i ulicy Aribau. Przed nim rozciągał się plac z płytami pokruszonymi przez wybuchy bomb i bar Tostadero, zamknięty, z na wpół zdemolowaną witryną. Wrócił więc tam, skąd wyszedł. Jak się zdaje,

mężczyźni z garażu ulitowali się nad nim i zabrali go aż do samego centrum. Nie wiedzieli przecież, co z nim zrobić, więc zostawili go na tym rogu, żeby leżał na chodniku jak jakiś pijak albo żebrak.

„...przyniesie wstyd tej rodzinie”.

Zauważył też, że ukradli mu buty. Albo może już ich nie miał, kiedy opuszczał celę? Nie wiedział tego na pewno, ale nogi miał brudne, jakby wymaczał je w błocie.

To mu przypomniało, że minęło już sporo czasu, od kiedy ostatni raz oglądał swoją twarz. Wstał i wsparty o mur, upewnił się, że nogi nie odmawiają mu posłuszeństwa pomimo nudności dławiących dech w piersi. Na przeciwległym rogu ulicy znajdował się zakład krawiecki. Lokal był nietknięty, lecz w otoczeniu budynków na wpół zburzonych albo poznaczonych kulami karabinów maszynowych sprawiał, że zakonnik czuł się nieswojo, i wywoływał w nim sprzeczne uczucia, coś pomiędzy sarkazmem a melancholią.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i podszedł do zakładu. Przyglądał się swojemu odbiciu w witrynie. Zasmucił go ten widok, ponieważ prezentował się jeszcze gorzej, niż się spodziewał. Sprawiał wrażenie wygłodniałego, miał chude i zmęczone ciało, wynędzniałą twarz, a policzki zarośnięte jak u wariata. Ubranie zwisało na nim jak smętne fałdy niepotrzebnej skóry, do tego był tak brudny, że bez trudu mógłby uchodzić za największego nędzarza

wśród bezdomnych. W całości pokrywały go plamy ekskrementów i krwi. Jego własnej oraz Spalonego.

Pomyślał, że odbicie, które widział przed sobą w szybie, nie należy do niego, ale raczej do przestępcy. Opuścił głowę i zamyślił się, jakby chciał oddać się modlitwie, ale brat Darder już się nie modlił. Myślał wyłącznie o jednym fakcie, z którym próbował się pogodzić: był przestępcą.

„Jeśli Bóg tak chce...”.

Zaczął iść. Minął plac Universitat i ruszył ulicą Tallers w kierunku Rambli. Na placu Castella zobaczył grupę mężczyzn i kobiet, którzy urządzili sobie coś w rodzaju biwaku: ubrani byli nędznie, ale pobudowali sobie schronienia z pustych skrzynek i części zrujnowanych budynków. Kiedy ich mijał, coś do niego zawołało – widać rozpoznali w nim swojego. Zignorował ich i poszedł dalej, na każdym kroku natykając się na trudne do zniesienia oznaki spustoszenia i nędzy. Urwane balkony, zbite szyby, leje po bombach pomiędzy fasadami budynków a linią chodnika. Niebo wciąż wyglądało niezbyt gościnnie, a tych kilka osób, które odważyły się wyjść na Ramblę, powłóczyło nogami, zwiesiwszy głowy. Nie patrzyli na siebie nawzajem. „Czy to Barcelona?” – zapytał po raz kolejny brat Darder. Ale pytał już odruchowo, ponieważ doskonale wiedział, że to była Barcelona. Albo raczej to, co z niej zostało: zjawia miasta.

Wspinał się ulicą Ferran, prosto do pensjonatu Capell. Budynek stał nienaruszony, ale drzwi zamknięto na klucz. Pociągnął więc za sznurek dzwonka i zaczął. Minutę, dwie, trzy. Bez odpowiedzi. Zadzwoił po raz kolejny, tym razem z większą siłą i bardziej nagłoco. Jakieś dziecko przeszło obok, przyglądając mu się z nieufnością. Potem usłyszał drżący, dochodzący zza drzwi kobiecy głos:

– Kto tam?

– Senyora Gertrudis? To ja... – zniżył głos, tak żeby nie mógł go usłyszeć nikt z przechodzących – to ja, brat Darder, pamięta mnie pani?

Cisza.

– Pamięta mnie pani, senyora Gertrudis? Pozwoli mi pani wejść? Proszę.

Klucz obrócił się w zamku, drzwi uchyliły się ociupinkę i pojawił się w nich czubek nosa senyory Gertrudis. Zmierzyła brata Dardera wzrokiem z góry na dół, a potem podniosła ręce do twarzy i zaczęła płakać. Nie spodziewał się tego i zalała go fala współczucia i sympatii do tej kobiety, ona zaś wciągnęła go niemal siłą do domu i uścisnęła w sposób, który w pewnym sensie wydał mu się nieodpowiedni, ale przyniósł obydwójgu pocieszenie. Senyora Gertrudis była osobą drobną i kościstą i pachniała przyjemnie talkiem. Nie wydawało się, żeby przeszkadzał jej odór, jaki wydzielало ubranie

brata Dardera.

Nie przestając trzymać kobiety w uścisku, rzucił okiem w głąb korytarza. Na schodach prowadzących do pokoi panowała ciemność.

– Wyjechali? – zapytał.

Senyora Gertrudis podniosła twarz moką od łez.

– Zabrali ich, proszę brata – załkała. – Parę godzin temu pojawił się brat Plana, a z nim kilku milicjantów z FAI, przyjechali autokarem. Brat Plana powiedział, że zaczyna się ewakuacja i że szukają rozproszonych po różnych miejscach braci, żeby zebrać wszystkich w klasztorze kapucynek w Sarriń. Wsiadli do autokaru i odjechali. A ja się okropnie boję, bo teraz powiedzą, że jestem kolaborantką. Myślicie, że przyjdą po mnie ci z FAI?

Brat Plana.

– U kapucynek, tak?

– Tak powiedzieli.

Puścił kobietę i obmył sobie ręce, jakby przygotowywał się do przeprowadzenia jakiejś ciężkiej pracy. Senyorze Gertrudis przyszła na myśl przypowieść o miłosiernym Samarytaninie.

– A może się umyjecie? Tacyście brudni i ubranie macie zniszczone... Mam trochę rzeczy po mężu, niech odpoczywa w pokoju, i buty jakieś też się znajdują. Tak sobie myślę, że mniej więcej waszego rozmiaru.

Brat Darder chciał się uśmiechnąć, ale mu się nie udało.

– Teraz, senyora Gertrudis, muszę już iść.

– Idziecie do nich? Powiedzcie, proszę, bratu Planie, niech wytłumaczy w FAI, że nie jestem żadną kolaborantką.

– Niech się pani nie martwi. Powiem mu.

Senyora Gertrudis ujęła dłoń brata Dardera między swoje.

– Niech Bóg ma was w opiece, bracie.

Tym razem udało mu się przywołać na usta uśmiech.

– Lepiej, żeby nie miał.

Otworzył drzwi i wyszedł. Piął się dalej w górę ulicy Ferran, aż dotarł do placu Sant Jaume, gdzie napotkał coś w rodzaju koncentracji sił patroli milicji robotniczej. Naliczył z tuzin milicjantów, czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Nie mógł zawrócić, bo już go zobaczyli. Szedł zatem powoli dalej, bosymi stopami depcząc płyty chodnika obtłuczone przez ogień karabinów maszynowych. Kiedy zrównał się z milicjantami, jeden z nich zawołał:

– Ej, gdzie to idziesz, ważniaku?

Brat Darder zatrzymał się i z mętnym spojrzeniem skierowanym w bliżej nieokreślony punkt, tak głośno, jak tylko potrafił, zawołał:

– Towarzysze, niech żyje rewolucja!

Milicjanci przyglądali mu się, jakby był jakimś egzotycznym zwierzęciem. On zaś myślał o stryjkę Emilim i o tym, co by powiedział, gdyby go zobaczył w takiej sytuacji. Po kilku sekundach któryś z milicjantów wybuchnął śmiechem, a za chwilę przyłączyli się pozostali. Brat Darder pomyślał, że bez wątpienia o wiele lepiej ich rozśmieszyć, niż zdenerwować. Byli nawet młodszy od niego, z pewnością żaden nie miał więcej niż dwadzieścia lat, i sprawiali wrażenie silnych, butnych i pięknych. Zrobiło mu się przykro na myśl, że mogą zginąć, trafieni kulami z karabinów na ulicy albo rozerwani przez włoską bombę. Ten, który zatrzymał go wcześniej, odezwał się znowu:

– Doskonale, ważniaku. Potrzeba nam właśnie takich ludzi jak ty. A może zaśpiewasz sobie z nami? Znasz *Na barykady*? No, dalej, podam ci melodię.

I zaczął:

Największym bogactwem jest wolność,
bronić jej trzeba z odwagą i dzielnie.

Wzniesć rewolucyjny sztandar...

Pozostali wciąż zrywali boki ze śmiechu, ale brat Darder, który, rzecz jasna, nie znał słów, spuścił głowę i wbił spojrzenie w palce swoich stóp. W końcu jakiś inny milicjant, dusząc się ze śmiechu, odezwał się do śpiewającego:

– Daj mu spokój, człowieku, nie widzisz, że to jakiś

wariat? – Odwrócił się do brata Dardera. – Ruszaj dalej, towarzyszu, i niech żyje rewolucja, bracie!

Brat Darder nie odpowiedział nic, oddalał się od oddziału patrolowego bez pośpiechu, nie odwracając się, nawet kiedy do jego uszu dobiegały obelgi albo salwy śmiechu milicjantów. Wolność, odwaga i dzielność – głosiły słowa piosenki. Wydały mu się jawnym szyderstwem, chociaż jeśli się zastanowić, to cała wojna była jedną wielką makabryczną drwiną. Bracia mordujący braci, rodzice donoszący na dzieci i dzieci, które zabijają same albo cudzymi rękami własnych rodziców, handlarze nędzy i stręczyciele śmierci, heroldzi występku i przekupnie deprawacji.

Przywołał w pamięci groteskową twarz brata Planę wchodzącego do jego pokoju w pensjonacie Capell, by prosić o wypowiedzianie, ponieważ porwał ukradkiem batat ze spiżarni. Brat Plana wtedy już na pewno dostał swoje trzydzieści srebrników. Wojna nie wykuwa bohaterów, a jedynie zdrajców. Wojna to wielki dziedziniec wypełniony brudami, po którym biegają szczury, pożerające się nawzajem żywcem.

Chciał pójść do klasztoru kapucynek, zdążyć na czas, żeby zdemaskować brata Planę, żeby zawstydzić go przed wszystkimi, zanim zostaną zabici. Czy udało im się w końcu wynegocjować ewakuację? Trudno mu było uwierzyć, że brat Lacunza i doradca Aragou mogli być aż

tak naiwni. Zapłacili tyle pieniędzy, żeby ich wszystkich zabrali na śmierć?

Chciał pójść do klasztoru kapucynek, ale zabłądził w Dzielnicy Gotyckiej i błąkał się po zaułkach niczym pokutująca dusza. Usta wciąż wypełniała mu ślina, a wnętrzności skręcały się z braku jedzenia i picia. Był wykończony i zastanawiał się, czy pójść prosto do Sarrià, czy paść na pierwszym lepszym rogu ulicy i poczekać na śmierć.

Towarzysze, niech żyje rewolucja.

Wszedł w jakąś wyjątkowo długą i wąską uliczkę, przy której stał budynek o szerokiej fasadzie z kamiennym portalem i wielkimi, drewnianymi wrotami, ponad którymi wisiała zatknięta flaga republikańska. Budynek urzędowy. „Kostnica”, przeczytał na tabliczce umieszczonej obok portalu. Widniały na niej jeszcze jakieś małe literki, ale tych nie zdołał już odcyfrować, bo oczy wciąż zasnuwała mu mgła. Uznał, że to odpowiednie miejsce.

Usiadł w drzwiach, głowę wsparł o wystający kamień i po kilku sekundach zasnął.

Nie umiałby powiedzieć, jak długo spał, może tylko chwilę. Ktoś go zbudził, potrząsając za ramię. Uchylił powieki i zobaczył pochylającego się nad nim potężnego mężczyznę w okularach. Dymił mu prosto w twarz papierosem, którego zapach przyprawiał go o mdłości.

– Jak tam? – spytał. – Czy pan nie jest tym marystą z pensjonatu Capell, tym z Majorki? Nazywam się Humbert Pellicer, jestem lekarzem, byłem tam przy zabezpieczeniu zwłok. Słyszysz mnie pan?

– Zabiłem człowieka – odpowiedział brat Darder, a głowa kiwała mu się z boku na bok.

– Czyli – powiedziała matka przełożona – mój brat nie powiedział panu nic o obecności w naszym klasztorze Jego Ekscelencji?

Komisarz Muñoz podniósł wysoko brwi na znak zdziwienia, a jego spojrzenie stało się twarde. Ta reakcja nie umknęła uwadze matki przełożonej, siedzącej naprzeciw przy wielkim stole w sali kapitulnej. Podobnie jak uwadze Sirgi, który stał wyprostowany przed masywnymi drzwiami sali, wbity w mundur Mossos – regionalnej policji. Chociaż trzeba przyznać, że komisarz nie miał też zamiaru niczego ukrywać. Zapytał:

– O jakim biskupie mówicie? I kto jest waszym bratem?

Matka przełożona przesłoniła ręką usta, jakby chciała zatrzymać wypowiedziane przed chwilą słowa.

– Boże mój. Pan nic nie wie. – Spuściła wzrok i przez chwilę wydawało się, że zaraz zacznie płakać.

Komisarz odwrócił się do Sirgi, który unikał jego spojrzenia i ze wszystkich sił starał się udawać obojętność.

– Co to znaczy, matko przełożona? – Stracił cierpliwość. – Czego takiego nie wiem?

Matka przełożona dotknęła palcami czoła.

– Moje świeckie imię to Isabel Escorza. Manuel Escorza jest moim bratem i nakazał mi ukryć w tym klasztorze Jego Ekszelencję monsenyora Gabriela Perugorrię, biskupa Barcelony, nie wiem, w jakim celu.

Komisarz zaniemówił. Pułapka była o wiele bardziej zabójcza, niż mógł to sobie wyobrazić. Wszedł ciemną nocą do baraku tylko po to, by odkryć, że jest nagi, a barak wypełniają szydzący z niego ludzie.

– Sirga, wy też nic o tym nie wiedzieliście? – zapytał, nie odwracając się.

– Nic... zupełnie nic, panie komisarzu... Ja...

– Oczywiście, że wiedział. – W głosie matki przełożonej dało się wyczuć wahanie pomiędzy wściekłością a zdziwieniem. – Ale jeśli on...

– Pierdolona mniszka! – krzyknął Sirga, sięgając ręką po pistolet.

Nie trwało to nawet sekundy. Strzał rozbrzmiał w kapitularku zwielokrotnionym echem, które zagłuszyło pisk matki przełożonej, ostry niczym czubek noża. Sirga upadł, opierając się plecami o jedno ze skrzydeł drzwiowych, jedną ręką trzymając się za brzuch, a drugą próbując wyjąć broń z kabury. Komisarz stał obok stołu, a w ręce trzymał pistolet z jeszcze dymiącą lufą.

– Jezu, kurwa, ja pierdołę – westchnął. – Co za gówno.

Odepchnął nogą krzesło, które przewrócił wcześniej, zrywając się na równe nogi, i podszedł do Sirgi, cały czas mierząc do niego z pistoletu. Tym razem matka przełożona pograżyła się w nieutulonym płaczu. Kiedy był już przy nim, zobaczył, że krew płynąca z rany przeciekała Sirdze między palcami przyciśniętymi do rozerwanego brzucha. W okolicy pasa funkcjonariusza, na płytach posadzki sali kapitulnej, uformowała się mała kałuża uryny.

– Panie komisarzu... – wyjęczał Sirga, a po policzkach spływały mu łzy.

– Zamknij się, durniu – uciął Muñoz.

– O mój Boże! O mój Boże! – łamiącym się głosem zawodziła matka przełożona. Policjant spojrział na nią.

– Wy się na tym znacie – powiedział – więc pomódlcie się za jego duszę.

Sirga drżał jak dziecko zbudzone z koszmaru. Komisarz uklęknął przy nim ostrożnie, aby nie pobrudzić się rozlaną na podłodze uryną, i objął go w taki sposób, że głowa chłopaka opierała się o jego ramię. Ruch sprawił Sirdze ból i komisarz usłyszał jego cichy jęk i bulgoczące rżenie dobiegające z gardła. Przyłożył mu lufę pistoletu do piersi, na wysokości serca. Tym razem wystrzał zabrzmiał głucho. Rozluźnił uścisk i wyprostował się, pozbawione życia ciało Sirgi leżało na posadzce.

– Cholerna wojna – powiedział niespodziewanie pełnym rezygnacji tonem, jakby narzekał na brzydką pogodę.

Odwrócił się do matki przełożonej. Popłakiwała przytulona do oszklonej gabloty z wazami z gliny, przyglądając mu się przerażonym wzrokiem.

– Oszczędziłem mu tylko cierpienia – powiedział komisarz. – Gdybym tego nie zrobił, umierałby jeszcze kilka godzin. Ogromnie mi przykro, że musieliście brać w tym wszystkim udział, ale nie było innego wyjścia: albo my, albo on.

– O mój Boże. O mój Boże... – powtarzała raz za razem kobieta, pogrążona bez reszty w swojej litanii.

Komisarz prychnął przez nos z irytacją.

– O tak, przydałaby się pomocna dłoń, ale nie wydaje się, żebyśmy mogli tu liczyć na wiele takich, razem z tym waszym Bogiem. Gdzie jest biskup?

Matka przełożona wzięła głęboki oddech i spróbowała zapanować nad sobą.

– Nie wiem – odpowiedziała, tłumiąc szloch. – Nie widziałam go od wczorajszego wieczora. W swojej celi albo może w kaplicy...

– Posłuchajcie mnie, proszę, senyora – przerwał jej komisarz. – Musimy opuścić to miejsce najszybciej, jak to tylko możliwe, zanim się tu zjawi oddział milicji wysłany przez waszego brata i zlikwiduje nas wszystkich. Nie

mamy czasu do stracenia. Proszę zebrać wszystkie siostry na dziedzińcu wirydarza, a ja pójde poszukać biskupa.

– Komisarzu – powiedziała matka przełożona, wycierając sobie twarz chusteczką – jest jeszcze jedna rzecz dotycząca Jego Ekscelencji, o której pan nie wie. On...

– Będziecie musieli wyjaśnić mi to później, kiedy się już stąd wydostaniemy. Musimy działać naprawdę szybko, rozumiecie mnie? Proszę zebrać siostry i spotkamy się za pięć minut na dziedzińcu wirydarza. Gdzie jest kaplica?

– Gdzie jest doradca Aragou? – zapytał brat Lacunza, poprawiając się na siedzeniu po kolejnym wstrząsie na wyboistej drodze. – A brat Darder? Co o nim wiadomo?

– Doradca jedzie drugim samochodem z towarzyszami Escorzą i Portelą – skłamał brat Plana, który siedział zaraz obok niego i wciąż pocierał spocone dłonie. – Brat Darder jest w jednym z autokarów. Spotkamy się wszyscy w klasztorze kapucynek. Czy tak, towarzysze?

– Właśnie tak, towarzyszu! – zawołał Antoni Ordaz z siedzenia kierowcy, wybuchając śmiechem. Bawiło go niezmiernie, że ów marysta, charłak i słabeusz, nazywa go towarzyszem. Aureli Fernández, który siedział obok niego, milczał. Wolałby, żeby sprawy potoczyły się inaczej, ale Escorza umiał tak sobie wszystko załatwić, że Tarradellas, a nawet sam Companys, patrzyli na całą operację przez palce. Musiał siedzieć cicho i wypełniać

rozkazy, nie miał innego wyboru. Ostatecznie wojna zawsze była wojną.

Siedzący z tyłu brat Lacunza nie wyglądał dobrze. Czuł się głupio przebrany za ochotnika z oddziałów patrolowych (skórzana kurtka, płócienne spodnie, milicyjna czapka, espadryle z czarną taśmą do wiązania i czerwono-czarna apaszka), a kiedy spoglądał na brata Planę, ubranego w identyczny sposób i stanowiącego groteskowy widok, czuł się jeszcze gorzej. Kogo chcieli oszukać? Każdy idiota by się domyślił, że nie są żadnymi anarchistami, ale Ordaz upierał się, że muszą się tak ubrać, żeby ułatwić procedury przy przekraczaniu granicy. Jak mówił, nie chciał, żeby powtórzyły się problemy z pierwszej ewakuacji. Bratem Lacunzą ciągle jeszcze wstrząsał gniew, kiedy o tym myślał, na dodatek coraz bardziej wątpił w szczerłość słów ludzi z FAI. Miał złe przeczucia i męczył go strach, że prowadzi stu siedemdziesięciu dwóch braci należących do zgromadzenia prosto w pułapkę, co wydawało się bardziej niż prawdopodobne. Zaraz jednak uspokajał się, myśląc o seminarzystach z Balagueru, którzy przecież wyjechali w pierwszej turze ewakuacji. Otrzymał wiadomości potwierdzające powrót chłopców do ich rodzin. Wyobrażał sobie uściski matek i łzy radości. I cieszył się, że wszystko się dla nich dobrze skończyło.

Samochód wjechał właśnie w ulicę Major de Sarrià,

a to oznaczało, że są już blisko klasztoru. Drugi samochód, ten, w którym podróżowali Manuel Escorza, Gil Portela i – zgodnie ze słowami brata Plany – doradca Aragou, powinien być już na miejscu. Za nimi ciągnęły autokary z zakonnikami: tymi, którym nie udało się przekroczyć granicy w pierwszej turze, ukrywającymi się w pensjonacie Capell oraz tymi, którzy w odpowiedzi na wezwanie przybyli z licznych miejscowości otaczających Barcelonę. Zbiorą ich wszystkich w klasztorze, sprawdzą listę, wsiądą z powrotem do autokarów i ruszą w kierunku Jonquery. Wszystko pójdzie dobrze. Wszystko pójdzie dobrze.

– Towarzyszu Fernández – odezwał się.

– Tak?

– Zrobili się z was świetni towarzysze, braciszku!

– Antoni Ordaz zaczął się znowu śmiać. – Chyba cała ta rewolucja zaczyna się wam podobać, co?

– Dość już tego, do chuja – uciął Aureli Fernández i Ordaz zamilkł jak niepyszny. – Mówcie, ojcze.

– Dał nam pan swoje słowo.

– Czyli?

– Wasze słowo, towarzyszu Fernández. Tamtego dnia, kiedy wam zapłaciliśmy, daliście nam swoje słowo, że wszystko pójdzie dobrze. Dajcie mi je teraz jeszcze raz.

Aureli Fernández wziął głęboki oddech. Z oczami wbitymi w maskę samochodu odpowiedział:

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym to robić. Jeśli daję słowo, to je daję, i tyle.

– Daliście nam słowo, a pierwsza ewakuacja nie poszła zgodnie z przewidzianym planem. Dajcie mi wasze słowo, że tym razem wszystko pójdzie dobrze.

Antoni Ordaz spojrzawszy kątem oka na Aurelego Fernándeza i zobaczywszy, że ten zaciska zęby. Potem odwrócił się i powiedział powoli:

– Wszystko pójdzie dobrze, ojcze. Po raz kolejny daję wam swoje słowo.

Brat Lacunza przytaknął ruchem głowy. Nie zauważył, że brat Plana odwrócił się i wgapiał w okno samochodu. Powyżej, na szczycie wzgórza, po którego zboczu się wspinali, widać już było mur otaczający teren klasztoru kapucynek z Desert de Sarrià. Dzień był jasny, a niebo czyste i bezchmurne po kilkudniowym deszczu.

– Nigdzie nie ma biskupa. Szukałem w celach, w refektarzu i w kaplicy, ale wszędzie pusto. Gdzie jeszcze mogę go znaleźć?

Komisarz Muñoz nadchodził korytarzem od strony refektarza i wyszedł właśnie na dziedziniec, gdzie już zgromadziły się siostry, posłuszne rozkazom matki przełożonej. Były tam siostra Ascensió o skórze pokrytej plamkami i siostra Presentació, uczepiona swojej laski, czyli obydwie stulatki. Siostry Benedicció, Dormicció i Visitació, emanujące łagodnością za sprawą wielkiej

tuszy, oraz siostra Encarnació, która przeczuwając jakieś nieszczęście, nerwowo przekładała między palcami paciorki różańca. Matka przełożona nie podała im żadnych wyjaśnień, ale wszystkie rozumiały, że dzieje się coś wyjątkowego, jak w dniu fałszywych zatrzymań i ekshumacji mumii. Komisarz spojrział na dwadzieścia siedem zakonnicy i zadał sobie pytanie, co powinien z nimi wszystkimi zrobić. Najpierw jednak należało koniecznie znaleźć biskupa Perugorrię.

Na twarzy matki przełożonej malowało się poczucie winy. Chwyciła komisarza pod ramię i odciągnęła go kilka kroków na bok.

– Nam też brakuje jednej osoby – powiedziała, ścisząc głos. – Siostry Concepció. To nowicjuszka, jeszcze dziewczynka, ma trzynaście lat.

– A można wiedzieć, dlaczego nie ma jej tutaj, tej siostry Concepció? – zapytał komisarz, również cicho, nie ukrywając jednak niezadowolenia. – Nie wiecie, gdzie może być?

Matka przełożona wypuściła głośno powietrze. Miało się wrażenie, że zaraz znów wybuchnie płaczem.

– Z Jego Ekszelencją, jak sądzę – wyszeptwała. – Chciałam to panu powiedzieć wcześniej.

Matka przełożona szeptała jeszcze kilka minut. Mniszki, nieruchome, wystawiły się na słońce, a twarz komisarza robiła się coraz bardziej czerwona, jakby ogień

zaczął przypalać mu stopy.

– Znajdę ich – obwieścił. – Wy poczekajcie tutaj z siostrami i bądźcie gotowe, gdyby trzeba było nagle uciekać. Nie bierzcie niczego, żadnych przedmiotów ani ubrań. Będziemy musieli poruszać się szybko.

Opuścił dziedziniec w pośpiechu, wielkimi krokami, niemal biegiem, zdecydowany sprawdzić cały teren. Obląkany biskup, który zajmował się prześladowaniem dziewczynek, jeszcze tego mu brakowało. Dotarł do zagrody dla świń i zajrzał do chlewu, nie było tam nikogo, ale zobaczył ściany pociemniałe od plam zwierzęcej krwi. Rzeczywiście zatem coś się tutaj zdarzyło. Pomyślał, że kiedy już się stąd wydostaną, przesłucha w tej sprawie matkę przełożoną. Z pewnością wysłanie tutaj jego samego oraz Sirgi było jedną z uprzejmości Manuela Escorzy w stosunku do siostry, ale jak się dobrze zastanowić, po co Escorza miałby zadawać sobie tyle trudu? Myśli komisarza gubiły się wśród domysłów i przypuszczeń, nie potrafił ich sensownie uporządkować.

Spojrzał na deskę z narzędziami ogrodowymi i zajrzał do kamiennego pieca, obawiając się, że mógłby w nim znaleźć szczątki siostry Concepció. Ale tam również niczego nie było. Z jakiegoś powodu nie potrafił odegnąć obrazu zamordowanego chłopca z pensjonatu Capell. Dotarł do pralni, lecz tam także nie znalazł niczego oprócz rozwieszzonego prania i kadzi z kostkami mydła.

Zawrócił, teraz już biegnąc. Musi ich znaleźć natychmiast. Przypomniawszy sobie łązy Sirgi, kiedy zrozumiał, że właśnie umiera. Biedny dureń. Muñoz nie po raz pierwszy zabił człowieka, ale to go ani trochę nie uspokajało. Czuł się źle. Brudny, zwyrodniały. Co by powiedziała jego matka, gdyby się o tym dowiedziała? Nie został funkcjonariuszem, żeby zabijać ludzi, ale po to, żeby pilnować, aby się sami nie zabijali. Ale z tego, co widział, nie dało się temu zapobiec. Czyżby w każdym człowieku tkwił morderca? Musi znaleźć biskupa i nowicjuszkę, zanim przybędą ludzie Escorzy, aby sprawdzić, czy Sirga wykonał dobrze swoją robotę.

Zszedł do drewnutni, jednak również tutaj nie było nikogo, tylko myszy uciekające w popłochy do swoich kryjówek za stosami drewna.

Już wiedział, co powinien zrobić. Wyjdzie stąd ze wszystkimi mniszkami, biskupem i całą resztą i zaprowadzi ich do parlamentu. Poprosi o ochronę rząd Generalitat, aż cała ta sprawa się wyjaśni. Trzeba będzie przejść przez miasto, a to nie będzie łatwe z tym owczym stadem, ale przynajmniej już wiedział, gdzie powinien się udać, aby ani on sam, ani mniszki nie zostali rozstrzelani gdzieś na wzgórzu Montjuïc albo na drodze Arrabassada.

Dotarł do drzwi piwniczki. Musiał się pochylić, żeby przez nie przejść. W dół prowadziły ciemne schody o nieregularnych stopniach. Nagle z ciemności dobiegł go

jakiś jęk, jakby skomlenie psa.

Wyjął pistolet i zszedł ostrożnie kilka stopni niżej, wstrzymując oddech. Dźwięk ucichł, ale po kilku sekundach dał się słyszeć znowu, tyle że tym razem nie był to już psi skowyt. Był to głos, który coś mówił. Delikatny, dziecięcy głosik dziewczynki wymawiającej jakieś słowa. Zatrzymał się w pół kroku i zaczął nasłuchiwać.

Stabat mater dolorosa

iuxta crucem...

Tyle zdołał zrozumieć, potem głos się załamał i przeszedł na powrót w jęk. Jęk czy może płacz?

Zszedł kolejne cztery stopnie niżej i minąwszy zakręt utworzony przez schody, zobaczył ich. Wielkiego, przysadzistego mężczyznę siedzącego na beczce z solonymi śledziami, ubranego w długą do kostek szatę, która zwisała mu po bokach jak zasłona. Naprzeciw niego, w kącie pod ścianą, stała płacząca dziewczynka z twarzą zasłoniętą rękami. Była całkowicie naga, a uda miała umazane krwią.

– Dzień dobry, siostrzyczko! No proszę, chyba macie zebranie wspólnoty, co? Mam nadzieję, że nie będziemy wam zbytnio przeszkadzać.

Manuel Escorza wszedł do klasztornej wirydarza ze swobodą osoby oczekiwanej. Pomimo kul i butów na koturnie poruszał się z zaskakującą sprawnością, tak że Gil Portela, który szedł obok niego, musiał przyspieszyć

kroku, by za nim nadążyć. Z tyłu szło trzech milicjantów uzbrojonych w karabiny, wyglądali, jakby mieli kaca. Skupione na środku dziedzińca kapucynki obserwowały nadejście mężczyzn z ciekawością i dość spokojnie. Matka przełożona zaczęła natomiast mienić się na twarzy.

– Czego tutaj chcesz? – zapytała, nie potrafiąc ukryć zakłopotania.

Milicjanci i Gil Portela zatrzymali się pod arkadami wirydarza. Za to Manuel Escorza wszedł na dziedziniec i przemieszczając się o kulach, stanął na wprost swojej siostry.

– Chciałem się tylko upewnić, że macie się dobrze, siostrzyczko – odpowiedział z charakterystycznym krzywym uśmiechem. – Dzieją się u was takie dziwne rzeczy... Ach, no i zaraz pojawi się tu cała grupa przyjaciół, z którymi mamy pewne sprawy do załatwienia. Obawiam się, że przez chwilę pohałasujemy trochę. Ale co z wami, siostrzyczko? Macie się dobrze? Wszystko w porządku?

– Grupa przyjaciół? O czym ty mówisz, Manuel?

Uśmiech Manuela Escorzy bladł, aż zupełnie zniknął, jak starta plama.

– Coś mi się zdaje, że nie cieszysz się na mój widok, siostrzyczko. Szczerze mówiąc, spodziewałem się miłszego przyjęcia. Nie jesteś zadowolona z ludzi, których ci przysłałem?

– Ludzi? – zająknęła się matka przełożona, z wielkim trudem wydobywając z siebie głos.

– Sirga i komisarz policji, wzór dokładności i staranności, siostrzyczko. – Uśmiechnął się ponownie. – Dlaczego nie ma ich z tobą? Już rozwiązali tajemnicę wieprzków?

Matka przełożona patrzyła w ziemię, jakby otepiała. Jeden z kotów podszedł powąchać buty Manuela Escorzy.

– Nie wiem, o jakich ludziach mówisz, Manuel... – zaszlochała. – Ja...

– Nie zaczynaj mnie znowu denerwować, siostrzyczko. Gdzie są Sirga i komisarz? I biskup, gdzie go trzymasz? Co wy w ogóle wyprawiacie tu na zewnątrz?

Milicjant, który wcześniej cofnął się pod bramę klasztoru, wrócił do wirydarza i podszedł do Gila Porteli, by coś mu powiedzieć. Gil Portela odchrząknął i odezwał się do Manuela Escorzy:

– Towarzyszu, przyjechały już autokary z patrolem i braciszkami. Samochód Ordaza i Fernándeza też.

– Bardzo dobrze – odpowiedział Escorza, nie spuszczać spojrzeń z matki przełożonej. – Siostrzyczko, tak jak ci powiedziałem, teraz mamy robotę do zrobienia. Zbierz te swoje fanatyczki i zamknij je w kaplicy, tutaj nie są nam do niczego potrzebne. A potem wróć tu zaraz, ty i ja mamy pewne sprawy do omówienia. Poza tym pokażę ci dziś coś, co na pewno cię zainteresuje.

Zrozumiano?

Matka przełożona przytaknęła skinieniem głowy.

– Wy – kontynuował Manuel Escorza, zwracając się do milicjantów – idźcie do bramy i sprowadźcie wszystkich tutaj, na dziedziniec. A ty, Gil, dowiedz się, co się stało z Sirgą, komisarzem i naszym biskupem. Coś tu nie idzie tak, jak powinno.

– Biskupie, proszę się odsunąć od dziewczynki.

Komisarz zszedł po schodach i zatrzymał się w bezpiecznej odległości od biskupa, odwróconego do niego plecami. Za sobą policjant miał schody prowadzące niżej, do studni, skąd dochodziły powiewy zimna i wilgoci. Z tego miejsca dobrze widział nowicjuszkę, która odsunęła ręce od twarzy i opuściła je między uda, usiłując w próżnym wysiłku zasłonić swoją nagość. Była półżywa z przerażenia i wstydu, w dodatku spływająca jej po udach menstruacyjna krew kontrastowała rażąco z bledością skóry i nadawała dziewczynce wręcz rozpaczliwy wygląd. Komisarz zwrócił również uwagę na niszę z figurą świętego Gauderyka i pomyślał, że wiara jest tylko inną postacią szaleństwa. Ponieważ Perugorria nie odpowiadał, odezwał się ponownie:

– Biskupie, jestem komisarzem policji. Proszę odwrócić się do mnie i odsunąć od dziewczynki.

Pistolet trzymał w ręce, ale nie mierzył do biskupa, który ani się nie odwrócił, ani też nie odpowiedział.

Siedział nieruchomo, trzymając przed sobą ręce w taki sposób, że komisarz nie mógł zobaczyć jego dłoni. Muñoz przesunął się trochę, tak aby widzieć go z profilu, cały czas zachowując dystans, na jaki pozwalały mu półki z zapasami i stos worków ze zbożem. Siostra Concepció nie spuszczała z niego wzroku. Płakała jeszcze, a wielkie i obfite łzy spływały jej z oczu, toczyły się po policzkach i szyi i zatrzymywały dopiero na pączkujących piersiach, ale już nie jęczała ani nie szlochała, w ogóle nie odezwała się nawet słowem. Milczenie dziewczynki łączyło się z milczeniem biskupa i przydawało scenie nierealnego, onirycznego nastroju. „Tak, to równie dobrze może być jeden z moich koszmarów” – pomyślał komisarz Muñoz. „Nie ja jestem nagi, lecz ta dziewczynka, ale bez wątpienia ktoś tu ze mnie szydzi”.

Przyglądał się z uwagą zapadniętym policzkom i wielkiej głowie duchownego, który zdawał się zagubiony gdzieś we własnych rozmyślaniach. Teraz już widział jego dłonie: trzymał je skrzyżowane na sukni i od czasu do czasu poruszał kciukami, jakby coś liczył. Nie spojrzał na niego ani razu, nie patrzył też na dziewczynkę. Jakby poza nim samym w pomieszczeniu nie było nikogo więcej. Komisarz powtórzył z naciskiem:

– Biskupie, musimy stąd natychmiast wyjść. Pańskie życie jest zagrożone. Zaraz będą tu anarchiści i zabiją pana, mniszki, dziewczynkę i mnie. Zabiją nas wszystkich,

rozumie mnie pan? Czy pan rozumie?

Komisarz umilkł i w ciszy słychać było jedynie dźwięk kropel wody, które spływały po kamieniach i wpadały do studni. Siostra Concepció znów zaczęła płakać. Na razie mógł sobie pogratulować jedynie tego, że udało mu się wystraszyć ją jeszcze bardziej.

Nagle biskup odwrócił się do niego, rozkładając szeroko ramiona i otwierając usta. Komisarz podniósł broń i wycelował w jego głowę.

– Jeśliby ludzie pozbawili mnie dóbr moich i czci, gdyby choroba odjęła mi siły, a ja sam straciłbym łaskę w grzechu, nie porzucę przecież nadziei, ale zachowam ją aż po kres mego żywota. I próżny będzie wysiłek wszystkich demonów piekielnych, by mi ją odebrać, z Twoją pomocą bowiem otrząsnę się z winy. Cała moja nadzieja opiera się na pewności, z jaką czekam pomocy Twojej, Panie, Ty sam utwierdziłeś mnie bowiem w nadziei...

Mówił falsetem, jakby odprawiał mszę. Potem nagle przerwał, podniósł się z beczki i zrobił krok w stronę komisarza. Wyprostowany, w długiej szacie, biskup Perugorría przypominał smoka, tłustego i ociężałego, niezdolnego, by wzbić się do lotu.

– Proszę się do mnie nie zbliżać – rozkazał komisarz, nadal mierząc do niego z pistoletu. – Proszę się nie zbliżać ani do mnie, ani do dziewczynki albo będę musiał

strzelać. Słyszysz mnie pan? Proszę się stąd odsunąć.

W końcu biskup usłuchał. Odwrócił się w prawo, plecami do komisarza i do siostry Concepció, i zaczął iść w kierunku schodków prowadzących do studni.

– Niech się pan nie rusza. Proszę się zatrzymać tam, gdzie pan stoi.

Biskup zrobił dokładnie to, co mu nakazano. Zatrzymał się, znów rozłożył ramiona i powiedział:

– Wiem aż nadto dobrze, że ja sam jestem słaby i zmienny; wiem, co może uczynić pokusa najwytrwalszej z cnót, lecz nie uczyni mnie to tchórzliwym. Dopóki będzie we mnie prawdziwa nadzieja, nie dosięgnie mnie żadne nieszczęście i jestem pewien, że nigdy jej nie stracę, jest bowiem we mnie wiara, że obdarzysz mnie, Panie, wytrwałością w nadziei...

Urwał po raz kolejny, spuścił głowę, a jego ciałem zaczęły wstrząsać lekkie dreszcze. Płakał. Komisarz słyszał płaczącą za swoimi plecami dziewczynkę, przed sobą zaś widział biskupa pogrążonego w cichym, tłumionym płaczu, bez szłochu. W prostym płaczu wywołanym wielkim smutkiem. Kapłan odwrócił się do policjanta, który nie przestawał mierzyć do niego z broni, i z twarzą przepełnioną cierpieniem załkał:

– Moja matka. Moja biedna matka, opłakująca w domu śmierć swego syna. Cierpienie...

Przestał nad sobą panować i wstrząsnął nim zupełnie

inny rodzaj płaczu, konwulsyjny i rzewny. Zmęczony wybuchem upadł na podłogę i dalej płakał, uderzając zaciśniętymi pięściami w kolana. Komisarz opuścił broń i stwierdził, że chciałby móc się nad nim ulitować, ale nie czuł nic. Ostatecznie kto nie tęskni za swoją matką?

Nie spuszczać z oczu biskupa, podszedł do siostry Concepció. Przestała już płakać, ale wciąż drżała. Ciało jej zeszywniało od zimna i poniżenia. Nie cofnęła rąk z krocza, lecz nie zdołała ukryć strużek krwi sięgających kolan.

– Nie bój się, córeczko – powiedział komisarz takim głosem, jakby chciał zaśpiewać kołysankę. – Słyszałaś przecież, jestem z policji. Teraz pójdziemy stąd i ja ci pomogę. Słyszysz mnie?

Siostra Concepció spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Zrobił ci coś? – spytał komisarz, wskazując na biskupa ręką bez pistoletu. – Uderzył cię albo skrzywdził?

Patrzyła na niego, jakby nie rozumiała pytania. Otworzyła usta i odpowiedziała drżącym głosem:

– Bardzo mi zimno i boli mnie brzuch.

– No pewnie, że tak – przyznał komisarz.

Rzucił okiem na biskupa, który nie przestawał zawodzić, skulony na środku piwniczki, zdjął marynarkę i nałożył ją nowicjuszcze na ramiona. „Lepiej tak – pomyślał – niż owijać nią sobie rękę, żeby zabić psa”.

Chociaż marynarka była dość krótka, na drobnej postaci siostry Concepció sprawiała wrażenie ogromnej.

– Otul się tak dobrze, jak potrafisz, córeczko. Zaraz stąd pójdziemy i to wszystko się skończy. Nie bój się.

Siostra Concepció przypomniała sobie, że również matka zwykła mawiać, że nie powinna się bać, ale Jego Ekscelencja powiedział, że jej matka nie żyła. Chciała zapytać tego mężczyznę, czy to prawda, że jej matka nie żyje, ale kiedy już to miała zrobić, z zewnątrz dobiegły ich odgłosy wielkiego zamieszania. Komisarz pokazał jej ręką, żeby zamilkła, i nasłuchiwał uważnie przez kilka sekund.

– Nie ruszaj się stąd – polecił.

Minął biskupa Perugorrię, zamkniętego w swoim wyobcowaniu, i wspiął się po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Wyglądając przez drzwi, mógł obserwować z dołu fragment wirydarza i dziedzińca.

– Kurwa – mruknął.

Rozpoznał Manuela Escorzę, Aurelego Fernándeza i Antoniego Ordaza. Jak również dwóch marystów z pensjonatu Capell, idiotycznie przebranych za anarchistów. A dalej cały tłum ich współbraci wykonujących polecenia oddziału milicjantów z FAI. Przynajmniej dwudziestu.

– Rozstawcie braciszków w półkolu wzdłuż północnej arkady dziedzińca. Po stronie południowej niech się

ustawią chłopcy z karabinami gotowymi do strzału.

Antoni Ordaz i Aureli Fernández słuchali w napięciu poleceń wydawanych przez Manuela Escorzę i natychmiast ruszyli w tłum, by je wykonać. Stu siedemdziesięciu dwóch marystów, którzy zgłosili się na wieść o ewakuacji, wchodziło właśnie z ulicy do wnętrza klasztoru. Popędzali ich milicjanci stojący w wejściu. Kiedy zakonnicy znaleźli się na dziedzińcu, czekał tam już na nich kolejny oddział milicjantów, by wiedzieli, że dotarli na miejsce zgrupowania. Wtedy zaczęli zbierać się w mniejsze grupki i komentować sytuację. W zamieszaniu można było dosłyszeć skrawki rozmów tchnących nadzieją.

– Dlaczego nas tu zabrali? – pytał wysoki, piskliwy głos.

– Człowieku, nie widzisz, że to miejsce zgrupowania? – odpowiadał inny, głębszy. – Pomyśl, przecież zebrali tu ludzi z wielu różnych miejsc i muszą się upewnić, że wszystko jest w porządku. Niedługo zacznie się ewakuacja.

– Dziś w nocy będziemy już spać we Francji!

– Dziś w nocy na pewno jeszcze nie, zobacz, która godzina, a na pewno minie jeszcze trochę, zanim ruszymy. Jutro...

Ktoś zniżył głos, żeby zadać pytanie.

– A mniszki z tego klasztoru?

– Bóg jeden wie, gdzie teraz są – odpowiedział inny głos. – Wojna...

Korzystając z zamieszania, brat Plana podszedł do Antoniego Ordaza.

– Pamiętacie o mnie?

Ordaz popatrzył na niego tak, jakby go nie widział.

– No pewnie, braciszku – rzucił, żeby powiedzieć cokolwiek. – A teraz wracaj do szeregu na swoje miejsce.

– To ja wam przyprowadziłem brata Dardera do Tostadero! – zawył marysta, cały drżący.

– Tak, tak. Nie martw się, bez ciebie niczego nie zrobimy. Ale teraz wracaj na miejsce, no już!

Antoni Ordaz i Aureli Fernández chodzili pomiędzy zakonnikami, wołając do nich, żeby przestali się zabawiać pogaduszkami i ustawili się jeden obok drugiego wzdłuż arkady, tak jak polecił Manuel Escorza. Będą czytać listę obecności. Wszyscy przystali na to chętnie, doszło nawet do małych przepychanek i żartobliwych sprzeczek o to, kto ma zająć miejsce w pierwszym szeregu. Jak para psów pasterskich, Ordaz i Fernández pilnowali porządku ustawienia. Kiedy grupa zdawała się już jako tako zorganizowana, Manuel Escorza podszedł do Aurelego Fernándeza i powiedział:

– Chodźcie na chwilę ze mną, towarzyszu.

Fernández odłączył od grupy i ruszył za Escorzą, który poprowadził go do miejsca na uboczu, w jednym z rogów

dzieńca. Gdy już tam dotarli, Escorza odepchnął się na kulach i usiadł na kamiennej balustradzie okalającej galerię wirydarza. Wytarł wierzchem dłoni pot zraszający mu czoło.

– O co chodzi? – zagadnął Aureli Fernández.

Manuel Escorza wskazał głową marystów, którzy ciągle usiłowali się ustawić wokół arkady tak, żeby wszyscy mogli się zmieścić.

– Który z nich zabił Spalonego? – zapytał z ustami pełnymi śliny.

Aureli Fernández obawiał się tego pytania. Wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Żaden, towarzyszu. Jeszcze go nie znaleźliśmy.

Manuelowi Escorzy zwężyły się oczy.

– Przypuszczam, że musisz mieć jakąś dobrą wymówkę. Ty zawsze masz wymówki – powiedział, akcentując każdą sylabę.

– Nie mam żadnej. Mogę jedynie powiedzieć, że mi przykro. Jak tylko... – zawahał się – jak tylko tu skończymy, wyślę więcej ludzi, żeby przyspieszyć poszukiwania. Znajdziemy go.

Manuel Escorza wskazał głową mężczyzn ustawiających się pod arkadami.

– Ty tego nie pochwalasz, zgadza się?

Aureli Fernández wiedział, że nie ma żadnej drogi ucieczki. Zebrał całą siłę woli, żeby w jego głosie nie

zabrzmiał ani cień wątpliwości.

– Nie, towarzyszu. Ale zastanowiłem się i widzę teraz, że macie rację. Rewolucja wymaga poświęceń i żadne asekuranctwo nie popłaca.

Escorza wybuchnął gromkim śmiechem i zszedł z balustrady.

– Bardzo mi się podoba to, co mówisz o asekuranctwie, Fernández – powiedział, podpierając się kulami. – Spróbuj o tym nie zapomnieć, bo ja ci przypomnę pewnego dnia. Teraz, tak jak sam powiedziałaś, znajdź naszego zbiega i postaraj się to zrobić szybko.

Aureli Fernández poczuł uderzenie nienawiści w żołądku, ale przełknął je tylko i nie odezwał się słowem.

W korytarzu prowadzącym do kaplicy Świętej Agaty pojawiła się matka przełożona w eskorcie dwóch milicjantów.

– Towarzyszu Escorza, zakonnice są już zamknięte w kaplicy i pozostaną tam aż do wydania przez was nowego rozkazu – zameldował jeden z nich.

– Dobrze – odpowiedział Escorza, który dojrzał w twarzy matki przełożonej panikę i zaskoczenie. – Jak ci się podoba, siostrzyczko? Nie powiesz mi chyba, że to nie jest przyjemne spotkanie, co?

– Co to wszystko ma znaczyć, Manuel? Co chcecie

zrobić?

Uśmiechnął się. Najwyraźniej świetnie się bawił.

– Gdzie są Sirga i komisarz, siostrzyczko?

Matka przełożona zamilkła i odwróciła się do marystów. Prawie wszyscy byli już ustawieni, kiedy nagle jeden z mężczyzn przebrany za ochotnika z patrolu milicji robotniczej opuścił szereg i ruszył w ich kierunku.

– Ej, dokąd to się brat wybiera? – zawołał za nim Antoni Ordaz. – Wracaj tutaj natychmiast! Ej, towarzyszu!

Brat Lacunza udał głuchego, przeciął dziedziniec szybkim krokiem i podszedł prosto do miejsca, w którym stali Aureli Fernández i Manuel Escorza.

– Gdzie są brat Darder i doradca Aragou? – zapytał pełen irytacji.

– Nie można się nie zgodzić, że naszemu braciszкови nie brakuje charakteru. – Escorza się zaśmiał. – A poza tym to dobre pytanie. Gdzie oni są, Fernández?

– Powinni... powinni zaraz nadjechać – improwizował zbity z tropu. – Brakuje jeszcze jednej ciężarówki ze spóźnialskimi.

– Macie mnie za idiotę? – wybuchnął brat Lacunza. – Tutaj nikogo nie brakuje oprócz doradcy Aragou i brata Dardera. Dość już tych wymówek. Przed chwilą dał mi pan słowo...

Manuel Escorza chwycił obydwie kule jedną ręką, a drugą położył na ramieniu brata Lacunzy

w przyjacielskim geście.

– Ten człowiek ma rację, Fernández. – Poklepał go po barku, jakby to była głowa psa. – Poza tym udowodnił, że jest stanowczym mężczyzną i dobrym negocjatorem. Zasługuje, by mówić z nim szczerze. Słuchaj, Lacunza – przysunął do niego głowę – twój doradca Aragou siedzi zamknięty w La Model i mamy zamiar żądać za niego okupu od tej twojej marystycznej instytucji. A jeśli chodzi o brata Dardera, to przysporzył nam paru problemów. Zamknęliśmy go, ale zabił jednego z pilnujących go ludzi i uciekł. Dlatego teraz my musimy go znaleźć i zabić. To wszystko. Jesteś teraz zadowolony, Lacunza?

Zakonnik chętnie by coś odpowiedział, ale nie mógł wydusić ani słowa, nie mógł nawet oddychać. Jakiś ciężar przygniatał mu pierś i dusił go. Po raz pierwszy w całym swoim życiu brat Lacunza czuł strach i odkrył, że ten strach wysysał z niego siły. Strach i obrzydzenie oraz przerażenie, bo postąpił jak głupiec. Udało mu się jedynie wymienić spojrzenia z matką przełożoną, która również oniemiała i wciąż nie mogła uwierzyć w to, co widziała i słyszała.

Nadszedł Gil Portela, biegł, jakby go kto ścigał, otwierając sobie przejście na dziedzińcu pomiędzy marystami i milicjantami.

– Towarzyszu Escorza – wydyszał, zatrzymując się. – Znalazłem Sirgę. Nie żyje.

W jednej chwili z twarzy Manuela Escorzy zniknął uśmiech.

– Leży tam, w sali z tyłu – dodał Gil Portela. – Dostał dwie kulki i zapewniam was, że nie wygląda to najlepiej.

– Gdzie jest komisarz, siostrzyczko? – warknął Manuel Escorza.

Matka przełożona nie odezwała się. Poruszała tylko nieznacznie głową, jakby usiłowała przekonać samą siebie, że to, co dzieje się wkoło, nie dzieje się naprawdę.

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Mów, gdzie są komisarz i biskup, brudna kurwo!

Zamachnął się wolną ręką i wymierzył jej policzek otwartą dłonią. Uderzenie było tak silne, że powaliło zakonnicę na ziemię, z której już się nie podniosła. Siedziała z płonącym policzkiem, a w uchu coś jej gwizdało. Wpatrywała się w przestrzeń i wyglądała jak mała dziewczynka usiłująca zrozumieć, za co ją ukarano.

– Słyszałaś teraz, siostrzyczko? Mów, gdzie się schowali!

Wśród marystów będących świadkami tej sceny zapanowało pewne poruszenie. Niektórzy chcieli wyjść z szeregu, żeby udzielić pomocy matce przełożonej, ale Antoni Ordaz z pomocą oddziału milicjantów wepchnął ich bezceremonialnie z powrotem na miejsca.

– Niech nikt nawet nie próbuje się ruszyć! – zawołał Gil Portela na cały dziedziniec. – Ordaz, jeśli który ruszy

choćby palcem, wlepcie mu kulkę i gotowe, jasne? Słyszeliście, pierdolone wrony?

Wszyscy słyszeli doskonale. Echo groźby Gila Porteli dzwoniło jeszcze na dziedzińcu, kiedy milicjanci uformowali linię naprzeciw stojących w półkolu marystów i załadowali karabiny. Antoni Ordaz zatrzymał się na jednym z końców plutonu i czekał. Brat Plana usiłował zwrócić jego uwagę, dając znaki rękami, ale na próżno, Antoni Ordaz albo go nie widział, albo nie chciał zobaczyć.

Brat Lacunza nie wziął groźby do siebie i pomógł matce przełożonej podnieść się z ziemi. Kiedy wstała, podeszła do Escorzy.

– Manuel, zawsze byłeś łajdakiem – powiedziała czystym, dźwięcznym głosem. – Teraz może ci się wydawać, że wygrywasz, ale urodziłeś się kaleką i pozostaniesz kaleki aż do dnia swojej śmierci. A kiedy ten dzień nadejdzie, możesz być pewien, że będę się modlić, żebyśgnił w piekle przez całą wieczność.

Aureli Fernández odwrócił twarz, aby ukryć poczucie satysfakcji, jakie dały mu słowa mniszki. Gil Portela spoglądał zaś na Escorzę, czekając na rozkaz. Rozkaz jednak nie nadchodził. Kulawiec od Świętego Eliasza zamarł z grymasem niezadowolenia, którego nie zdołał zamaskować.

– Escorza! Tutaj jestem! – krzyknął ktoś, a jego głos

poniósł się przez dziedziniec.

Wszyscy odwrócili się w stronę, z której dochodził głos, ale nikt niczego nie dostrzegł. Manuel Escorza wyrwał się nagle z obezwładniającego go osłupienia i znów się uśmiechnął.

– Komisarz! Gdzie jesteś, skurwysynie?

– Ja ciebie też kocham, Escorza – odpowiedział policjant. – Jestem w piwniczce, dokładnie naprzeciwko ogrodu!

Gil Portela już chciał tam pójść, ale Manuel Escorza nakazał mu ruchem ręki, aby zaczekał. Nic nie zaszkodzi, jeśli się trochę zabawi.

– Przyjdiesz tu sam czy wolisz, żebyśmy my przyszli po ciebie, komisarzu?

– Posłuchaj dobrze, Escorza, mam ze sobą biskupa! Albo ty i twoi ludzie wyniesiecie się stąd, nie robiąc krzywdy nikomu, albo zajmę się nim, a wtedy, jak mi się zdaje, możesz mieć problemy. Co ty na to?

Manuel Escorza wstrząsnął głową, jakby zobaczył ducha, i odpowiedział:

– Masz jaja, komisarzu, to ci muszę przyznać. Ale że nie jesteś durniem, przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś na takiej pozycji, żeby stawiać warunki. Wyłaź stamtąd z biskupem, a obiecuję, że pozwolę ci odejść i puszcę cię wolno!

– Sam to powiedziałaś, Escorza: nie jestem durniem.

Albo zrobisz, co mówię, albo zostaniesz bez biskupa, sam wybieraj!

– Komisarzu, zliczając wszystkich braciszków i mniszki, mam prawie dwustu zakładników, i jeśli nie wyjdiesz z tej dziury, będziesz odpowiedzialny za to, co się z nimi stanie.

Na kilka sekund zapadła cisza. Brat Lacunza patrzył z drugiego końca dziedzińca na swoich współbraci ze zgromadzenia. Stali znieruchomiali, jakby sportretowani na jakiejś fotografii pełnej rozpacz. Również milicjanci z karabinami sprawiali wrażenie skamieniałych, podobnie Antoni Ordaz, który był tak samo sztywny jak Gil Portela albo Aureli Fernández. Jedynie matka przełożona, skupiona na modlitwie i robiąca sobie wyrzuty, że nie spytała komisarza o siostrę Concepció, i Manuel Escorza, który wyprostowany w jednym z rogów dziedzińca, krzycząc, prowadził negocjacje, dawali oznaki życia. On sam, proszący w myślach o odpuszczenie grzechów i polecający duszę Opatrzności Bożej, musiał przyznać, że nigdy nie czuł się aż tak żywy.

W końcu przyszła odpowiedź:

– Nie, Escorza, nie wyjeżdżaj mi tu z takimi! Odpowiedzialny będziesz wyłącznie ty i nikt więcej. Poza tym dobrze wiesz, że nie zależy ci na twoich dwustu zakładnikach razem wziętych nawet w połowie tak bardzo, jak na moim jednym. Co się z tobą stanie, jeśli coś

przydarzy się biskupowi? Co, Escorza?

Kulawiec od Świętego Eliasza stracił cierpliwość. Zdrada stanu, oto, co by się z nim stało. Sąd wojenny i egzekucja. Ciężko walczył o to, by stać się kimś wewnątrz FAI, i teraz miał zbyt wielu wrogów. Nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd, a wiedział, że tamten człowiek nie gada jedynie po to, żeby gadać.

– Poślij tam dwóch chłopaków – rozkazał Gilowi Porteli.

Przeprowadziwszy z Escorzą pertraktacje, komisarz zszedł po stopniach do piwniczki. Siostra Concepció skuliła się obok niszy z figurką świętego Gauderyka, owinięta w marynarkę, biskup Perugorria zaś leżał tak, jak Muñoz go zostawił: na workach ze zbożem, z rękami i nogami związanymi sznurkiem na parę marynarskich węzłów, których policjant nauczył się w młodości. Prałat, na wpół śpiąc, coś bredził.

– Duch Święty... – usłyszał słowa. – Duch Święty...

– Chodź ze mną – nakazał komisarz siostrze Concepció.

Wziął ją za rękę i zeszedł aż do studni.

– Zostań tutaj i nie ruszaj się ani nie odzywaj bez względu na to, co zobaczysz. Dobrze?

– Czy pan wie, czy to prawda, że moja mama nie żyje?
– zapytała dziewczynka.

Komisarz chciałby odpowiedzieć, ale usłyszał

dobiegający z góry hałas. Escorza posłał po nich, co było logiczne. Biegiem pokonał stopnie prowadzące ze studni i ukrył się za występem utworzonym przez ścianę piwniczki, zaraz za schodami wiodącymi do wyjścia.

Czekał z uwagą napiętą do granic możliwości, dopóki nie usłyszał skrzypienia butów milicjantów. Nie umiał ocenić, czy było ich dwóch, czy może trzech. Wstrzymał oddech.

Tak jak przewidział, jako pierwszy milicjantom rzucił się w oczy biskup Perugorria, leżący niczym wielki tobół na stercie worków za zakrętem schodów. Teoretycznie powinno to na chwilę odwrócić ich uwagę.

Komisarz zobaczył wychylającą się głowę. Podniósł broń i niemal nie celując, nacisnął spust.

Na dziedzińcu wirydarza dał się słyszeć strzał, którego brzmienie powoli rozwiewało się w czystym powietrzu poranka. Potem następny i jeszcze jeden, prawie jednoczesne. A po kilku sekundach – ostatni.

Potem zapadła cisza. Aureli Fernández i Gil Portela patrzyli na Manuela Escorzę stojącego w rogu z pochyloną głową. Brat Lacunza splatał dłonie. Matka przełożona się modliła.

Minęła minuta, może więcej, i Escorza zmęczył się czekaniem.

– Co się tam dzieje? – zawołał wysokim głosem.

Dalej cisza. Kulawiec prychnął przez nos.

– Nie popełnij błędu, Escorza! – Głos komisarza Muñoza zabrzmiał poważnie. – To miejsce jest jak szyjka butelki. Wystarczy, że będę czekał tu, na dole, na twoich ludzi, a teraz mam amunicji aż nadto. Może mnie w końcu załatwią, ale zanim to nastąpi, zabiorę z sobą więcej niż paru twoich przydupasów. Ci twoi milicjanci są na tyle odważni? A może będą woleli najpierw zlikwidować ciebie?

Manuel Escorza otworzył usta, żeby dać odpowiedź, ale tylko zaczął wypowiadać jakieś bluźnierstwo, którego nie skończył. Jeden z milicjantów zaklął, pozostałych siedemnastu milczało.

– Escorza! – zawołał znowu komisarz. – Nie będę więcej powtarzał: wynoście się z klasztoru, ty i twoi ludzie, zapomnij o nas, a ja ci gwarantuję, że biskupowi nie spadnie włos z głowy. Co ty na to?

Nadspodziewanie zimny podmuch wiatru przebiegł po dziedzińcu, wywołując u wszystkich dreszcze. Manuel Escorza chwycił swoje kule, opuścił róg, w którym stał do tej pory, i spojrział na Gila Portelę. Potem wskazał głową na brata Lacunę stojącego obok matki przełożonej i międlącego w dłoniach milicyjną czapkę.

Gil Portela natychmiast wyciągnął z kurtki broń, przyłożył ją do piersi brata Lacunzy i strzelił mu prosto w serce. Brat Lacunza wydał z siebie dźwięk podobny do beknięcia, otworzył szeroko oczy i skierował wzrok na

Aurelego Fernándeza, który szybko odwrócił spojrzenie. Następnie zwałił się na matkę przełożoną, a ta objęła go, jakby był jakimś dawno niewidzianym krewnym. Ciało brata Lacunzy, zsuwając się na ziemię, zostawiało na jej habicie ślady krwi.

– Komisarzu! – zaryczał Manuel Escorza. – Nie wiem, czy to widziałeś, ale właśnie kazałem zabić braciszka, który tu śpiewał pierwszym głosem. Wyjdiesz po dobroci czy wolisz, żebym kontynuował?

Komisarz szybko zbiegł po schodach i wszedł na powrót do piwniczki. Usłyszał biskupa, który wciąż leżał na workach, mrużąc swoje niedorzeczności.

– Bestie – powtarzał. – Biedne kominiarczyki...

Siostra Concepció siedziała znów w kącie, obok figurki świętego Gauderyka, przyglądając się zwłokom dwóch milicjantów, których wcześniej zlikwidował komisarz. Jeden upadł obok beczki śledzi, drugi – dwa kroki przed schodami. Z jakiegoś powodu wydało mu się, że dziewczynka już się nie boi. Spojrzała na niego i powiedziała:

– Nie odpowiedział mi pan wcześniej.

Strużki krwi dotarły już do samych jej stóp. Również na ziemi było pełno krwi, którą broczyli obydwaj milicjanci. Żaden z nich nie miał więcej niż dwadzieścia lat i komisarzowi przyszło do głowy, że mogliby być jego synami. Albo starszymi braćmi nowicjuszek. Poczul

ciężkie i słodkie zmęczenie, jakby przez wiele nocy nie zmrużył oka.

– Przykro mi, córeczko – odpowiedział – ale nic nie wiem o twojej mamie. Dziwne, bo ja też ostatnio tęsknię za swoją.

Siostra Concepció spuściła głowę i nic już nie powiedziała. Zaczynała rozumieć, że szansa na cierpienie była przynajmniej tak duża jak na radość, a na co trafi, na jedno czy na drugie, zależało w dużej mierze od przypadku. Fasola albo migdał. Cis-dur albo tonacja molowa. Jednego nie rozumiała – co ma z tym wszystkim wspólnego wiara?

Wstrząsnął nią dreszcz i owinęła się szczelniej marynarką. Przyglądała się, jak komisarz przeciąga kolejno obydwie ciała milicjantów w pobliże studni, aby zrobić wolne przejście. Dwie smugi krwi wyznaczyły na ziemi linie przypominające jej plamy, jakie rozlany atrament zostawiał na papierze nutowym.

– Myślę, że już się dość naczekaliśmy, towarzyszu – odezwał się Gil Portela, mrużąc oczy, ponieważ słońce świeciło mu prosto w twarz i go oślepiało.

– Może chce się poddać i się zastanawia. Nie ma jak stamtąd wyjść – zauważył z wahaniem Aureli Fernández.

Matka przełożona przyglądała się plamom krwi na swoim habicie, jakby starała się rozszyfrować jakąś tajemniczą mapę. Brat Lacunza leżał rozciągnięty u jej

stóp, wciąż miał otwarte usta i oczy. Mniszka pochyliła się i zamknęła je drżącą ręką.

Wielu marystów szemrało między sobą, ale oddział milicjantów utrzymywał siłą porządek w szeregu. Brat Plana wciąż próbował zwrócić uwagę Antoniego Ordaza, robiąc coraz bardziej groteskowe miny. Ordaz konsekwentnie go ignorował.

– Gil ma rację – oznajmił Manuel Escorza. – Wyciągniemy go z tej dziury tylko nogami do przodu.

– Poza tym nie mamy żadnej gwarancji, że biskup ciągle żyje – dodał Gil Portela.

– Zabierzemy się do rzeczy po kolei – podsumował Escorza. – Najpierw braciszkwowie, a później komisarz. Potem zobaczymy, co zrobić z fanatyczkami.

Spojrzał na matkę przełożoną pochylającą się nad ciałem brata Lacunzy. Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym pogardy tak wielkiej, jak całe jego życie. Kaleka.

Manuel Escorza przełknął ślinę, miała cierpki smak.

– Do roboty – powiedział.

Gil Portela przeciął dziedziniec, podszedł do Antoniego Ordaza i przekazał mu szeptem rozkaz.

Ordaz przeszedł na koniec dziedzińca i ustawił się w pozycji prostopadłej do oddziału milicjantów.

– Gotuj broń! – zawołał.

Osiemnastu mężczyzn podniosło karabiny identycznym ruchem i załadowało je.

– Komisarzu, uważaj teraz! – zawołał wściekły Manuel Escorza.

– Cel!

Milicjanci przyłożyli karabiny do ramion i wymierzili w marystów rozstawionych w szeregu. Należało trafić w pierś, i to bez pudła, żeby nie trzeba było ich potem dobijać. Stojąc w odległości sześciu kroków, mogli widzieć przerażenie malujące się na twarzach skazanych. Niektórzy z funkcjonariuszy się uśmiechali, lecz innym karabiny ciążyły tak, jakby były z kamienia.

Nagle ktoś krzyknął ze strachem.

– Nie! Mnie nie! – wołał czyjś głos.

Brat Plana wybiegł przed linię i zaczął biegać tam i z powrotem po dziedzińcu jak kura, której właśnie obcięto głowę.

– Nie zabijajcie mnie! – powtarzał. – Nie zabijajcie mnie!

Kilku milicjantów złamało szyk i wymierzyło do niego z karabinów, lecz nie ośmielili się strzelać bez rozkazu. Brat Plana machał rękami, zataczał koła i wydawał przenikliwe, pełne żalu krzyki jak dziecko, które sparzyło się węglami z kominka. Manuel Escorza mlasnął językiem i pokręcił głową. Spojrzał na Gila Portelę i dał mu znak kantem dłoni, co oznaczało, że mają działać. Gil Portela kiwnął głową.

W końcu brat Plana zatrzymał się przed Antonim

Ordazem i Gilem Portelą i uklęknął między nimi.

– Mnie nie! – powtórzył. – Uzgodniliśmy przecież, że mnie nie! Przyproceedziłem wam brata Dardera do Tostadero...

Zaczął zanosić się płaczem, rzewnym i spazmatycznym. Wszyscy maryści patrzyli na niego, a na ich twarzach widać było całą gamę uczuć, od wściekłości przez odrazę i oburzenie aż po ubolewanie. Brat Plana zwijał się konwulsyjnie i trzął od płaczu.

– Mnie nie... – powtarzał niemal niedosłyszalnie.

Gil Portela, stojąc wyprostowany tuż obok zakonnika, wyjął broń i jak ktoś, kto rozgniaa robaka, strzelił mu prosto w czaszkę. Brat Plana upadł twarzą do ziemi i natychmiast wokół jego głowy uformowała się wielka kałuża krwi. Jakiś marysta wydał rozdzierający jęk, a matka przełożona zasłoniła sobie usta rękami.

– Dość tej komedii! – zawołał Manuel Escorza. – Kończymy zabawę!

– Formuj szyk! – rozkazał Antoni Ordaz.

Mężczyźni ustawili się posłusznie i wymierzyli karabiny w zakonników. Jeden z nich zawołał:

– Bracia, chwyćmy się za ręce! *Ad Iesum per Mariam!*

– Ognia!

W piwniczce komisarz Muñoz objął siostrę Concepció i zasłonił jej uszy rękami, żeby nie słyszała huk

osiemnastu karabinów dających ognia w tej samej chwili. Nie zdało się to na wiele: wystrzał zabrzmiał z taką siłą, że musiało go być słychać na ulicy, po drugiej stronie wysokiego klasztorного muru.

– Bestie... – powtórzył z zamkniętymi oczami biskup Perugorria, pół siedząc, pół leżąc na workach.

Stu siedemdziesięciu dwóch mężczyzn na osiemnastu milicjantów. Milicjanci musieli przeładować karabiny, a Antoni Ordaz powtórzyć rozkaz „Ognia!” aż dziesięć razy. Egzekucja trwała całe osiem minut, w którym to czasie żyjący maryści po każdej serii wystrzałów widzieli upadających obok braci przeszytych kulami. Ciała padały jedno na drugie i broczyły krwią. Pierwsi nie zdążyli chwycić się za ręce, ale reszta tak, i niektórzy umarli, czując dłoń brata zakonnego w swojej.

Gil Portela przyglądał się wypadkom z żywym zainteresowaniem i uśmiechem. Manuel Escorza również był zadowolony, zwłaszcza kiedy obserwował Aurelego Fernándeza i widział smutek malujący się na jego twarzy. Matka przełożona wspierała się na balustradzie arkady, czując, jak miękną jej nogi. Nie odrywała spojrzenia od swojego brata, jakby chciała go pozbawić życia samym wzrokiem.

Kiedy wszystko się skończyło, w powietrzu unosił się silny, ostry zapach prochu wdzierający się w nozdrza, a cała środkowa część dziedzińca spowita była dymem,

który unosił się z karabinów. Jeden z milicjantów odłączył się od oddziału, ruszył biegiem w stronę balustrady i przechyliwszy się przez nią, zwymiotował. Z góry zwłok dochodziły jęki i łkania.

– Dobijcie tych, co zostali, chuj! – wrzasnął rozwścieczony Manuel Escorza. – Nie słyszycie ich?

Antoni Ordaz, Gil Portela i milicjanci chwycili za broń i zaczęli grzebać w zwłokach w poszukiwaniu rannych. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ niektórych przygniatały dwa, albo nawet trzy inne ciała i nie raz i nie dwa milicjanci przez pomyłkę wymierzali ostatnie, śmiertelne ciosy martwym już ludziom. Antoni Ordaz przy każdym strzale odwracał głowę, natomiast Gil Portela oddawał się swojemu zajęciu z zimną krwią.

W końcu nie było już słychać żadnych jęków. W ogóle nic już nie było słychać.

Matka przełożona myślała o swoich dwudziestu siedmiu siostrach, które z kaplicy Świętej Agaty musiały słyszeć wszystko, co się zdarzyło na dziedzińcu, i z pewnością właśnie się modliły, przygotowując się do egzekucji. „Teraz im wypada szykować się na śmierć – pomyślała – a potem komisarzowi, który nie zdoła odeprzeć tak wielkiej i brutalnej siły”. Zrozumiała, że jej brat wypuścił nareszcie na wolność bestię, którą nosił w sobie od dzieciństwa, i że bestia ta była nienasycona. Pomyślała także o siostrze Concepció i modliła się

w milczeniu, prosząc, żeby nic się jej nie stało i żeby przynajmniej nad nią się zlitowali. *Stabat Mater dolorosa* – nie wiedzieć skąd przyszło jej do głowy.

– Komisarzu! – zagrzmiał Manuel Escorza, odwracając się w stronę piwniczki. – Co ty na to? Zginęli przez ciebie!

Policjant zostawił siostrę Concepció i po raz kolejny ostrożnie wspiął się ku drzwiom, na wypadek gdyby czekali tam na niego ludzie Escorzy. Kiedy upewnił się, że nie ma nikogo, wyrzał i zobaczył chmurę prochu oraz dokonaną na dziedzińcu masakrę. Zwłoki leżały rozrzucone byle jak na ziarnistej ziemi, którą wysypano wirydarz. Z każdą chwilą coraz silniej odczuwał zmęczenie.

– Ja na to, Escorza, że przegrałeś, oto, co ja na to – powiedział. – Ja wciąż mam twojego biskupa, więc jeśli go chcesz, to przyjdź po niego!

Zszedł do piwniczki i nakazał siostrze Concepció, żeby wróciła na miejsce obok studni, mimo że będzie musiała siedzieć tam w towarzystwie dwóch martwych milicjantów. Dziewczynka jednak bez sprzeciwu usadowiła się w głębi pomieszczenia i wbiła wzrok w ścianę, żeby nie patrzeć na zwłoki. Biskup... lepiej, jeśli pozostanie związany. Oprócz swojego pistoletu komisarz miał jeszcze karabin po jednym z zabitych milicjantów i kieszenie pełne naboju zabranych obydwo

zastrzelonym. Wrócił po stopniach na górę, gotowy wytrwać do samego końca. Chciało mu się płakać i z wielkim trudem powstrzymał łzy.

Gil Portela i Antoni Ordaz podeszli do Manuela Escorzy.

– I co teraz?

– Idziemy po niego – odpowiedział Escorza. – Wyślij tam wszystkich chłopaków. Ilu może zabić: trzech, czterech? Nie da sobie rady ze wszystkimi. Padnie.

– A mniszki? – zapytał skonsternowany Aureli Fernández.

– Potem – odrzekł Manuel Escorza. – Poza tym to jest sprawa bardziej... jak by to powiedzieć? Osobista. Mam rację, siostrzyczko?

Matka przełożona nie miała ochoty odpowiadać. Opierała się rękami o balustradę i patrzyła na zabitych marystów oczami przepełnionymi strachem. Widziała również milicjantów włączających się po dzielnińcu. Jeden z nich strącił popiół z papierosa na ciało brata Plany. Modliła się.

Ona pierwsza zauważyła, jak się zbliża. Chwilę później dostrzegli go Escorza i pozostali.

– A to co, do chuja? – zapytał Antoni Ordaz, nie kryjąc przerażenia.

Również komisarz Muñoz spod drzwi piwniczki mógł zobaczyć brata Dardera, którego z trudem rozpoznawał,

wjeżdżającego na wirydarz na grzbiecie Hadaly'ego. Ogromny czarny koń o połyskliwej sierści, od którego biła potęga i siła, oraz brudny jeździec w łachmanach tworzyli wspólnie niezwykły obraz, jakby wyjęty z majaków szaleńca. Zbliźali się powoli, majestatycznym krokiem, prosto do arkady wirydarza. Wszyscy patrzyli na nich oniemiała, niektórzy z otwartymi ustami, jakby właśnie ujrzeli ducha albo anioła. Brat Darder przyglądał się również – z grzbietu swojego wierzchowca – ale patrzył tylko na pobojobowisko pełne rozrzuconych ciał zmasakrowanych współbraci. Przyglądał mu się ze spokojem, wręcz z obojętnością, jak gdyby widział przed sobą dioramę. Ogarnął go smutek, kiedy odkrył ciało brata Lacunzy, najwytrwalszego ze wszystkich, natomiast widok zwłok brata Plany, szczura, nawet go ucieszył.

– To ten, który zabił Spalonego! – powiedział Gil Portela.

Brat Darder nie odpowiedział. On i Hadaly okrążyli pobojobowisko, weszli na dziedziniec bocznym wejściem i powoli podeszli do rogu, w którym stali Escorza, Ordaz, Fernández i Gil Portela. Zatrzymali się naprzeciwko. Brat Darder przyjrzał się im uważnie, z surowym wyrazem twarzy. Końska sierść połyskiwała delikatnie w świetle słońca. Milicjanci zebrali się razem po drugiej stronie dziedzińca, nie wiedząc, co robić. Matka przełożona przestała się modlić, zaskoczona tak samo jak pozostali.

– Świetne wejście, braciszku, nie można zaprzeczyć – powiedział w końcu Manuel Escorza, starając się utrzymać panowanie nad sytuacją. – Czy można spytać, dokąd to się wybierasz na tak eleganckim koniu?

Brat Darder uśmiechnął się.

– Do piekła – odpowiedział. – Przyszedłem tylko po ciebie, żebyś mi dotrzymał towarzystwa.

Wszystko odbyło się błyskawicznie. Hadaly stanął na tylnych nogach, a przednimi uderzył prosto w Manuela Escorzę, który stracił równowagę i upadł na ziemię, rzucając w górę koturny i drewniane kule.

– O ja pierdołę! – wycedził przez zęby ogłuszony.

Ordaz, Fernández i Gil Portela rzucili się, by mu pomóc, ale zanim zdążyli się zbliżyć, zwierzę obróciło się wokół własnej osi, szybkie niczym wiatr, podniosło tylne nogi i wymierzyło precyzyjne, brutalne kopnięcie prosto w twarz Manuela Escorzy. Czaszka pękła, a z twarzy została tylko krwawiąca pulpa.

Pierwszy zareagował Gil Portela.

– Zabić go! Strzelać, chuj! – wrzasnął.

Podczas gdy milicjanci w pośpiechu ładowali karabiny, Gil Portela wyciągnął swoją broń i strzelił do brata Dardera, który trafiony kulą w brzuch wydał jęk bólu. Natomiast Hadaly zachowywał się tak, jakby ogarnęło go szaleństwo: zaczął skakać i wierzgać z potworną siłą. Kolejne wierzgnięcie trafiło celnie

w pierś Antoniego Ordaza i przyniosło mu natychmiastową śmierć. Stojący obok niego Aureli Fernández rzucił się do ucieczki, nie patrząc nawet, gdzie biegnie, i po kilku krokach potknął się o ciała marystów.

Milicjanci mieli już przygotowane karabiny i wystrzelili do jeźdźca i konia. Także Gil Portela opróżnił magazynek swojego pistoletu, celując w brata Dardera, który przeszywające jego ciało pociski traktował jak błogosławieństwo przybliżające jedynie chwilę odpoczynku.

„Jeśli Bóg tak chce...”.

W miarę jak strzelali kolejni milicjanci, na ciele brata Dardera otwierały się kolejne rany: na piersi, w boku, w plecach, na nogach. „Stygmaty” – zdążył jeszcze pomyśleć. W końcu kula, która trafiła go w ucho, przechodząc przez głowę, położyła kres jego cierpieniom. Za to Hadaly, który również miał pięć albo nawet sześć kul w różnych częściach ciała, się nie poddawał. Walczył z tym większą furją, im więcej pocisków go trafiało. Z ciałem brata Dardera rozciągniętym na zadzie rżał niczym huragan i toczył pianę z pyska, rozdając kopnięcia na prawo i lewo w ciżbie milicjantów. Jednym wierzgnięciem położył dwóch, zabijając ich na miejscu, a kolejnych dwóch poważnie zranił. Niektórzy milicjanci przeładowywali karabiny i nie przestawali strzelać do zwierzęcia, pozostali zaczęli uciekać we wszystkich

kierunkach.

Gilowi Porteli skończyła się amunicja i też postanowił uciec. Wydostanie się na ulicę, wsiądzie do pierwszego lepszego samochodu i nie zatrzyma się wcześniej niż dopiero po drugiej stronie granicy. „Do diabła z tym wszystkim” – pomyślał. Odwrócił się do matki przełożonej, która stała jak zahipnotyzowana, patrząc na całe przedstawienie, popchnął ją i już miał rzucić się do biegu.

– Nie tak prędko, Gil – usłyszał za sobą.

Starczyło mu jeszcze czasu, żeby zobaczyć twarz komisarza Muñoz, zanim usłyszał strzał i wszystko wokół niego pochłonęły ciemności.

Milicjanci, którzy przeżyli atak Hadaly’ego, nie zastanawiali się długo i wszyscy biegli prosto do wyjścia z klasztoru. Koń położył się na środku dziedzińca, obok ciała brata Dardera, i ciężko dyszał. Umierał, o ile stworzenie takie jak Hadaly może umrzeć. Czy bestie umierają?

Na miejscu zostali jedynie matka przełożona i Aureli Fernández, który wciąż kręcił się wśród zwłok marystów, jakby zupełnie stracił rozum. Komisarz podszedł i wycelował w niego pistolet.

– Niech pan tego nie robi – powiedziała matka przełożona. – Niech pan tego nie robi, proszę. Pan nie jest taki jak oni. Pan nie jest zbrodniarzem.

„Owszem, jestem” – pomyślał, ale opuścił broń i odetchnął głęboko. Chciało mu się płakać, przygniatało go zmęczenie, ale musiał spróbować się opanować. Popatrzył na matkę przełożoną i zapytał:

– Nic wam nie jest? – zapytał.

Przytaknęła. Popatrzyła na swojego brata leżącego z roztrzaskaną głową i pomyślała, że ten widok w jakiś sposób dodaje jej ducha.

– Co z siostrą Concepció? – zapytała niecierpliwie.

– Nietknięta, jak sądzę – odpowiedział policjant, a matce przełożonej wymknęło się westchnienie ulgi. – Pójdę po nią i po biskupa Perugorrię. A wy wyprowadźcie siostry z kaplicy. Najwyższy czas, żebyśmy się stąd wreszcie wynieśli.

Komisarz jeszcze raz zszedł po schodach. Rozwiązał biskupa, a potem podszedł do nowicjuszek.

– Chodź – powiedział do niej. – Nie bój się.

Dziewczynka uśmiechnęła się i pozwoliła, żeby policjant wziął ją na ręce. Kiedy szli po schodach w górę, komisarz poczuł, jak coś zaczęło go kłuć w plecy. Potem postawił dziewczynkę na ziemi i poszli razem do wirydarza. Tam już zebrało się dwadzieścia siedem kapucynek, którymi wstrząsało łkanie na widok dokonanej właśnie masakry. Matka przełożona podbiegła do siostry Concepció i objęła ją z czułością, która w samym środku poboju zdawała się niemal niestosowna. „Może

właśnie znalazła swoją matkę?” – pomyślał komisarz i ta wizja wydała mu się niejakim pocieszeniem.

– Wygląda, że mu się udało – odezwał się za nim jakiś znajomy głos.

Pojawienie się doktora Pellicera w towarzystwie sędziego Carbonissy wcale go nie zdziwiło.

– Nie byłbym taki pewien – odpowiedział policjant. – Mimo wszystko dziękuję.

– Nie trzeba. Kiedy przyszedł do mnie biedny brat Darder, był już martwym człowiekiem. Pomogliśmy mu jedynie spełnić jego ostatnią wolę.

Komisarz podszedł do Hadaly’ego rżęzącego w agonii. Spojrzał mu w oczy i dostrzegł gasnący błysk.

– Bardzo mi przykro – powiedział.

– Nie warto – odpowiedział sędzia. – Taki jest cykl natury, wie pan? Życie, śmierć i potem znowu życie. Zawsze tak jest.

– Nawet w przypadku wampirów? – zapytał z ironią w głosie komisarz.

W tym momencie biskup Perugorria przeszedł obok niego. Szedł nieobecny, jakby ich nie widział, w ręce trzymał zeszyt i wieczne pióro. Mniszki patrzyły na niego z wyczekiwaniem, ale on spoglądał na dziedziniec pełen trupów, jakby to był zachód słońca nad morzem.

Również komisarz, doktor i sędzia śledzili go wzrokiem. Biskup podszedł do arkady wirydarza,

otworzył zeszyt i zaczął w nim coś notować piórem.

Pisał:

10 La Model – popularna nazwa więzienia mieszczącego się w Barcelonie, w dzielnicy Nova Esquerra de l'Eixample (przyp. tłum.).

11 Motyw często podejmowany w pieśniach nabożnych, jego najlepiej znaną interpretacją jest *Siedem radości Matki Bożej* (przyp. tłum.).

Niektóre z postaci i wydarzeń opisanych w tej powieści mają swoje źródło w rzeczywistości. Książkom *El preu de la traïció* Miquela Mira, *El silenci de les campanes* Jordiego Albertiego, jak również tomowi wspomnień *De l'esperança a la desfeta (1920–1939)* Josepa Beneta zawdzięczam informacje dotyczące prześladowań duchownych w Katalonii, które miały miejsce na początku wojny domowej. Posłużyły mi one do zbudowania centralnego wątku opowieści, czyli fragmentów poświęconych zgromadzeniu marystów. Oczywiście żadne z wymienionych dzieł nie ma nic wspólnego z fabułą książki osnutą wokół zdarzeń historycznych ani z wynikającymi z niej modyfikacjami. Pamięć historyczna i wyobraźnia mogą spotkać się w jednym czy drugim wątku, każda z nich idzie jednak własną drogą.

S.A.

Alaró, styczeń 2012

TYTUŁ ORYGINAŁU *Crim de sang*

PRZEKŁAD Rozalya Sasor

REDAKTOR PROWADZĄCY Adam Pluszka

REDAKCJA Roman Honet

KOREKTA Anna Mirkowska, Adam Pluszka

PROJEKT OKŁADKI, OPRACOWANIE GRAFICZNE I TYPOGRAFICZNE Anna Pol

ŁAMANIE **manufaktura** | manufaktu-ar.com

ZDJĘCIE NA OKŁADCE © Dave Wall / Arcangel Images

ZDJĘCIE AUTORA © Toni Catany

ISBN 978-83-64700-54-5

WYDAWNICTWO MARGINESY SP. Z O.O.

UL. FORTECZNA 1A, 01-540 WARSZAWA

TEL./FAX 48 22 839 91 27

redakcja@marginesy.com.pl

www.marginesy.com.pl

WARSZAWA 2014

WYDANIE PIERWSZE

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com